www.tygodnikprzeglad.pl
Przegląd
Nr 40 (978)
1-7.10.2018
Cena 5,80 zł
(w tym 8% VAT)

PROF. PETER BRANDT: POLITYCZNA SZTAFETA POKOLEŃ

PROF. BRONISŁAW ŁAGOWSKI: POLSKA DYPLOMACJA ZEMSTY

JAKI – PODWÓJNE STANDARDY

WIESŁAW KOT: NIE TYLKO „KLER", CZYLI O KSIĘŻACH W KINIE

SZKODA ŻYCIA NA POLSKĘ?

2,6 mln Polaków chce wyjechać z kraju „dobrej zmiany"



ISSN: 1509-3115 Indeks: 353299
ISSN 1509-3115
40
9 771509 311805

eprasa.pl fd795da

PORYWAJĄCA BIOGRAFIA IKONY LITERATURY MŁODZIEŻOWEJ
ASTRID LINDGREN

MŁODOŚĆ ASTRID



Gala Specjalna
68 Międzynarodowy Festiwal Filmowy w Berlinie

Skandynawska odpowiedź na „Lady Bird"

TRANSATLANTYK
FESTIVAL / ŁÓDŹ / 2018
NAGRODA GŁÓWNA

W KINACH OD 5 PAŹDZIERNIKA

Projekt współfinansowany w ramach programu Unii Europejskiej „Kreatywna Europa"

AURORA

CYTATY

LECH WAŁĘSA,
BYŁY PREZYDENT
Wierzę, że ci, którzy próbują zniszczyć wolną Polskę, odpowiedzą za to. Chcę zobaczyć, jak codziennie jedzą słonego śledzia i nie mają czym popić.
„Forum" (za „Nowaja Gazieta")

JERZY URBAN,
REDAKTOR NACZELNY
Kościół nie ma innej możliwości, niż jak najmocniej wtulić się w PiS, bo tylko on jest osłoną.
„Nie"

SŁAWOMIR MIZERSKI,
PUBLICYSTA
To, że listy wyborcze partii Kornela Morawieckiego pisemnie poparło aż 200 osób nieżyjących, pokazuje, że wraz ze śmiercią nic się nie kończy, ale przeciwnie wiele ciekawych rzeczy dopiero się zaczyna.
„Polityka"

KATARZYNA WARNKE,
AKTORKA
Ciało nie umie kłamać. To mój przyjaciel.
„Playboy"

MÓJ PRZEGLĄD

Jerzy Domański



Ubywa owieczek do strzyżenia

„Ja wyznałem swoje grzechy. Teraz ksiądz". Może gdyby ten rysunek Andrzeja Mleczki znali duchowni, byłoby w tym środowisku mniej występków? Spowiedź przed wiernymi to byłby ciekawy eksperyment. Bo choć grzechy kleru były głęboko chowane, kto miał oczy otwarte, ten nie jest zaskoczony kolejnymi informacjami z Irlandii, z Pensylwanii czy z Polski, po wejściu na ekrany filmu Smarzowskiego „Kler". Filmu nie widziałem, więc nie będę pisał o nim. Tym bardziej że bez oglądania „Kler" został oceniony i skrytykowany przez środowiska okołokościelne. A nawet wyklęty. Pozbawiony prawa wstępu do Ostrołęki, gdzie prezydent miasta, a wcześniej katecheta, własną piersią obronił swoje owieczki przed zarazą. Jedyne tamtejsze kino, co samo w sobie jest kuriozum dyskwalifikującym władze miasta, nie będzie mogło zorganizować pokazu. Ostrołęka stała się więc miejscem symbolicznym. Z takim oto przekazem o filmie: „Uderzają w pasterzy, aby rozproszyć owce". Takim językiem Kościół ciągle rozmawia z Polakami. Traktuje więc ich jak ludzi specjalnej troski, co to we wszystko uwierzą i w ciemno pójdą za swoimi kapłanami.

Za licznymi pomnikami papieża Polaka nie kryje się jakaś głębsza treść. A za namolną agitacją na rzecz PiS, prowadzoną z ambon w całej prawie Polsce, kryje się tylko wielki interes finansowy. Przeliczany na państwowe dotacje, ulgi, zniżki i darowizny. Skalę, na jaką to się odbywa, bardzo trudno oszacować. A i tak to tylko wierzchołek góry lodowej. Prawdziwe interesy między „dobrą zmianą" a Kościołem katolickim, bo inne wyznania są teraz w Polsce jawnie dyskryminowane, wyjdą dopiero po zmianie władzy. Dlaczego Kościół postawił wszystko właśnie na PiS? Zgadzam się z opinią Stefana Chwina, że dla polskiego Kościoła partia Kaczyńskiego jest redutą broniącą go przed Unią Europejską. Taka instytucja, jaką jest Kościół w Polsce, może przetrwać tylko w kraju zamkniętym na świat. Tylko wtedy można ludziom wmawiać, że nasze bogobojne owieczki to zdrowy trzon Europy. I że to Kościół musi za wszelką cenę chronić je przed zarazą, jaka płynie z Unii. Nikomu tak bardzo nie zależy na izolacji Polski od Unii jak właśnie Kościołowi. Ale wszystko kiedyś się kończy. Strzyżenie i ogłupianie owieczek też.

FAUL

25 baniek dla trzech

Robota coraz obrzydliwsza – to i kasy więcej. Płacą spółki skarbu państwa. Trzymane przez PiS na bardzo krótkiej smyczy. W ciągu siedmiu miesięcy tego roku tygodnik „Sieci", lider lizusowskich kontaktów z władzą, dostał 10,84 mln zł (dziesięć milionów osiemset czterdzieści tysięcy złotych). O 3,36 mln więcej niż rok temu. Wicelider „Super Express" przygarnął 8,46 mln zł (osiem milionów czterysta sześćdziesiąt tysięcy). O 3,36 mln więcej. Na podium jest też „Gazeta Polska" – 6,64 mln zł (sześć milionów sześćset czterdzieści tysięcy). A dalej „Wprost" i „Do Rzeczy". Smakoszom tych produktów gratulujemy hojności władzy.

BĄKOWSKI



eprasa.pl fd795dabb0

W NUMERZE

KRAJ
8 **Szkoda życia na Polskę?**
Miliony wyjeżdżają mimo „dobrej zmiany”
14 **Układy Jakiego, czyli così fan tutte**
Opolska ośmiornica
18 **Nie kop, nie bij, nie oślepiaj**
Bezbronne zwierzęta, bezkarni ludzie
28 **Celem lewicy nie powinna być walka z biznesem**
– rozmowa z dr. Janem Lusem
32 **Bez kontraktu na życie**
Zakład Onkologii Kobiecej czeka na umowę z NFZ

PUBLICYSTYKA
12 **Oszukał 87 razy... Kiedy przestanie?**
Dlaczego premier kłamie

ZAGRANICA
22 **Polityczna sztafeta pokoleń**
– rozmowa z prof. Peterem Brandtem
26 **Wybiorą młodzi**
Mobilizacja w USA

DALEKA BRUKSELA BLISKA LUDZIOM
30 **Aktywny senior**

PRZEGLĄD ZWIĄZKOWY
34 **Głucha Rada Dialogu Społecznego**

HISTORIA
36 **Hańba Monachium**
Rozbiór Czechosłowacji
50 **Wciąż krzyczę przez sen**
Jak pani Aleksandra psuła V-1

KULTURA
40 **Stan duchowny**
Huk pod niebiosa z „Klerem”
44 **Kto ty jesteś? Dwa narody**
– rozmowa z Kristiną Sabaliauskaitė
48 **Qulturalia**
66 **Agata Anna Żychlińska**
Forma właściwa

OBSERWACJE
54 **Czyste jedzenie**
Nie jesteśmy tym, co jemy
58 **Boginie**

FELIETONY I KOMENTARZE
3 **Jerzy Domański**
Ubywa owieczek do strzyżenia
17 **Bronisław Łagowski**
Narodowe samodurstwo
31 **Roman Kurkiewicz**
Ekonomie! Mądrale…
35 **Tomasz Jastrun**
Tragiczna tajemnica
43 **Edward Mikołajczyk**
Prosto w Szczenę
47 **Agnieszka Wolny-Hamkało**
Inne pomysły na życie



18 KRAJ

NIE KOP, NIE BIJ, NIE OŚLEPIAJ
Bezbronne zwierzęta, bezkarni ludzie

44 KULTURA

KTO TY JESTEŚ? DWA NARODY
– rozmowa z Kristiną Sabaliauskaitė





58 OBSERWACJE

BOGINIE



Projekt: Iza Mierzejewska

FOT. FOTOLIA

eprasa.pl fd795dabb0

Wkrótce w PRZEGLĄDZIE

KOŚCIUSZKOWCY W BERLINIE
Specjalny dodatek w 75. rocznicę bitwy pod Lenino

DR SYLWIA SPUREK
Rząd nadal lekceważy niepełnosprawnych

OBCY W SZKOLE
Jak dzieci i rodzice traktują cudzoziemców

Moc tych, którzy mają dość

Nie pracuję w budżetówce, nie jestem członkinią OPZZ ani żadnego innego związku zawodowego, bo w mojej firmie związki nie funkcjonują. Mój byt zależy wyłącznie od prywatnego właściciela. Ale kiedy w sobotę 22 września natrafiłam rano w internecie na informację, że o godz. 11 na warszawskim placu Trzech Krzyży rozpocznie się demonstracja budżetówki organizowana przez OPZZ, pomyślałam, że powinnam tam być. Bo przecież moja przyjaciółka jest technikiem laboratoryjnym w szpitalu, sąsiadka pracuje w sądzie, mąż mojej znajomej jest strażakiem, dzieci znajomych w państwowej szkole są edukowane przez nauczycieli opłacanych z budżetu.

Obowiązkiem państwa, które dysponuje także pieniędzmi z moich podatków, jest dbać o to, by ludzie zarabiali godnie. Nie rozumiem, dlaczego tak łatwo znajdują się w budżecie pieniądze na różnego rodzaju zasiłki, a brakuje na podwyżki płac. A właściwie mam odpowiedź – zasiłkiem można pracownika szantażować, mówiąc, że się go odbierze. Podwyżki płac odebrać nie można, choćby władzę w kraju zdobyli cykliści.

Demonstracja OPZZ przypominała misternie ułożone puzzle, składające się z różnych branż, każda oznaczona innym kolorem chorągwi, emblematów i T-shirtów, od białego, przez żółty, pomarańczowy, czerwony, zielony, niebieski do czarnego. I dziesiątki biało-czerwonych parasoli nauczycieli – najliczniejszej grupy na tej demonstracji. Kiedy stali obok siebie, to widać było moc. Czy rząd to zauważył? Czy premier przeczytał petycję, którą złożyli demonstranci? Czy ktoś się pochylił nad hasłami: „Mamy dość", „Chcemy płacy normalnej, a nie minimalnej"? Demonstrację zamykała Sosnowiecka Orkiestra Dęta. Grała żwawo i raczej wesoło, bębny dudniły. Groźnie.

Anna Niezgoda

To już nie jest nasza szkoła?



Amelka jest w VII klasie i każdego dnia ma po osiem godzin zajęć. Jej plecak waży do 10 kg. Codziennie przeprowadzane są kartkówki lub sprawdziany. A na religii tylko o tym, jak Jezus was kocha. Mnóstwo zadań domowych. Nauczycielka fizyki bełkocze coś pod nosem i nikt jej nie słyszy, a tym bardziej nie rozumie. W szkole nieukończony remont, wszędzie pył i brud. Nie ma komu przypominać uczniom o dobrym wychowaniu i kulturze osobistej. Język, którym posługują się dzieciaki, poraża knajactwem i brutalnością. Jak dzieci mają kochać szkołę i chcieć się uczyć?

Wojciech Kowalski

ZDJĘCIE TYGODNIA



Awaryjne lądowanie na Oceanie Spokojnym samolotu linii Air Niugini w pobliżu pasa startowego na wyspie Chuuk w Mikronezji. Nikt z pasażerów ani załogi nie odniósł poważnych obrażeń.

FOT. AP/EAST NEWS

eprasa.pl fd795dabb0

Komisja Europejska skierowała do **Trybunału Sprawiedliwości UE** skargę na polską **ustawę o Sądzie Najwyższym**. Uznała, że ustawa jest niezgodna z prawem Unii, ponieważ narusza zasadę niezależności sądownictwa i nieusuwalności sędziów.

Prof. Rajmund Rybiński, ceniony i niezwykle zasłużony wykładowca akademicki, wybitny działacz lewicy, współzałożyciel Klubu Współczesnej Myśli Politycznej w Gdańsku, **obchodzi 90. urodziny.** *Ad multos annos*, Profesorze.

OPZZ zorganizowało ogólnopolską manifestację pracowników pod hasłem **„Polska potrzebuje wyższych płac"**. Wzięli w niej udział przedstawiciele wszystkich branż.

Naczelny Sąd Administracyjny zawiesił wykonanie uchwały KRS o przedstawieniu prezydentowi **kandydatów do Sądu Najwyższego**. Sędziowie Sądu Najwyższego odmówili powołania nowych prezesów izb, bo uznali, że dotychczasowi zajmują swoje stanowiska.

Film „Zimna wojna" w reżyserii Pawła Pawlikowskiego został nagrodzony **Złotym Lwem** na festiwalu w Gdyni, a **Jerzy Skolimowski Platynowym Lwem.**

„Wysokie Obcasy" (dodatek do „Gazety Wyborczej"), popularne nie tylko wśród kobiet, **ukazały się po raz 1000**. Gratulujemy! Tym chętniej, że nasi dziennikarze, obojga płci, też je czytają.

36 mln zł zapłacił skarb państwa za błędy wymiaru sprawiedliwości w latach 2016-2017. Są to odszkodowania i zadośćuczynienia za niesłuszne skazania, aresztowania i zatrzymania.

27% Polaków narzeka na codzienny **stres w pracy.**

Ks. Jacek Stryczek, twórca **Szlachetnej Paczki,** po oskarżeniach o mobbing wobec swoich pracowników złożył rezygnację z funkcji prezesa **Stowarzyszenia „Wiosna",** które organizuje tę akcję.

TVN zgodnie z prawomocnym wyrokiem sądu apelacyjnego ma **przeprosić aktorkę Joannę Szczepkowską** za przypisywanie jej homofobicznych poglądów i wypowiedzi, których nigdy nie wygłosiła.

Dariusz Wasielewski, prezes „publicznego" Radia Gdańsk, tak się zląkł 11-minutowych oklasków dla filmu **„Kler" na Festiwalu Polskich Filmów Fabularnych w Gdyni,** że nie przyznał mu radiowej nagrody **Złotego Klakiera** dla najdłużej oklaskiwanego filmu.

Jan Józef Kasprzyk, szef Urzędu ds. Kombatantów i Osób Represjonowanych, ma tupet. Z okazji **75. rocznicy śmierci gen. Sikorskiego** zorganizował **wyjazd na Gibraltar.** Dla 11 weteranów i tłumu polityków, księży i urzędników. Kasprzyk uwielbia podróże za pieniądze podatników.

PRZEBŁYSKI



Poparł, ale zadrwił

Ależ okrutnik z tego prezesa. Na konwencji PiS Kaczyński wielokrotnie drwił z Patryka Jakiego, opowiadając, że należy on do maleńkiej grupy ludzi „czynu przemyślanego, racjonalnego". Majstersztyk. Każde słowo jest tu żartem. Albo zapowiedzią tego, co Patryk Jaki jest gotów zrobić za wystawienie go w warszawskich wyborach i poparcie prezesa. Czy nie chodzi tu czasem o głowę Zbigniewa Ziobry?

Gajowy Wenderlich

Po pierwszym występie Wenderlicha u Rachonia pytaliśmy, co się stało z ekswicemarszałkiem. W kolejnych zobaczyliśmy masochistę, z którego ta udająca dziennikarza pacynka zrobiła sobie worek do bicia. Upór, z jakim Wenderlich broni miejsca u Rachonia w TVP Info,



potwierdza starą tezę o przyczynach upadku SLD. Ryba psuje się od głowy. A z takimi liderami jak Wenderlich żadna partia długo by nie pożyła. Bo ile razy można słuchać starych dowcipów Wenderlicha o niedźwiedziu na straży beczki miodu i wiewiórce jako królu zwierząt? Ciągnie go do lasu. Nada się więc na gajowego.

Doktorze, nie odlatuj

Wiadomo, że miłość bywa ślepa. Jak ta, która dotknęła dr. Artura Wróblewskiego, amerykanistę z Uczelni Łazarskiego. Ma on prostą radę dla Polaków. W relacjach z USA nie narzekać. Bo jest ekstra! I dr Wróblewski nie bardzo wie, jak te kontakty można jeszcze bardziej poprawić. Bo przecież Trump zablokuje Nord Stream 2, nasza zbrojeniówka dostanie kontrakty na nowe technologie, wizy już są prawie zniesione (rozmowa w „Tygodniku Solidarność"). Jeśli Wróblewski taki kit wciska studentom, to pal licho. Płacą za to. Dobrowolnie wybrali szkołę prof. Iglickiej-Okólskiej.



Milczarski. Jak ulał „dobra zmiana"

Coś takiego mogła wymyślić tylko ta ekipa. W końcu zarząd PLL LOT za coś dostał w 2017 r. te skromne 2,5 mln zł premii. Prezes Rafał Milczarski i jego team postanowili zrobić dobrze studentom. Zaproponowali im więc darmowe praktyki w PLL LOT. Nie każdemu. Bo pan prezes Milczarski jest wybredny. Preferowani są darmowi pracownicy, którzy znają angielski, są skrupulatni (?) i oczywiście dyspozycyjni. Na darmową robotę muszą przeznaczyć minimum 24 godziny w tygodniu.
To jest chyba pierwszy etap rekrutacji. W ostatnim cała załoga będzie pracowała za darmo. A Milczarski dostanie 2,5 mln zł premii. Kwartalnie.

FOT. DEMOTYWATORY.PL, YOUTUBE.COM (2)

eprasa.pl fd795dabb0



www.mleczko.pl
www.sklep.mleczko.pl

PYTANIE TYGODNIA | Czy kultura studencka jeszcze istnieje?

DR SŁAWOMIR ROGOWSKI,
Wydział Dziennikarstwa UW

Czasy tak bardzo się zmieniły, że trudno porównywać dzisiejszą i peerelowską kulturę studencką. Z całą pewnością można stwierdzić jedynie, że nie istnieje już ona w takim rozumieniu jak przed 1990 r. Jest inna, bo inne są jej determinanty społeczno-polityczne i kulturowe. Przykładem mogą być juwenalia. Kiedyś to była improwizacja i „pospolite ruszenie", teraz impreza organizowana przez wyspecjalizowane agencje; wszystko jest profesjonalne, ale brakuje ducha. Jeśli chodzi o teatry i kabarety studenckie, to kiedy po zamknięciu „Po Prostu" nie było gazet wolnych od cenzury, zespoły studenckie częściowo przejęły funkcję niezależnej publicystyki. Dziś kabarety i teatry nie mają takich ambicji, co więcej – nie adresują programów do publiczności studenckiej. Jeszcze inny przykład to jazz, którego dziś w klubach studenckich raczej się nie usłyszy – wyszedł z getta studenckiego i funkcjonuje w niszy gatunkowej.

DR ARKADIUSZ PEISERT,
socjolog, Uniwersytet Gdański,
filister Korporacji Akademickiej „Welecja"

Z mojej perspektywy pojęcie kultury studenckiej, choć budzi we mnie głęboki sentyment, jest już w zasadzie nieaktualne. Bez wątpienia obserwujemy dywersyfikację kulturową studentów. Duża ich liczba pochodzi z małych miejscowości, z rodzin bez wykształcenia czy nawet aspiracji edukacyjnych. Wielu z nich to ofiary „bazaru" – stałej nieobecności rodziców zajętych drobną działalnością gospodarczą. Z drugiej strony spotykamy jeszcze ostatnich Mohikanów kultury studenckiej – studentów, którzy odziedziczyli aspiracje kulturalne po dziadkach, rodzicach, starszym rodzeństwie. Traktują oni kulturę studencką lat 60. i 70. raczej jako tradycję, tożsamość niż tworzywo do przetwarzania. Ale przede wszystkim kultura obecnych studentów rozbiła się na kultury hobbystyczne, pozostające ze sobą w słabych związkach. Mógłbym wskazać np. LARP-owców (uczestników gier fabularnych na żywo, opartych na odgrywaniu ról – przyp. red.), wspinaczy ściankowych, graczy komputerowych itd. Tym samym przejawy tej kultury coraz bardziej związane są z odmianami konsumpcji czasu wolnego.

MACIEJ TROJANOWSKI,
Radio Łódź, Ogólnopolski Studencki
Przegląd Piosenki Turystycznej YAPA

Oczywiście, że istnieje. Zmieniła się jednak diametralnie w porównaniu do tego, z czym najbardziej się kojarzy, oglądana np. przez pryzmat lat 80. i 90. Doskonale to widać choćby na przykładzie YAPY. Studenci dalej tworzą własną kulturę, muzykę i sztukę, jednak ulegają one znacznie większym wpływom zewnętrznym niż jeszcze kilkanaście lat temu. Na przykład piosenka studencka to już nie są proste melodie grane na gitarze podczas rajdów. To poważne zespoły, ambitne aranżacje i wysoka jakość wykonania. Tak samo jak cały świat idzie do przodu, kultura studencka zmienia się razem z rozwojem technologii. Wciąż jednak pozostaje specyficzna i jedyna w swoim rodzaju. Bo niezależnie od formy porusza tematy ze świeżej perspektywy. Nieobciążonej i trochę „nieopierzonej". I przez to właśnie jest szczera, autentyczna i tak ciekawa.

Not. Michał Sobczyk

eprasa.pl fd795dabb0

SZKODA ŻYCIA NA POLSKĘ?

2,6 mln Polaków chce wyjechać z kraju „dobrej zmiany"



Katarzyna Wierzbicka

„Ludzie, wiejcie z Polski, ja bardzo żałuję, że wróciłem. Byłem głupi, a teraz jest za późno. Szkoda życia na mieszkanie w tym kraju!!!", „Mieszkam od kilku lat poza Polską, w której niby finansowo powodziło mi się. Zdecydowałem się jednak wyemigrować i nie żałuję tej decyzji. Zupełnie inna kultura i etyka pracy, uśmiechnięci, niezawistni i nieskażeni zabobonem ludzie". „Trzeba być niespełna rozumu, żeby tracić swoje najlepsze lata na walkę o mizerny byt w tym kraju", „Szkoda życia na Polskę" – takie i podobne wypowiedzi można znaleźć niemal na każdym forum internetowym w komentarzach do artykułów dotyczących pracy za granicą. Widać w nich gniew, czasem pogardę. Autorzy postów piszą o „kiepskich perspektywach", „zabobonie", „zaściankowości", „duszeniu się". Polskę nazywają często „tym krajem". I ten sam, stały refren: „Szkoda życia na Polskę".

Według najnowszego raportu „Migracje zarobkowe Polaków", opracowanego przez Work Service w maju br., aż 11,8% Polaków aktywnych zawodowo lub będących potencjalnymi uczestnikami rynku pracy rozważa emigrację zarobkową w ciągu najbliższego roku. Niemal 2,6 mln osób. 51% to młodzi, między 18. a 34. rokiem życia – ponad 1,3 mln ludzi, którzy mogą już nigdy do Polski nie wrócić.

Jeśli jednak definicję osoby młodej rozszerzyć, do 44 lat, to o wyjeździe myśli ponad 2 mln (81% badanych).

ŻYCIE BEZ NERWÓWKI

– Wszystko było wiecznie na styk. Po opłaceniu rachunków praktycznie na nic nie wystarczało – opowiada 35-letni Jarek, który od roku pracuje i mieszka w Niemczech. – Dostaję 8 euro za godzinę, czyli pewnie mniej niż tutejsza minimalna. Ale idzie żyć.

Jarek pochodzi z małego miasta na wschodzie Mazowsza. Początkowo planował wyjazd na kilka miesięcy, namówiony przez brata, który był już na miejscu. Po pół roku zdecydował się sprowadzić do Niemiec żonę i syna. – Zdarzało nam się pożyczać od znajomych pieniądze na jedzenie – opowiada Jolanta. – My wcale nie pracujemy bardzo dużo. Osiem godzin dziennie, tyle co tutejsi. Ale jest jakoś z godnością, bez nerwówki.

33-letni Janusz do niedawna był pracownikiem fizycznym z 13-tysięcznego miasteczka 100 km od Warszawy. W Holandii jest od kilku miesięcy. – Nie chodzi o to, że ja nie miałem pracy. Praca była, tyle że niestała. No i zarabiałem trzy razy mniej, niż zarabiam tutaj. Może z 5 tys. zł oszczędności udawało mi się odłożyć w ciągu roku. A nie mam rodziny, jestem sam, nie imprezuję.

Jarek za Polską nie tęskni: – Wracać? Do czego? Proszę pani, ja żałuję, że nie zdecydowałem się wcześniej!

Janusz z kolei myśli o powrocie: – Nie znam języka, znajomych mam tylko z mojego miasta. Oni tu pozakładali rodziny, ja się czuję trochę wykorzeniony.

Więzi i zobowiązania rodzinne stoją na przeszkodzie emigracji 64% Polaków. Toteż wielu zabiera ze sobą bliskich. Wyjeżdżają całe rodziny – mężczyźni ściągają dzieci i partnerki, często również rodzeństwo, kuzynów i znajomych. Można odnieść wrażenie, że taki styl migracji dotyczy przede wszystkim mieszkańców małych i średnich miejscowości, dla których istotne jest przywiązanie do rodziny i lokalnej społeczności.

22-letni Filip, mieszkaniec Sokołowa Podlaskiego, co roku jeździ jako pracownik sezonowy do Norwegii: – Jak tylko zrobię licencjat, wyjeżdżam na stałe. Mam tam wujka i kuzynów, z pracą i mieszkaniem nie będzie problemu. Tylko te studia muszę najpierw zrobić.

Wyjeżdżającym najbardziej przeszkadzają zaściankowość, zamknięcie na innych i znaczenie Kościoła w życiu publicznym.

EMIGRACYJNY BABY BOOM

Ci, którzy jeszcze nie mają rodzin, często zakładają je na miejscu. Według danych GUS w 2016 r. za granicą przebywało ok. 2,5 mln Polaków – mowa tu o tzw. nowej emigracji, czyli tych, którzy wyjechali po przystąpieniu Polski do Unii Europejskiej. Jak podaje „Dziennik Gazeta Prawna", ponad pół miliona stanowią dzieci. Dane te są jednak niepełne, można policzyć jedynie te dzieci, które urodziły się za granicą i zostały zarejestrowane w polskich urzędach. Nie ma też dokładnych danych o dzieciach urodzonych w Polsce, które wraz z rodzicami wyjechały za granicę.

Wiadomo jednak, że poza Polską dzieci rodzi się dużo, choćby w Wielkiej Brytanii. „Według badań demograficznych na jedną Polkę przypada

eprasa.pl fd795dabb0



na Wyspach 2,5 dziecka – czytamy na portalu Na Temat. – W Polsce ten współczynnik wynosi jedynie 1,3". Zdaniem dziennika „Polska The Times" tylko w 2017 r. polskie imigrantki urodziły w Wielkiej Brytanii prawie 21 tys. dzieci, stając się tym samym najpłodniejszą grupą wśród wszystkich mniejszości.

Wydaje się to logiczne, emigracja w wieku rozrodczym bez wątpienia sprzyja rodzeniu dzieci na obczyźnie. Jak wskazuje dr Paweł Kaczmarczyk, socjolog migracji i kierownik Ośrodka Badań nad Migracjami Uniwersytetu Warszawskiego, nie bez znaczenia pozostają świadczenia socjalne. Mimo że program 500+ niekiedy wpływa na decyzję o pozostaniu w kraju, jego urok blednie w obliczu niemieckiego *Kindergeld* – świadczenia dla rodziców w wysokości 150 euro (ok. 800 zł) – czy bogatego pakietu brytyjskich zasiłków dla rodziców wraz z bezpłatnymi lekarstwami. Przy czym świadczenia te przysługują na każde dziecko.

„Mam 24 lata. Mój mąż pracuje w Niemczech – mówi portalowi Polki.pl Milena. – Ja przez prawie cały okres ciąży mieszkałam w Polsce z rodzicami. W siódmym miesiącu wyjechałam do męża. Nie będę ukrywać, że zrobiłam to wyłącznie po to, by nasza córeczka urodziła się w Niemczech. Od razu dostaliśmy bardzo dobre pieniądze na dziecko. Nie to, co w Polsce marne rodzinne czy 500+, które nam by się i tak nie należało. Myślimy o kolejnym dziecku. Też urodzę za granicą".

Jest jednak jeszcze coś. – Zmieniły się strategie migracji – wyjaśnia Paweł Kaczmarczyk. – O ile w pierwszym okresie po akcesji Polski do UE dominowały migracje tymczasowe, o tyle w ostatnich latach mamy do czynienia z rosnącym znaczeniem modelu osiedleńczego.

Choć „model osiedleńczy" migracji jest generalną tendencją, najwyraźniej realizuje się inaczej w przypadku kobiet i mężczyzn. – Młode Polki o wiele łatwiej wchodzą w relacje społeczne w kraju pobytu – mówi dr Kaczmarczyk. Wydaje się to potwierdzone w statystykach. Jak podaje „Gazeta Wyborcza", z prawie 21 tys. dzieci urodzonych przez Polki w Wielkiej Brytanii w zeszłym roku, tylko niecałe 15 tys. miało polskich ojców. Strategie integracyjne polskich mężczyzn z kolei wydają się o wiele bardziej zachowawcze – aż 95% woli mieć dzieci z Polką.

Wyjeżdżający z Polski mężczyźni przenoszą się z korzeniami, kobiety – zapuszczają nowe na miejscu. Z niektórych badań wynika, że Polki generalnie są bardziej skłonne do wyjazdu. Badanie „Kobiety na emigracji zarobkowej", przeprowadzone przez SW Research dla Promedica24, wykazało, że aż 52% polskich kobiet jest gotowych podjąć pracę za granicą, jeśli otrzyma atrakcyjną ofertę. „Polki wyjeżdżają za granicę nie tylko ze względów finansowych, ważne są dla nich również czynniki emocjonalne – czytamy w sprawozdaniu z badania. – Ankietowane chcą poznawać świat i dokonywać zmian w swoim dotychczasowym życiu".

Według „Dziennika Gazety Prawnej" w 2016 r. Polki i Polacy zawarli z cudzoziemcami co najmniej 13,5 tys. małżeństw. Przy czym mężami Polek stawali się najczęściej Anglicy i Niemcy. „Polscy mężczyźni są bardzo zakompleksieni, nie tak otwarci jak ci na Zachodzie. Religia i komuna zrobiły swoje. Tamci są bardziej na luzie", tłumaczy „GW" polska imigrantka, która związała się z Brytyjczykiem.

Katarzyna, 28 lat, szykująca się właśnie do ślubu z Holendrem i wyjazdu na stałe: – Jak pojawiła się kwestia ślubu i tego, kto gdzie się przenosi, to nawet przez chwilę nie miałam wątpliwości. Ja żyć w Polsce nie chcę.

Katarzyna wskazuje, że związek z obcokrajowcem z Zachodu to dla wielu Polek nie tylko skuteczny sposób adaptacji, ale i awans społeczny. Polkom, bardziej niż Polakom, przeszkadza bycie „obcym" w nowym kraju. – Moim zdaniem one chcą raz na zawsze wyrwać się z Polski, to jedno. Ale też ci faceci są inni, mniej przywiązani do rodziców, bardziej partnerscy.

Niezależnie jednak od powodów decyzji matrymonialnych młodych Polek ich tendencja do zakładania rodzin na miejscu oznacza bardzo małe prawdopodobieństwo powrotu do kraju.

W 2016 r. za granicą przebywało 2,5 mln Polaków, którzy wyjechali po przystąpieniu Polski do Unii Europejskiej.

PO ZAGRANICZNY DYPLOM

Spora część młodych ludzi wyjeżdża przy okazji wyboru studiów. Jak wynika z cytowanego wyżej raportu, 18% badanych deklarujących chęć

eprasa.pl fd795dabb0

wyjazdu to uczący się lub studenci. Prawie pół miliona osób.

Ada, tegoroczna maturzystka: – Myślę o wyjeździe na studia i pozostaniu na kilka, a nawet kilkanaście lat po studiach. Chciałabym wyjechać i się usamodzielnić. Ale też mam wrażenie, że polskie uniwersytety zatrzymały się kilkadziesiąt lat temu i niespecjalnie idą naprzód. Mam na myśli podejście do studenta, skostnienie i metody nauczania. Trójka mojego rodzeństwa już studiuje za granicą. Najstarszy brat zaczął w Polsce, ale szybko zrezygnował i wyjechał do Edynburga. Drugi brat i siostra studiują w Anglii. Opowiadali o braku szacunku na polskich uniwersytetach i problemach przy załatwianiu czegokolwiek. Siostra, która właśnie kończy pierwszy stopień, mówi mi o indywidualnym podejściu, szacunku, tolerancji i możliwościach pracy, które załatwia sam uniwersytet.

Agnieszka, 19 lat: – Uniwersytet w Wielkiej Brytanii czy Holandii to zupełnie co innego niż to, co dostanę w Polsce. Tam, nawet na uniwersytetach, które wcale nie są uznawane za najlepsze, jestem jako studentka na zupełnie innej pozycji niż na najlepszych uniwersytetach w kraju. A po studiach? Wątpię, żebym chciała pracować w Polsce, bo tu zaczyna się dziać coraz gorzej.

Jak podaje „Rzeczpospolita", za granicą studiuje obecnie prawie 50 tys. polskich studentów.

85% chętnych do wyjazdu to osoby bez wykształcenia wyższego. Paweł Kaczmarczyk ostrzega jednak, by nie ulegać pokusie łatwych podsumowań. – Młodzi emigranci są grupą niezwykle zróżnicowaną – mówi badacz. – Mieszczą się w niej zarówno studenci z dużych miast, jak i pracownicy fizyczni z mniejszych ośrodków i wsi czy tzw. life style migrants, tj. ludzie wyjeżdżający z chęci rozwijania się czy poznawania innych krajów i kultur.

Choć zdaniem socjologa skończył się *exodus* głównie specjalistów o wysokich kwalifikacjach, nie wydaje się, żeby osoby myślące o wyjeździe były do niego szczególnie zmuszone. Według cytowanego wyżej badania aż 69% ma zatrudnienie. Co więcej, prawie jedna trzecia zarabia 3 tys. zł netto i więcej.

„Wśród zatrudnionych doszło do sporych przetasowań pod względem wpływu zarobków na decyzję o emigracji. Jeszcze w poprzedniej edycji przeważały osoby o najniższych uposażeniach (do 2 tys. zł) i nadal są najliczniejszą grupą z wynikiem 34%, ale niewiele mniejszą reprezentację mają obecnie osoby zarabiające powyżej 3 tys. zł netto (29%), co jest wynikiem o ponad 11 pkt proc. większym niż pół roku temu", czytamy w raporcie „Migracje zarobkowe Polaków".

W 2017 r. polskie imigrantki urodziły w Wielkiej Brytanii prawie 21 tys. dzieci. Niespełna 15 tys. miało polskich ojców.

GODNOŚCIOWOŚĆ I DUCHOTA

Dlaczego więc wyjeżdżają? Michał, 31 lat, projektant: – Chciałem dalej się rozwijać, a tu czułem, że nie ma dla mnie miejsca. Miałem dosyć wiecznego braku zaufania wszystkich do wszystkich, wiecznego knucia i kombinowania zamiast współpracy.

Anna, 22 lata: – Składałam papiery na studia w Warszawie i w Barcelonie. Za każdym razem jak przychodziłam tu do sekretariatu, czułam się, jakby robiono mi łaskę, że się w ogóle dostanę. A tam – pełen luz, traktują cię jak człowieka. Nikomu nie przyjdzie do głowy, żeby się nie uśmiechnąć przy rozmowie. Tam traktowano mnie jak partnerkę, mimo że uczelnia była prestiżowa. A tu – jakby innej uczelni na świecie nie było. Jak tylko dostałam się na obie, od razu podjęłam decyzję.



Około 15% mieszkańców podlondyńskiego Slough to Polacy. W witrynie sklepu Malinka można znaleźć wiele ważnych informacji.



Samoloty latające do Wielkiej Brytanii czy Irlandii mogą liczyć na komplet pasażerów.

Piotr, 30 lat: – Nie muszę wyjeżdżać, ale chcę. Te wieczne kompleksy, które trzeba sobie odbijać na innych, przeświadczenie, że jak nie przywalisz, to jesteś nieważny.

Michał długo szukał pracy za granicą, mając nieźle płatną w Polsce. W końcu udało mu się znaleźć stanowisko w Londynie. Anna wyjechała na studia do Hiszpanii. Piotr nie wie jeszcze, dokąd wyjedzie – „byle nie tu".

Paweł Kaczmarczyk zaznacza: – Gotowość do emigracji nie jest podyktowana wyłącznie przez czynniki ekonomiczne. Trzeba również pamiętać, że polskie społeczeństwo się sekularyzuje. Podobnie jak w innych krajach wysoko rozwiniętych maleje znaczenie wartości związanych z rodziną, rośnie rola uwarunkowań

eprasa.pl fd795dabb0



o charakterze indywidualistycznym. Młodzi ludzie coraz później zakładają rodziny, zmieniają się też ich motywacje migracyjne.

Właśnie tej grupie najbardziej przeszkadzają polskie kompleksy, zaściankowość, zamknięcie na innych i znaczenie Kościoła w życiu publicznym. „Chcę się rozwijać" i „duszę się" to często współwystępujące deklaracje potencjalnych emigrantów.

Z wypowiedzi myślących o wyjeździe młodych ludzi wyłania się obraz Polski surowej i konserwatywnej. Opowiadając z kolei o rodakach, najnowsi i potencjalni emigranci zwracają uwagę na kompleksy, małostkowość, zamknięcie, brak zaufania do instytucji i do siebie nawzajem. Są zmęczeni i zniecierpliwieni uprawianymi na zmianę grami w dumę i wstyd.

Katarzyna: – Kilka lat temu leżałam w polskim szpitalu. Na oddziale była młoda dziewczyna ze stwardnieniem rozsianym, cały czas był z nią jej irlandzki partner. Chyba przyjechali do Polski, odwiedzić jej rodzinę. I kiedyś ta dziewczyna spała w porze obiadu. Irlandczyk poszedł do kuchni i grzecznie, ale na luzie poprosił, żeby zostawić posiłek bez budzenia jej. Wszyscy pacjenci i personel byli w szoku, że on o to tak poprosił, jakby to było normalne prosić o coś w polskim szpitalu i dostać to. Pani sobie wyobraża? Polski pacjent albo przepraszałby, że żyje, albo zrobił awanturę. Wtedy zdałam sobie sprawę, że coś jest nie tak z naszą mentalnością.

Wyjeżdżający z Polski mężczyźni przenoszą się z korzeniami, kobiety – zapuszczają nowe na miejscu.

Michał: – Wszędzie masz poczucie, że musisz wybierać między dwoma rolami: pana i chama. Jak nie chcesz być panem, to dostaniesz kopa. A jak nie chcesz dostać kopa, to musisz sam być bucem. Wszędzie ta sama logika: albo upokarzasz, albo jesteś upokarzany. A ja nie chcę tak pracować, tak rozmawiać z ludźmi.

Anna: – Mieszkanie w Hiszpanii nauczyło mnie, że nie muszę nikomu niczego udowadniać. Jak coś mi nie odpowiada w pracy czy na uniwersytecie, to mogę o tym mówić bez poczucia winy, ale też bez wzbudzania jej u innych. A państwo, dając mi wsparcie, nie robi mi łaski.

Katarzyna Wierzbicka

Doniosła rola sztućców w życiu seksualnym Polaków. Przełomowe śledztwo i przełomowe wnioski – **w nowym numerze tygodnika „NIE".**



RYS. PRZEGLĄD, FOT. PIOTR KAMIONKA/REORTER, PRZEMYSŁAW KOZŁOWSKI/AGENCJA GAZETA

eprasa.pl fd795dabb0

Oszukał już 87 razy… Kiedy przestanie?

Dla wielu ludzi w PiS Morawiecki to bankster wysługujący się obcym

Robert Walenciak

Ta kampania jeszcze trwa, ale już można powiedzieć, że przejdzie do historii. Nie zdarzyło się bowiem wcześniej, żeby tak kłamano. Żeby kłamstwo było chlebem powszednim. I na dodatek żeby w tym dziele mijania się z prawdą wyróżniał się premier rządu RP – Mateusz Morawiecki.

No i jeszcze jedno – żeby premier, wyrokiem sądu, musiał kłamstwo prostować.

Warto przypomnieć to wydarzenie. Podczas wizyty na ziemi lubuskiej, gdzie otwierał odcinek drogi ekspresowej S3, Morawiecki przemawia tak: „Pamiętacie, jak nasi poprzednicy mówili: budujmy nie politykę, tylko drogi i mosty? Pamiętacie coś takiego? Nie było ani dróg, ani mostów", mówił z zapałem. A potem: „Żeby nie być gołosłownym, powiem tak: nasi poprzednicy, których nasi przyjaciele z kartkami chcieliby z powrotem zaprosić do władz, (...) przez osiem lat wydali 5 mld na drogi lokalne. To tyle, ile my wydajemy w ciągu jednego do półtorej roku".

Ta wypowiedź skończyła się nie tylko zalewem memów, ale i pryncypialną reakcją Platformy Obywatelskiej, która zdecydowała się oddać sprawę do sądu, w trybie wyborczym. I właśnie ją wygrała. Premier musiał zamieścić w mediach oświadczenie.

Ukazało się ono w czwartek wieczorem, przed „Faktami" TVN i „Wiadomościami" TVP. „Nieprawdziwe są informacje podane przeze mnie w dniu 15 września 2018 r. podczas wiecu wyborczego komitetu wyborczego Prawo i Sprawiedliwość w Świebodzinie, że w ciągu jednego do półtora roku wydawana jest przez nas większa suma na drogi lokalne, niż za czasów koalicji PO i PSL w ciągu ośmiu lat. Mateusz Morawiecki, premier rządu Rzeczypospolitej Polskiej" – odczytała lektorka oświadczenie szefa rządu.

Niewątpliwie chwały Morawieckiemu to nie przyniosło. Zwłaszcza że trudno uznać słowa o drogach za wpadkę. Premier mija się z prawdą regularnie i bez wstydu. PSL założyło mu nawet licznik, „Mateuszek kłamczuszek", który rejestruje jego kłamstwa. Peeselowcy doszli już do 87 takich przypadków.

O kłamstwach premiera piszą gazety, wyliczają je portale. Kłamstwa na temat VAT, uchodźców, polskiej gospodarki, prywatyzacji, Horteksu itp. Można wyliczać i wyliczać…

Co więc się stało, że Mateusz Morawiecki regularnie kłamie, nie bacząc na to, że wszystko przecież można sprawdzić? I że to zostanie sprawdzone? Odpowiedzi jest kilka.

Kłamie, bo PiS tak ma

PiS wyrosło na kłamstwie. Kłamstwo smoleńskie dało tej partii siłę, pozwoliło przetrwać trudny czas i rozwinąć się do roli największej partii opozycyjnej w kraju. Wbrew oczywistym faktom Jarosław Kaczyński i Antoni Macierewicz wmawiali ludziom teorię o spisku, o bombie i wybuchu jako przyczynach katastrofy prezydenckiego Tu-154. PiS rządzi już trzy lata, wydało miliony na udowodnienie swoich tez i nic. Ale płynie z tego nauka – kłamstwo się opłaca. I nawet jeśli wyjdzie na jaw, traci się niewiele.

Morawiecki został ukształtowany przez korporację i duch działania korporacji z niego wychodzi.

Drugim kłamstwem, które zapewniło PiS sukces, było hasło „Polska w ruinie", wykorzystywane w kampanii roku 2015. Opłacało się? Opłacało. Bo potem zawsze można było powiedzieć, że to taka retoryka wyborcza. Jeżeli więc jakaś metoda przynosi rezultaty, dlaczego z niej rezygnować?

Kłamie, bo sam w to wierzy

To niejedyne kłamstwa rozpowszechniane w obozie PiS. Ta formacja wręcz stworzyła alternatywną rzeczywistość, w której jej liderzy to ludzie prawi i szlachetni, przeciwnicy zaś – mordy zdradzieckie. Komuniści i złodzieje.

W tej rzeczywistości Lech Wałęsa jest agentem i zdrajcą, a faktycznym liderem Solidarności był Lech Kaczyński. W tej rzeczywistości obrońcami Polski są żołnierze Brygady Świętokrzyskiej, na grobach których Mateusz Morawiecki składał kwiaty.

W tej rzeczywistości Polski przed rokiem 1989 nie było. Tak twierdził premier na konferencji w Berlinie. Ba! Tak naprawdę Polska jest od roku 2015, bo wcześniej była najpierw komunistyczna, a potem postkomunistyczna, czyli w zasadzie taka sama.

W tej rzeczywistości Mateusz Morawiecki negocjował wejście Polski do Unii Europejskiej. Co ogłosił podczas spotkania w Sandomierzu.

Z tego punktu widzenia Morawiecki nie kłamie, tylko prezentuje alternatywną, pisowską wersję historii.

Kłamie, bo to się podoba Jarosławowi i partii

Ta wersja przyjmowana jest przez prezesa i przez działaczy PiS z zadowoleniem, wręcz z entuzjazmem. Wiele już napisano na temat partii Kaczyńskiego, że stosunki tam panujące przypominają sektę. Jeżeli tak, jest to sekta żywiąca się nienawiścią do wroga. To widać. Gdy podczas kolejnych konwencji Morawiecki ostro atakuje opozycję, prezes się uśmiecha, a sala najgłośniej klaszcze. Te brawa są dla Morawieckiego ważne. Jest on w obozie prawicy postacią nową, i to pochodzącą ze środowisk niedarzonych tam zaufaniem – bo był prezesem Banku Zachodniego WBK, czyli filii irlandzkiego banku AIB, którą potem wykupił hiszpański Santander. Był też w Radzie Gospodarczej przy

eprasa.pl fd795dabb0



Panie premierze, a co z VIII przykazaniem?

premierze Donaldzie Tusku. Innymi słowy, bankster wysługujący się obcym, wpychający Polakom kredyty we frankach. No i krążący wokół Tuska. Dlatego Morawiecki musi starać się zdobyć zaufanie ludzi PiS. I takimi atakami próbuje ich pozyskać.

Dlaczego? Jeśli prześledzimy historię PiS i karier politycznych w tym obozie, zauważymy, że największe szanse mają tam jastrzębie, ludzie bez oporów atakujący przeciwników, niepróbujący budować jakichkolwiek mostów. Przykładów mamy aż nadto: Antoni Macierewicz, Joachim Brudziński, Krystyna Pawłowicz… Natomiast tzw. gołębie kończą marnie – są odsuwani na bok, a potem wypychani z partii. Taki los spotkał m.in. Ludwika Dorna, Kazimierza Marcinkiewicza, Joannę Kluzik-Rostkowską, gdy tylko naszły ich wątpliwości. Morawiecki to wie i nie chce tego błędu popełnić.

Kłamie, bo może

PiS zbudowało machinę propagandową, która bardzo skutecznie obsługuje prawicowy elektorat. Opiera się ona na tzw. przekazie dnia – około godz. 10 posłowie PiS otrzymują SMS-y z tezami dotyczącymi najważniejszych spraw. I wszyscy je powtarzają. A mają gdzie – media publiczne, czyli TVP 1, TVP 2, TVP Info, Polskie Radio z Jedynką i Trójką na czele. Do tego media ks. Rydzyka oraz inne, mniejsze. Tu nikt nie zarzuci premierowi, że mija się z prawdą. Przeciwnie, jego słowa będą wiele razy powtarzane, komentowane itd. Premier może mówić, co chce, a i tak zostanie to podane jako najczystsza prawda i mądrość.

Cóż, w sprawie dróg akurat się nie udało. Uznajmy to jednak za wypadek przy pracy.

Kłamie, bo żyjemy w erze kłamstw

Żyjemy w erze kłamstw. To „zasługa" internetu, zrównania poważnych mediów z anonimowymi, możliwości błyskawicznego rozprzestrzeniania się informacji. Sieć zalewają nieprawdziwe informacje, tzw. fejki, i nie ma nawet fizycznej możliwości ich prostowania. Funkcjonują tam portale, które mają za zadanie kłamać i prowadzić wojny propagandowe. Są firmy, które podejmują się takich działań. I każda kampania przynosi nam kolejne morze kłamstw. Premier zdecydował się płynąć tym „nowoczesnym" nurtem.

Kłamie, bo w korpo to dobra metoda

Jest jeszcze jedno wytłumaczenie przypadłości premiera – jego przeszłość. Morawiecki został ukształtowany przez korporację i duch działania korporacji z niego wychodzi. Zresztą osoby, które pracowały w takich strukturach, szybko to wyłapały.

W korpo stosunkowo łatwo jest kłamać. I kłamstwo okazuje się użyteczne. Po pierwsze, dlatego że większość rozmów odbywa się w zamkniętych gronach, słowa nie wychodzą na zewnątrz. A po drugie, trudno sprawdzić, czy ktoś mówi prawdę, czy nie. Po trzecie wreszcie, zmiany kadrowe powodują, że kłamstwo sprzed miesiąca już dawno zostało zapomniane. Bo jest nowa rada nadzorcza, nowy prezes itp.

Korpo tak działa. Prezes spotyka się z radą nadzorczą co dwa-trzy miesiące. Prezentuje swoją wersję działania firmy i jeśli tylko przedsiębiorstwo nie przynosi strat, nikt nie sprawdza, czy mogło być lepiej. Mógłby to zrobić ambitny zastępca, ale już głowa prezesa w tym, żeby ambitnych wokół niego nie było. Takich eliminuje się metodą intryg, rozpuszczając różne wieści. Jakie? Tego też nie da się sprawdzić, bo korporacje najbardziej boją się przecieków i ujawniania wewnętrznych spraw. Uczą pokory i przytakiwania słowom prezesa.

Tymczasem w polityce wszystko jest jawne, szybko weryfikowane przez konkurencję, ba, konkurencja bez przerwy atakuje. Dla Morawieckiego, przywykłego do gabinetowych rozgrywek, gdzie jednemu mówi się jedno, a drugiemu drugie, to obcy świat.

PiS zbudowało machinę propagandową, która bardzo skutecznie obsługuje prawicowy elektorat.

Ale on w tym świecie chce być. Ma prawo – to jego wybór. Za to naszym wyborem jest, czy pozwolimy na zalew kłamstwa w polskiej polityce, czy nie.

To nie jest banalne pytanie, kodeksowe. Ma ono znaczenie ustrojowe. Jak możemy, jako wyborcy, podejmować decyzje, skoro mogą one się opierać na zmyślonych lub zmanipulowanych informacjach? Przecież gdy wszyscy kłamią, pozostaje wybór „na czuja", przypadkowy.

Dlatego nauczka Morawieckiemu się należała. Oby tylko ją zapamiętał. ■

FOT. ŁUKASZ KACZANOWSKI/POLSKAPRESS

eprasa.pl fd795dabb0



Układy Jakiego, czyli così fan tutte

PiS przymyka oko na „sieci" Patryka Jakiego poza Warszawą. Woli mieć szeryfa w stolicy

Beata Dżon-Ozimek

Kogo w Warszawie obchodzi Opolszczyzna i to, co Patryk Jaki tam wyprawia? – słyszę od znajomego. Daleko od stolicy, maleńkie województwo, w dodatku z kłopotliwą dla niektórych mniejszością niemiecką. A może to błąd perspektywy stołecznej? Na Opolszczyźnie znakomicie widać mechanizmy działania polityka lojalnego wobec tych, którzy mu pomogli, budującego sferę wiernych, wdzięcznych działaczy. Dobrze pamięta o zasługach, dzwoni na urodziny. Nie zapomina krzywd. Ten polityk bez kompleksów ubiega się o stołek prezydenta stolicy 38-milionowego kraju.

Kiedyś prof. Ryszard Bugaj nazwał wiceministra sprawiedliwości Patryka Jakiego politykiem formatu kieszonkowego. Nie przeszkadza to jednak posłowi Solidarnej Polski, partii Zbigniewa Ziobry, być rozpoznawalnym i bardzo skutecznym, i to na tle całej rządzącej prawicy. W swoim politycznym mateczniku zbudował imperium powiązań, wpływów – nie tylko w Opolu, ale też w Nysie, Namysłowie czy Otmuchowie. Zaczął od „aktu sprawiedliwości dziejowej", czyli od przywrócenia ojca na wysokie stanowisko. Po wyborach na prezydenta miasta wygranych przez Arkadiusza Wiśniewskiego, którego Patryk Jaki mocno wspierał, Jaki senior w końcu 2014 r. trafił do zarządu spółki miejskiej Wodociągi i Kanalizacja, a w 2016 r. został jej prezesem.

SANOCKI NIE WYTRZYMAŁ

Opolskie powiązania 33-letniego wiceministra sprawiedliwości to znane fakty. Mija trzeci rok od wyborów wygranych przez PiS z Solidarną Polską u boku. Niektórzy tracą cierpliwość, obserwując działania Patryka Jakiego. Niewielu jednak ma odwagę czy ochotę mówić o „sieci", „układzie" na głos i pod swoim nazwiskiem. Wiedzą, że Jaki jest blisko ministra Ziobry i może sobie na dużo pozwolić. Chętnie też stosuje „efekt mrożący", jak przez wiele miesięcy na pewnym mieszkańcu Dobrzenia, protestującym przeciw przyłączeniu części gmin do Opola wbrew ich woli. Wiceminister resortu pozwał Romana Kołbuca za podanie jego publicznie dostępnego numeru telefonu, policja wtargnęła rano do domu pozwanego, skuła go jak niebezpiecznego przestępcę, założyła kartotekę. Trzeba było miesięcy, by człowiek został uniewinniony i oczyszczony z zarzutów.

Sam wiceminister uparcie lekceważy sąd i chowa się za immunitetem. Kiedy Krystyna Pietrek, była sołtyska Czarnowąs, miejscowości włączonej wbrew woli mieszkańców do Opola, do tego członkini Mniejszości Niemieckiej, pozwała go o kłamstwo w sprawie konsultacji społecznych, nie stawiał się na rozprawy.

– Jeszcze teraz się boję. Zabrano mi spokojny sen – skarży się pani Krystyna, która czuje się zaszczuta przez Patryka Jakiego, mówiącego o konieczności ograniczania niemieckich nazw i praw mniejszości, „bo tu jest Polska!". Znany z germanofobii i antyśląskości Jaki i prezes Kaczyński zapowiadali zmiany w prawie dotyczącym mniejszości. – A ja wiem, czy mi domu nie zabiorą? W tej chwili wszystko można uchwalić – mówiła portalowi Opowiecie.info. Zbiera siły w sanatorium. Czeka na koniec kadencji posła Jakiego, by nie zasłaniał się immunitetem, chce dokończyć sprawę w sądzie.

Jednym z nielicznych, którzy odważyli się przeciwstawić Jakiemu, jest poseł z Nysy Janusz Sanocki. Skądinąd znany z kontrowersyjnych, trudnych do zaakceptowania (nawet dla PiS czy Kukiz'15) poglądów. Sanocki mógłby być ojcem Patryka Jakiego. Działacz Duszpasterstwa Akademickiego w Krakowie, przez dwa lata członek PZPR, członek Solidarności internowany na rok w stanie wojennym, potem uczestnik Okrągłego Stołu, samorządowiec, poseł z listy Kukiz'15, w Sejmie bez przynależności klubowej. Sanocki nie wytrzymał i napisał list do Jarosława Kaczyńskiego. Za pośrednictwem mediów. Pokazał wycinek działań Patryka Jakiego na maleńkim obszarze, w Nysie, pięknym mieście zagrożonym demograficzną i ekonomiczną katastrofą.

– Nie o taką Polskę walczyłem. Widzę cynicznych młodych polityków, patrzę na moje miasto, które przez cztery lata rządów aktualnego burmistrza jest zdewastowane, zaniedbane. W rynku nie ma kawałka porządnej ulicy, młodzi ludzie wyjeżdżają, strefa ekonomiczna nieuzbrojona, bo tym trudno się spektakularnie pochwalić, obiekty sportowe, do których trzeba dopłacać. Dochody miasta i gminy

eprasa.pl fd795dabb0

nie przekraczają 200 mln zł rocznie, a zadłużenie gminy i spółek gminnych wynosi 170 mln, to zagrożenie dla miasta i gminy. Kiedy PiS wygrało wybory, to Jaki – najsilniejszy regionalny polityk w rządzie, drugą kadencję w Sejmie, choć z Solidarnej Polski – zaczął rozdawać stanowiska w państwowych agencjach wskazanym przez burmistrza osobom. *Gros*

jej kompetencje domagał się Tomasz Hankus, prowadzący portal Jawność.nysa.pl. Musiał czekać na wyrok Sądu Administracyjnego w Opolu, by dyrekcja Carolinum udostępniła mu informacje publiczne. Wątpliwości co do kompetencji pozostały, ale „falandyzacja" prawa w kwestiach obsadzania swoimi ludźmi stanowisk na całej Opolszczyźnie towarzyszy działaniom ministra

otrzymali stanowiska z rekomendacji Solidarnej Polski i Patryka Jakiego. Paweł znajduje się na niechlubnej liście „40 Misiewiczów".

– Jestem ostatnim, który by rzucał teraz kamieniami w komunizm, bo to bardzo mocno odgrzewane kotlety. Jaki, czołowy antykomunista, popiera dawnych działaczy SLD, chociaż PiS wystawia swojego kandydata. Mówię o tym, bo takie działanie świadczy o podwójnych standardach moralnych Jakiego – podkreśla Sanocki z oburzeniem.

W swoim politycznym mateczniku Jaki zbudował imperium powiązań. Nie tylko w Opolu, ale też w Nysie, Namysłowie czy Otmuchowie.

radnych trafiło do Agencji Restrukturyzacji i Modernizacji Rolnictwa. Jeden jest filozofem, drugi ratownikiem medycznym, pojęcia nie mają o rolnictwie, a zostali kierownikami jednostek – wylicza poseł Sanocki.

Jaki bywał często w Nysie, czym burmistrz chwali się np. na FB: „Minister, który bardzo mocno wspiera nasze działania i jest niezwykle skuteczny. Mamy sprzymierzeńców w Warszawie…". Sprzymierzeniec zaiste jest bardzo skuteczny – jak trzeba, to Ministerstwo Sprawiedliwości zajmuje się nawet strażą pożarną. Jaki jako minister zafundował miejscowości Kępnica w gminie Nysa wóz strażacki za 1,2 mln zł. Tak też się buduje zaplecze. Powiat nyski jest największy w województwie opolskim, tu prawica zbiera najwięcej głosów.

Sanocki jest oburzony tym, jak protegowany Jakiego – burmistrz Nysy Kordian Kolbiarz buduje sobie zaplecze za pieniądze miasta. – Za poprzedniej burmistrz Urząd Miejski w Nysie zatrudniał 160 osób. Według raportu Państwowej Inspekcji Pracy z maja 2018 r. teraz pracuje w nim o 90 osób więcej, co kosztuje miasto dodatkowo 7 mln zł rocznie. Chyba w całej Polsce nie ma takiego przykładu! A wszystko pod ochroną pana Jakiego – zżyma się poseł z Nysy. Koledzy z PiS przyznają, że Jaki wytrwale zabiegał w partii o poparcie obecnego burmistrza w nadchodzących wyborach. Nie udało się.

Za to udało się wcześniej z żoną Kolbiarza Magdaleną, w 2017 r. jeszcze kierownik administracyjno-gospodarczą w miejscowym liceum, Carolinum. 2 stycznia 2018 r. Ministerstwo Sprawiedliwości poinformowało, że Magdalenę Kolbiarz powołano na dyrektora Sądu Rejonowego w Prudniku. Wglądu w dokumenty potwierdzające Jakiego od początku. „Ta sprawa pokazuje, że trudno uznać, aby znajomość obecnego burmistrza z wiceministrem sprawiedliwości nie miała wpływu na zatrudnienie żony burmistrza w pobliskim sądzie", czytam na portalu.

ANTYKOMUNIŚCIE SLD NIE ŚMIERDZI

– PiS wszędzie głosi swój antykomunizm, a tu, w Otmuchowie, niedaleko Nysy działają Jan Stępkowski, współtwórca SLD w 1999 r., i Piotr Burski, założyciel SLD w Otmuchowie, wieloletni działacz PZPR do jej rozwiązania. Obaj chwalą się poparciem ministra Jakiego – wylicza poseł. Na ulotce wyborczej zdjęcie Jakiego i tekst „Popieram kandydaturę Jana Stępkowskiego, Patryk



Nie wszyscy opolanie są fanami Patryka Jakiego.

Jaki, wiceminister sprawiedliwości". Stępkowski jest szefem wojewódzkiego oddziału ARMiR w Opolu, chce zostać burmistrzem Otmuchowa. Brat Jana Stępkowskiego, Józef, jest prezesem zarządu Stadniny Koni Prudnik, a 29-letni syn Paweł Stępkowski – wiceprezesem zarządu Grupy Azoty CTL Chemkol Kędzierzyn. Wszyscy

SZERYF DLA WARSZAWY, TWÓRCA UKŁADU U SIEBIE

Sanocki: – Cieszyłem się z powstania komisji reprywatyzacyjnej, głosowałem za, wysłałem Jakiemu SMS, że dobrze, że pięknie. Kiedy teraz patrzę, jak on tam walczy z korupcją, a tutaj buduje układy, dochodzę do wniosku, że liczy się tylko korzyść polityczna. Ten układ jest taki sam albo i gorszy.

Kazus Nysy wydaje się dobrym powodem do pytania o sytuację samorządności. – Jak to możliwe, że ingerencja polityki idzie tak daleko? Już to, że Jaki kandyduje w Warszawie, świadczy o tym, że środowisko PiS nie wykreowało tam własnego kandydata, działacza. W każdym razie ja nie głosowałbym na Patryka, który tam zrobi przez kilka lat taki folwark, że dopiero się zdziwią – mówi Sanocki wprost.

Gdy w Nysie zmieniano studium zagospodarowania przestrzennego na plan niekorzystny dla mieszkańców, a korzystny dla pewnego dewelopera i interesów burmistrza Kolbiarza, Patryk Jaki przysłał „swojego" posła z Namysłowa, Bartłomieja Stawiarskiego – opowiada dalej Sanocki. – Znają się dobrze, bo poseł PiS ma w Opolu wspólne biuro poselskie z Jakim. Nie wie, o co chodzi w Nysie, ale za zmianą agitował, jak chciał Jaki. Wracaliśmy pociągiem z Warszawy i pytam go: „Czy ty wiesz, za czym agitowałeś?". „Nie", odpowiada. „No to na jakiej podstawie tak robiłeś? To skrajna nieuczciwość albo brak odpowiedzialności".

Stawiarski obnosi się z kontaktami z Jakim i krewnym Andrzeja Dudy Antonim – mówią ludzie z opozycji w Namysłowie. Dziś Stawiarski w boju o fotel burmistrza Namysłowa ma filmik z Patrykiem Jakim udzielającym mu wsparcia. Premier

FOT. RAFAŁ OLEKSIEWICZ/REPORTER, ARTUR JANOWSKI/NOWA TRYBUNA OPOLSKA/POLSKA PRESS

eprasa.pl fd795dabb0

Morawiecki był w Namysłowie i też go poparł. Marzena Stawiarska, nieznana z działalności politycznej żona posła, została jedynką na liście PiS. Bo Jaki jest lojalny.

JAK TO MOŻLIWE?

Ośrodek Monitorowania Zachowań Rasistowskich i Ksenofobicznych ma pełne ręce roboty z ludźmi Jakiego. Wpis Stawiarskiego na temat imigrantów, choinki w Brukseli i właścicieli budki z kebabem w Namysłowie, nie dość, że zmanipulowany, był antyislamski i antyuchodźczy. Podobnie z wpisem Tomasza Wróbla, radnego Opola, szefa AZS oraz wrogo przejętego klubu sportowego Gwardia (pisał o uchodźcach – gwałcicielach kóz). Ciekawe, bo Stawiarski zasiada w Sejmie m.in. w komisji mniejszości narodowych i etnicznych. Jako poseł współorganizował marsz pod flagami ONR w obronie przed „nachodźcami". To miało być jego „osobiste Westerplatte". Zupełnie jak Westerplatte Patryka Jakiego, już w 2015 r. na marszu antyimigranckim w Opolu wprowadzone przez niego do języka antyuchodźczego i antyislamskiego – wraz z powinnością, słuszną sprawą oraz walką o polskość i wartości chrześcijańskie.

Jaki pamięta o zasługach, dzwoni na urodziny. Nie zapomina krzywd.

Patryk Jaki nie pokazuje się w Opolu bez obstawy policji. Na pewno nie bywa w regionie w okolicach 19. dnia miesiąca. To święty dzień protestów od 19 lipca 2016 r., kiedy zdecydowano o losach tysięcy ludzi z zaanektowanych do Opola gmin. Powiększenie granic Opola do obszaru większego niż Paryż, czym niezmiernie chwalą się władze miasta, odbyło się z naruszeniem zasad demokratycznych. Było demonstracją siły PiS wobec samorządów: „my tu rządzimy", a mniejszości niemieckiej pokazano, że „tu jest Polska". W jednej tylko poszkodowanej gminie, Dobrzeniu, przeciw włączeniu było 99,7% mieszkańców. Patryk Jaki uważa się za ojca powiększenia Opola, które zyskało na tym grube miliony (podatki z Elektrowni Opole), ale w podopolskich wsiach stał się najbardziej znienawidzonym politykiem.

Lista beneficjentów znajomości z Patrykiem Jakim jest bardzo długa. Niektórzy nazywają to siecią powiązań, a nawet ośmiornicą. Jarosław Kaczyński – zblatowaniem. O rodzinie Stępkowskich już pisałam. Sławomir Brzeziński, dawny kolega z rady miasta w Opolu, znalazł się w Grupie Azoty Kędzierzyn i Grupie Azoty Police PDH Polska. Marcin Rol, najbliższy kolega Jakiego, dawniej kelner w knajpce jego przyszłej żony, potem wiceprezydent Opola – w radzie nadzorczej spółki Śląski Rynek Hurtowy w Katowicach. Do Grupy Azoty PKCH w Tarnowie weszli Adam Sadłowski (dawniej PiS) i Jan Chabraszewski; Małgorzata Wilkos, asystentka w biurze poselskim Patryka Jakiego, opolska radna – do Tauron Dystrybucji. 28-letni Damian Kapkowski – do Totalizatora Sportowego Oddział w Opolu i spółki ELKOM Opole. Posady znalazły się także w PGE Elektrowni Opole, Elektrowni Chorzów i Grupie Azoty Automatyka w Tarnowie. Dyrektorem Krajowego Ośrodka Wsparcia Rolnictwa w Opolu został Radosław Jarosz; zastępcą dyrektora Zakładu Karnego w Nysie – Sebastian Jankowicz, kolega Pawła Stępkowskiego; dyrektorem TVP Opole – Mateusz Magdziarz. – Kiedy czyjeś decyzje panu Jakiemu czy jego środowisku się nie podobają, robi się materiał na zamówienie, TVP służy pomocą, tu nie lubi się PiS i prezydenta miasta – mówi mi proszący o anonimowość polityk.

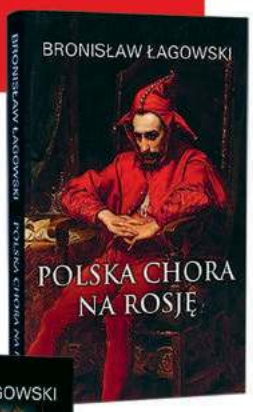
Swoje ukochane dziecko, budowę Muzeum Żołnierzy Wyklętych w areszcie przy Rakowieckiej, Jaki oddał w ręce starego kumpla z Opola – byłego wiceprezydenta, Arkadiusza Karbowiaka. Janusz Kowalski, mentor młodego Jakiego, jest członkiem zarządu PWPW SA w Warszawie i rady nadzorczej KGHM.

Jaki swoje wpływy buduje wszechstronnie. To oznacza również pieniądze na kampanie, na fundacje „po linii", na ukochaną drużynę piłki nożnej Odra Opole.

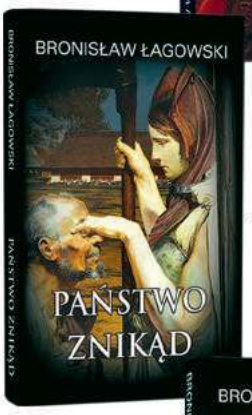
Janusz Sanocki pyta prominentnych polityków PiS, jak to możliwe. Takie są koszty tego wszystkiego, nic dziwnego w tym nie ma – słyszy. – Przyzwolenie jest, *così fan tutte*! Tak robią wszyscy! – kończy poseł, którego nic już nie powinno dziwić.

Beata Dżon-Ozimek

JEŚLI CHCESZ ZROZUMIEĆ, CO SIĘ DZIEJE Z POLSKĄ



48 zł



46 zł



47 zł

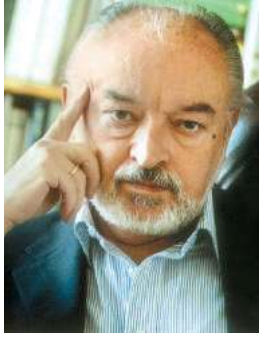
KUP PAKIET KSIĄŻEK PROFESORA ŁAGOWSKIEGO

Pakiet 3 tomów z autografem za 120 zł*

Pakiet i poszczególne książki można kupić, wpłacając odpowiednią kwotę na konto wydawcy PRZEGLĄDU nr 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821 Fundacja Oratio Recta, 03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7, oraz podając dokładny adres, pod który ma trafić przesyłka polecona, lub przez sklep internetowy: **www.sklep.tygodnikprzeglad.pl**

Więcej informacji: tel.: (22) 635 84 10 wew. 111, e-mail: sklep@tygodnikprzeglad.pl. *Promocyjne ceny obowiązują do wyczerpania zapasów. Liczba egzemplarzy z autografem ograniczona.

eprasa.pl fd795dabb0



Bez uprzedzeń

Bronisław Łagowski

NARODOWE SAMODURSTWO

Nie wiadomo, czy zimna wojna między mocarstwami Wschodu i Zachodu by się skończyła, gdyby polski pułkownik tego nie chciał. Na placu przydworcowym w Krakowie postawiono pomnik na cześć tego pułkownika. Pokrzyżował on plany Imperium Zła i obudził ducha bojowego w imperium dobra, jednym słowem zburzył system wielkomocarstwowy. Jakże nie uczcić pomnikiem tego zbawiciela Polski, Europy i całego świata.

Treść napisu jest podana także w języku angielskim, więc jakiś turysta zagraniczny nad nią się zastanowi, bo Polak nie musi; wie on przecież, że w Polakach tkwi niewidzialna moc, która łamie wszystkie przeszkody i ze wszystkiego wychodzi zwycięsko, podczas gdy inne narody zwyciężają tylko wtedy, gdy zapewnią sobie solidną przewagę nad siłami przeciwnymi. Gdyby nie Solidarność, mur berliński stałby do dziś, bo przecież sam by się nie zburzył.

Polska odzyskała niepodległość w 1918 r. dzięki temu, że państwa niemieckie zostały pokonane przez Francuzów i Anglików. Jednakże każde polskie dziecko, niezależnie od wieku – bo w Polsce istnieją również stare dzieci – wie, że niepodległość Polski wywalczył Józef Piłsudski. Republika Francuska w wojnie z Niemcami poświęciła życie półtora miliona młodych Francuzów. Każde polskie dziecko, stare i młode, powinno widzieć związek przyczynowy między tą ofiarą Francuzów a odzyskaną niepodległością Polski. Czy widzi? Widzi ono raczej Piłsudskiego siedzącego w magdeburskim areszcie i pragnącego z całej duszy – chcieć to móc – niepodległości Polski. I to raczej z tego bohaterskiego chcenia niepodległość wywodzi. Gdy Piłsudski przyjechał do Warszawy w niezaplombowanym wagonie, w kraju istniały już dwa rządy polskie, ale żeby zapanowała niepodległość, trzeba było, żeby Piłsudski to ogłosił. Liczą się bowiem słowa, legenda, romantyczna malowniczość, a nie namacalne fakty.

Gdy minister Beck, wbrew dyplomacji aliantów, czynił niezrozumiałe dziś zaloty do Niemiec hitlerowskich, Winston Churchill musiał mu przypomnieć, skąd niepodległość Polski się wzięła. „Zawsze uważałem, że jedną z najbardziej podnoszących na duchu konsekwencji wojny światowej było wyzwolenie Polski. Czujne, niespożyte pojęcie narodowej jedności, jakie przejawiają Polacy, jest jednym z cudów historii…”. Co doprowadziło do tego „podnoszącego na duchu” wyzwolenia? Doszło ono do skutku – podkreśla Churchill – w wyniku francuskich i brytyjskich ofiar i zwycięstw. I następnie: „Żaden z badaczy nieodległej przeszłości nie mógł nie odczuwać bólu, widząc, jak odrodzona Polska w tych ostatnich kilku miesiącach (pisane w grudniu 1938) wykazuje całkowitą obojętność zarówno wobec państw, które ją wyzwoliły, jak i wobec prawa i porządku w Europie”. Taka jest prawda dla dorosłych: Polska uzyskała niepodległość dzięki zwycięstwu aliantów – Francji i Anglii – nad państwami niemieckimi, a o legionach Piłsudskiego nie znajdziecie wzmianki w największych zachodnich monografiach o I wojnie światowej. W czasie tej wojny zginęło na frontach wielu Polaków, ale w polskich formacjach, pod polskimi sztandarami, najmniej. Nie należy przyjmować pozy wielkich zwycięzców, gdy w rzeczywistości było się beneficjentem cudzych zwycięstw, okupionych w przypadku Francuzów śmiercią półtora miliona młodych mężczyzn.

Mitologia samowyzwolenia nie ma w sobie nic osobliwie polskiego. Wszystkie narody wyzwolone głoszą, że wyzwoliły się same dzięki swemu heroizmowi – tak samo Polacy, jak Litwini, Łotysze czy Estończycy. Z tego uroczystego fałszu wyprowadza się później wnioski polityczne mocno szkodliwe, dlatego ktoś powinien się podjąć złośliwej czynności nakłuwania balonów. Gwoli szacunku dla rzeczywistości.

•

Żeby Polaków przywieść do skromniejszego myślenia o sobie, bo megalomania, do której powodów nie mają, bardzo im szkodzi, robią ludzie złośliwi kampanię dydaktyczną, mającą oddziałać na ich sumienia. Mówi im się więc, że bardzo zawinili wobec Żydów i bywali nawet wspólnikami sprawców Holokaustu. Mniejsza o to, ile jest prawdy w tej dydaktyce, ożywiający ją zamysł jest chybiony. Polacy nie pretendują do wyższości moralnej, do humanitaryzmu czy innych cnót uniwersalnych. Na czym więc opierają swoje poczucie wyższości? Popatrzmy na politykę zagraniczną naszego państwa. Jednym z najważniejszych zadań polskiej dyplomacji jest głoszenie światu, że bardzośmy cierpieli, bardzo dostawali w d… od naszych silniejszych sąsiadów. Program tej dyplomacji, opracowany szczegółowo, jeśli się nie mylę, przez pana ministra Dziedziczaka, ma poinformować świat o naszym heroizmie i męczeństwie, które to rzeczy są tak sobie bliskie, że może są jednym i tym samym, przynajmniej według polskiej teologii politycznej. Z historii swoich cierpień Polacy, tzn. rządy polskie, nie wyprowadzają polityki ostrożności, przeciwnie, ożywia ich żądza odwetu. Skupcie uwagę na tym, co mówi i co robi obóz panujący. Polska nie ma polityki obronnej. Polska ma dyplomację zemsty.

Poprzednie felietony na www.tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl fd795dabb0

Ewa Rogowska



NIE KOP, NIE BIJ, NIE

Matka ma 60 lat, córka 22. Córka jest potężniejsza i pewnie silniejsza. Mieszkają pod Górą Kalwarią, podobno mają trudną sytuację rodzinną. Dlatego zawadzał im w domu pięciomiesięczny szczeniak, Misio, o płowej, miękkiej sierści, klapniętych uszach i smutnym wzroku. Od dawna był niedożywiony. Ale wciąż żył i przeszkadzał kobietom. 15 sierpnia tego roku przed południem były totalnie wkurzone. Wtedy postanowiły pozbyć się psa. Mogły go komuś oddać, zawieźć do schroniska. Ale nie. Zdecydowały, że go utopią. Jedna z nich związała psu łapy taśmą klejącą. Potem wcisnęły szczeniaka do foliowego worka. Dla pewności, by przypadkiem się nie oswobodził, worek foliowy wrzuciły do worka na gruz i dołożyły dużych rozmiarów kamień. Żeby szybko poszedł na dno.

Od 90 lat prawo w Polsce chroni zwierzęta, a ludzie wciąż dopuszczają się bestialstwa

Pojechały samochodem nad jeziorko w Dolinie Moczydłowskiej. Wytaszczyły worek na brzeg i zaczęły w niego kopać. Nie wzruszał ich skowyt psa. Na koniec próbowały worek utopić. To psie wołanie o ratunek usłyszała pani X. Kiedy zobaczyła, co kobiety robią, krzyknęła z przerażenia. Spłoszone pobiegły do samochodu i odjechały. Pani X otworzyła worek i zobaczyła zakrwawionego psa. Zawiozła go na komisariat w Górze Kalwarii. Policjanci zawiadomili Służbę Ochrony i Ratownictwa Zwierząt Animal Rescue Polska. Szczeniak trafił do weterynarza. Stwierdzono opuchliznę głowy i pyska, podejrzewano też złamanie miednicy.

W Animal Rescue wpadli na pomysł, by ogłosić w internecie, że mają u siebie psa, który błąkał się nad Wisłą. Liczyli, że odezwą się właścicielki. I tak się stało. Zadzwoniła kobieta, która dokładnie opisała psa. Miał zerwać się ze smyczy. Ratownicy zaproponowali, że przywiozą jej szczeniaka. Pojechali z panią X. Rozpoznała kobiety. Obie zostały zatrzymane przez policję i usłyszały zarzuty. Według zaostrzonych od kwietnia przepisów Ustawy o ochronie zwierząt za znęcanie się ze szczególnym okrucieństwem grozi im od trzech miesięcy do pięciu lat więzienia oraz zapłata nawiązki, którą sąd określi na kwotę od 1 tys. do 100 tys. zł, na cel związany z ochroną zwierząt.

PRZYZWOLENIE

Psycholog Piotr Mosak mówi, że nigdy nie miał pacjenta, który oczekiwał fachowego wsparcia, by przestać znęcać się nad zwierzętami. Nie słyszał też, by do któregoś psychologa ktoś z takim problemem przyszedł.

– W pewnych kręgach jest przyzwolenie na znęcanie się nad zwierzętami – mówi Mosak. – Uważa się, że jeżeli pies szczeka, a człowiekowi to przeszkadza, ma on prawo ukarać zwierzę. Albo ma prawo uderzyć, żeby odreagować stres po powrocie z pracy. Inny aspekt znęcania się nad zwierzętami to traktowanie takiego zachowania jako specyficznej atrakcji. Na przykład jeśli właścicielowi znudzi się aportowanie przez psa piłki, to szuka innej, drastycznej formy rozrywki z udziałem zwierzęcia. Niektórzy ludzie traktują zwierzęta jak przedmioty. Pewna starsza pani powiedziała mi, że jak się urodzą kotki, to je utopi. Zdziwiłem się, bo nie wyglądała na osobę, która mogłaby uśmiercić kota. A ona na to, że jakie tam uśmiercenie, ona je tylko utopi. Najczęściej zdarza się tak, że jeśli już młodzi ludzie uczestniczą w zabawach polegających na znęcaniu się nad zwierzęciem, to w grupie jest jeden prowodyr, a pozostali – choć sami by się nie dopuścili takich czynów – jednak się przyglądają. Na pewno normalny człowiek ze średnim poziomem empatii nie jest w stanie zadawać bólu jakiejś istocie. I jeśli rolnik walczy z gryzoniami na polu, nawet

eprasa.pl fd795dabb0



OŚLEPIAJ

zabijając mysz widłami, to nie dlatego, że sprawia mu to przyjemność, ale by ochronić swoje zbiory. Nie znęca się, tylko zadaje szybką śmierć.

Pojęcie znęcania się nad zwierzętami jest bardzo szerokie. Najbardziej oczywiste są te przypadki, kiedy człowiek bije lub kopie zwierzę, podpala mu sierść, łamie łapy, wydłubuje oczy. Ale znęcaniem się jest również głodzenie zwierzęcia, zamykanie go w boksie o powierzchni zbyt małej, by mogło się położyć, lub wtłaczanie do takiego boksu czy klatki tylu osobników, że nawzajem się tratują. Znęcanie się nad zwierzęciem domowym to też wyrzucenie go z domu. Jeżeli ktoś wywozi psa lub kota do odległego lasu i tam zostawia, naraża się na karę więzienia do lat dwóch.

ŻYCIE W KLATCE

Ale są takie sytuacje, kiedy prawo mówi: dozwolone, a obrońcy praw zwierząt protestują. Dotyczy to np. warunków panujących w fermach zwierząt futerkowych, fermach niosek czy hodowlach kurczaków.

W Polsce ok. 38,5 mln kur żyje i znosi jaja w systemie klatkowym. Każda kura ma do życia spłachetek podłogi o powierzchni 30 na 25 cm. Do tego dostęp do gniazda, miejsce do kąpieli piaskowej, grzędę. Żadna z nich nie wychodzi ani na minutę z hali. Przez półtora roku każda znosi 200-300 jaj. Potem jej wydajność spada i idzie na rzeź. Jaja z chowu klatkowego są najtańsze. Jeszcze siedem lat temu w większości sklepów oferowano jedynie jaja z symbolem 3. Teraz klient ma wybór. Niektóre sieci handlowe, restauracje i hotele już zrezygnowały z jaj trójek. Podobnie część producentów żywności. 25 września w Parlamencie Europejskim zainaugurowano inicjatywę obywatelską „Koniec epoki klatkowej". W Polsce i sześciu innych krajach będą przez rok zbierane podpisy poparcia.

Protesty dotyczą też hodowli zwierząt futerkowych. Lisy czy norki mają w klatkach znikomą przestrzeń do życia. W 2015 r. aktywiści Stowarzyszenia Otwarte Klatki weszli potajemnie na teren fermy lisów w Kościanie. Lisy były tam zabijane na oczach współtowarzyszy, a ich zwłoki rzucano obok klatek. Członkowie stowarzyszenia sfilmowali te dramatyczne sceny i złożyli zawiadomienie do prokuratury. Sprawa trwała dwa i pół roku. Wyrok w pierwszej instancji zapadł w kwietniu br. Sąd skazał właściciela fermy na osiem miesięcy pozbawienia wolności w zawieszeniu na dwa lata, pięcioletni zakaz hodowli zwierząt oraz 5 tys. zł grzywny na rzecz Stowarzyszenia Otwarte Klatki.

Ustawa o ochronie zwierząt nie zakazuje ich wykorzystywania do pokazów w cyrkach. Ale prezydent Poznania już kilka lat temu nie zezwolił na udostępnianie terenów miejskich pod działalność cyrków, w których wykorzystywane są zwierzęta. Zakaz nie obejmuje jednak terenów prywatnych. Dlatego właściciel działki przy ul. Piłsudskiego mógł ją wynająć cyrkowi prezentującemu pokazy tresury. Aktywiści fundacji Viva! Akcja dla Zwierząt postanowili zaprotestować przeciwko występom. Argumentowali, że zwierzęta są trzymane w ciasnych klatkach, a z powodu tresury chorują fizycznie i psychicznie. W niedzielę, 23 września pojawili się przed cyrkiem z transparentami: „Tresura to tortura", „Twoje milczenie, ich cierpienie", „Zwierzę w cyrku cierpi. Rozumiesz? Twoja bierność to współudział". Mimo to ludzie zasiedli na widowni, a widowisko się odbyło.

CELESTYNOWSKI RAJ

Moka jest kundelkiem. Szaroburą zwyczajną suczką. Może dlatego do tej pory nikt jej nie chciał.

– Jeśli zwierzę, które do nas trafia, nie ma poderżniętego gardła czy urwanej łapy, to ma mniejsze szanse na adopcję, bo jest zwykłym bezdomniakiem, który uciekł właścicielowi albo został przez niego wyrzucony – przyznaje Łukasz Balcer, dyrektor schroniska w Celestynowie, a jednocześnie społeczny prezes Towarzystwa Opieki nad Zwierzętami w Polsce. – Ludzie litują się nad tymi zwierzętami, które były katowane, i one szybciej znajdują dom. Jeśli zamieszczamy w internecie zdjęcie okaleczonego zwierzęcia, ogląda je więcej osób niż zdjęcie zwierzęcia zdrowego.

Moka też ma za sobą przejścia. Trafiła do schroniska ze skomplikowanym złamaniem tylnej łapy. Nie ma wątpliwości, że zrobił to człowiek. Dziś łapa jest sprawna. Tylko w psiej głowie pozostała trauma po przeżytych cierpieniach. Na widok nieznanego człowieka Moka szczeka zawzięcie i rzuca się na ogrodzenie boksu.

Pysiowi kolczatka, niezmieniana od szczenięcych lat, wrosła w szyję.

Schronisko dla Bezdomnych Zwierząt w Celestynowie w województwie mazowieckim prowadzi Towarzystwo Opieki nad Zwierzętami w Polsce. To jedyne w kraju ich własne, społeczne schronisko, kilkanaście pozostałych towarzystwo prowadzi w różnych regionach kraju na zlecenie gmin, po wygranych konkursach. Organizacja działa już ponad 150 lat.

W schronisku nie ma dziś zwierząt z widocznymi śladami maltretowania. Ale w ewidencji zapisano, w jakich okolicznościach tu trafiły. Właściwie większość ma za sobą dramatyczne przeżycia. Myszka i Liszka to psy w typie Corgi, ukochanej rasy

eprasa.pl fd795dabb0

królowej Elżbiety II. Na nowych ludzi szczekają zajadle. Dostojny Major, podobny do owczarka, też był obiektem znęcania się, zanim trafił do schroniska. Cudowny Rex przypominający doga również wiele wycierpiał. Teraz przyjeżdża do niego pewna rodzina aż z Poznania i wszystko wskazuje, że adoptuje zwierzę.

Pies w typie wilczura, jeszcze bez imienia, jest w trakcie kwarantanny, bo niedawno przybył do schroniska. Panicznie boi się mężczyzn, na ich widok od razu chowa się do budy. Nietrudno się domyślić, że właśnie z ręki mężczyzny doznał krzywdy. Łukasz Balcer przemawia do niego ciepłym głosem, namawia, by zbliżył się do ogrodzenia. I pies powoli, nieufnie, drepcze ku niemu, przygląda się, węszy. Ale strach wraca i zwierzę znów umyka do budy. – Czeka nas żmudna praca, zanim odzyskamy jego zaufanie – mówi ze smutkiem Balcer.

Dyrektor jest związany ze schroniskiem w Celestynowie od wielu lat. Przez ten czas przewinęło się przez to miejsce mnóstwo psów i kotów. Ale są takie, których nie sposób zapomnieć. Na przykład był kot, który został przywiązany do szyny kolejowej. Zapewne dla zabawy. Pociąg odciął mu łapę i dopiero wtedy zwierzę wyswobodziło się z więzów. Kiedy przyjechali ludzie ze schroniska, kot był tak przerażony, że uciekał na trzech łapach. W schronisku przeszedł rehabilitację, znalazł nowy dom. Był pies Pysio, latami trzymany przez właściciela na łańcuchu – kolczatka, niezmieniana od szczenięcych lat, wrosła mu w szyję. W końcu zerwał się z łańcucha i uciekł. Zauważył go właściciel garażu, w którym się schronił. To on zaalarmował schronisko. Pysio przeszedł operację, potem długie leczenie, ale wyzdrowiał. Po jakichś ośmiu latach traumy u poprzedniego właściciela znalazł nowy dom.

Dla wielu psich i kocich pensjonariuszy trafić do Celestynowa to jak przejść z piekła do nieba. Tu jest wszystko, co do szczęścia potrzebne: przestronne, czyste boksy, przyzwoite, ocieplane budy, jedzenie dostosowane do wieku, długie spacery z wolontariuszami po pobliskim lesie, pieszczoty, nawet baseny z wodą do kąpieli w każdym boksie w upalne dni. Ale w schronisku zabiega się o to, by zwierzęta jak najszybciej były adoptowane. Nowych właścicieli wybiera się z rozmysłem. Każdy musi wypełnić ankietę z ponad 30 pytaniami dotyczącymi m.in. warunków mieszkaniowych, rodziny, sposobu żywienia psa, spacerów, reakcji na niepożądane zachowanie pupila, leczenia, szkolenia, opieki nad psem w czasie wakacji i na starość. Nie ma pytania wprost: czy zamierzacie państwo znęcać się nad psem? Bo przecież odpowiedź zawsze brzmiałaby: nie. Pracownicy schroniska sprawdzają przyszłe miejsce zamieszkania zwierzęcia, ale nie są w stanie sprawować stałej kontroli. Muszą ufać.

Kiedy zwierzę trafia do nowego domu, może się okazać, że ma inny charakter, niż początkowo się wydawało. W schronisku pies był zgaszony, a po miesiącu czy dwóch nagle staje się agresywny, bo traumatyczne przejścia zostawiły ślad w jego psychice. Bywa, że nowi właściciele, zrezygnowani, przywożą zwierzę z powrotem do schroniska. Ale też zdarza się, że korzystają z porad behawiorysty, czyli psiego psychologa. Behawiorystka Beata Furtak twierdzi, że coraz częściej przychodzą do niej ludzie ze swoimi pupilami ze schronisk. Są zdecydowani ponosić koszty i pracować z psem, którego wybrali na przyjaciela. Bo przyjaciół nie opuszcza się w biedzie.

CZYM SKORUPKA NASIĄKNIE

Kiedy w sieci pojawił się film, na którym starszy mężczyzna sekatorem obcina psu ogon, internauci zawrzeli z oburzenia. Bo nie dość, że „na żywca" skrócił ogon, to jeszcze pozostawił psa wijącego się z bólu. Ustawa o ochronie zwierząt takich praktyk zakazuje. Kiedyś spanielom i bokserom obcinano ogony, a u dogów, dobermanów, sznaucerów i bokserów skracano małżowiny uszne. Teraz zostało to uznane za znęcanie się nad zwierzęciem. Można za to iść na dwa lata do więzienia. Również na więzienie mogą się narazić osoby, które rozmnażają psy dla zarobku, o ile nie robią tego w zarejestrowanych hodowlach psów rasowych.

– W kraju istnieją nielegalne hodowle psów, gdzie trzyma się suki w strasznych warunkach – mówi Łukasz Balcer. – Suki szczenią się niemal bez przerwy. Po latach, kiedy mają guzy sutków, właściciel po prostu je wyrzuca. Niektóre trafiają do nas. Leczymy je. Znajdujemy nowe domy.



Kury nioski spędzają życie w klatkach o powierzchni 30 na 25 cm.

Pseudohodowle są zabronione, ale możliwość zarobku kusi. Stąd ogłoszenia w internecie, że ktoś sprzeda obrożę, a psa odda gratis, tylko za zwrot kosztów szczepień i utrzymania.

Towarzystwo Opieki nad Zwierzętami w Polsce dba o to, by edukować ludzi, że nie powinni znęcać się nad zwierzętami. Inspektorzy towarzystwa bywają w szkołach, bo empatii w stosunku do zwierząt trzeba uczyć od najmłodszych lat. – Jeżeli dziecko będzie wiedziało, że nie wolno krzywdzić zwierząt, będzie zwracać uwagę rodzicowi, który kopie zwierzę, żeby tego nie robił – uważa Balcer. – Wiemy, że znęcanie się nad zwierzętami występuje nie tylko w rodzinach patologicznych. Czasem osobą maltretują-

eprasa.pl fd795dabb0

cą zwierzęta jest nasz sąsiad z bloku, sympatyczny facet, czasem kolega z korporacji na menedżerskim stanowisku. W ten sposób może odreagowują jakieś stresy. Czasem kupuje się dziecku psa pod choinkę lub na urodziny. A kiedy się znudzi, jak zabawka, wywozi się go do innej miejscowości.

Ludzie coraz częściej reagują na znęcanie się nad zwierzętami. Jeśli zauważą, że pies w jakimś gospodarstwie jest przez cały czas przywiązany do budy krótkim łańcuchem, interweniują: dzwonią do gminy, schroniska lub fundacji. Prawo zezwala na przywiązywanie psa łańcuchem, ale najwyżej na 12 godzin na dobę, a łańcuch powinien mieć co najmniej 3 m. Obrońcy zwierząt uważają, że powinno to być w ogóle zakazane. Od 2007 r. portal Psy.pl organizuje akcję „Zerwijmy łańcuchy". Aktywiści i celebryci przywiązują się łańcuchami. W tym roku happening odbędzie się w kilkudziesięciu miejscowościach 6 października.

ROK NIE WYROK

Prawo chroni zwierzęta w Polsce już 90 lat. 22 marca 1928 r. prezydent Ignacy Mościcki wydał Rozporządzenie o ochronie zwierząt. Podpisali je premier i minister spraw wojskowych Józef Piłsudski oraz wszyscy pozostali ministrowie. Art. 1 mówił: „Znęcanie się nad zwierzętami jest wzbronione. Za zwierzęta w rozumieniu niniejszego rozporządzenia uważa się wszelkie domowe i oswojone zwierzęta i ptactwo oraz zwierzęta i ptactwo dzikie, jako też ryby, płazy, owady itp.". Rozporządzenie określało dokładnie, jakie zachowania człowieka wobec zwierzęcia uważa się za znęcanie się. Opisano je w 11 punktach. Obok takich postępków jak bicie zwierząt przedmiotami twardymi i ostrymi albo zaopatrzonymi w urządzenia obliczone na sprawienie specjalnego bólu znalazło się także złośliwe straszenie i drażnienie zwierząt. Dla osób, które znęcały się nad zwierzętami, przewidziano karę grzywny do 2 tys. zł (wtedy robotnik w Warszawie zarabiał 100-150 zł miesięcznie) lub aresztu do sześciu tygodni, albo obie kary łącznie. Jeśli jednak ktoś znęcał się nad zwierzęciem w sposób wyjątkowo okrutny, mógł zostać skazany na karę więzienia do jednego roku.

Dwa lata później, 27 grudnia 1930 r., minister spraw wewnętrznych w porozumieniu z ministrem sprawiedliwości wydał rozporządzenie, w którym określił, jakie stowarzyszenia mogą współpracować z policją w ujawnianiu przestępstw przeciwko ochronie zwierząt. Takich organizacji było 11, m.in. Towarzystwo Opieki nad Zwierzętami i Polska Liga Przyjaciół Zwierząt w Warszawie. Ich delegaci mieli prawo uczestniczyć w dochodzeniu policyjnym prowadzonym w związku z przestępstwem przeciw ochronie zwierząt, a nawet samodzielnie prowadzić dochodzenie w zastępstwie policji (!) w przypadkach, „gdy policja jeszcze dochodzenia nie rozpoczęła albo rozpoczęte przekazała stowarzyszeniu".

Rozporządzenie z 1928 r. uchylone zostało dopiero w roku 1997, kiedy weszła w życie obecna Ustawa o ochronie zwierząt. Tegoroczna nowelizacja podwyższyła kary za zabijanie zwierząt i znęcanie się nad nimi. A także wprowadziła obowiązek zasądzania w każdym przypadku nawiązki na cel związany z ochroną zwierząt.

Nie wiadomo, czy jakieś sprawy rozpatrywane według znowelizowanej ustawy już zostały zakończone. Nawet jeśli tak, to wyrok zapewne jest nieprawomocny. W 2017 r. – i są to najnowsze dane – prokuratury w całym kraju prowadziły 4140 spraw z Ustawy o ochronie zwierząt, ponad połowę stanowiły sprawy dotyczące znęcania się. Osoby i organizacje zajmujące się walką o prawa zwierząt uważają, że wydawane w nich wyroki były za łagodne. – Kary powinny być jak najwyższe i jak najszybciej nakładane – uważa Łukasz Balcer. – Jeśli ktoś znęca się nad zwierzętami, to potem zaczyna się znęcać nad rodziną.

Kota przywiązano do szyny kolejowej. Pociąg odciął mu łapę.

W 2008 r., jak wynika z danych Ministerstwa Sprawiedliwości, w Polsce zapadło 581 wyroków z Ustawy o ochronie zwierząt. Aż 527 dotyczyło osób, które spowodowały śmierć zwierzęcia lub znęcały się nad nim. Jednak ponad połowa wyroków to były grzywny. Na pozbawienie wolności skazano 206 osób, ale przeważająca większość dostała karę z zawieszeniem. Do więzienia poszło jedynie 12 osób, a kara maksymalna wynosiła wówczas rok. W tym samym roku 51 spraw dotyczyło zabójstwa zwierzęcia lub znęcania się nad nim ze szczególnym okrucieństwem. Sześć osób dostało wyrok więzienia bez zawieszenia. Kara maksymalna wynosiła wówczas trzy lata.



Ten pies nie ma jeszcze imienia, w Celestynowie jest w trakcie kwarantanny. Panicznie boi się mężczyzn.

W 2012 r. po raz pierwszy znęcanie się nad zwierzętami zostało wyodrębnione jako oddzielne przestępstwo. Stąd wiadomo, że na 566 wyroków 114 dotyczyło właśnie znęcania się. Do więzienia trafiły za to jedynie trzy osoby, a 18 poszło do więzienia z powodu zabicia zwierzęcia w sposób okrutny albo okrutnego znęcania się nad nim.

Dwa lata później liczba wyroków za znęcanie się nad zwierzętami przewyższyła liczbę wyroków za zabicie zwierzęcia. W latach 2014-2016 było co roku ponad 280 wyroków za znęcanie się. Do więzienia za znęcanie się trafiło w tym czasie 27 osób. Za zabicie w sposób okrutny lub za okrutne znęcanie się – 64 osoby.

Czy teraz, kiedy kara więzienia przewidziana w ustawie jest wyższa, sądy będą po nią sięgać rzadziej, czy może częściej? Czy ludzie, którzy wciąż traktują zwierzęta jak przedmioty, wreszcie zrozumieją, że się mylą? Ustawa o ochronie zwierząt mówi w art. 1 pkt 1: „Zwierzę, jako istota żyjąca, zdolna do odczuwania cierpienia, nie jest rzeczą. Człowiek jest mu winien poszanowanie, ochronę i opiekę".

Ewa Rogowska

FOT. WOJCIECH ARTYNIEW/SE/EAST NEWS, LECH GAWUC/REPORTER, EWA ROGOWSKA

eprasa.pl fd795dabb0

POLITYCZNA SZTAFETA POKOLEŃ

Lewicowe partie – SPD, Die Grünen i Die Linke – oddalają się od swoich wartości i o własnych siłach już się nie pozbierają

Rozmawia Wojciech Osiński
Korespondencja z Berlina



PROF. PETER BRANDT

– niemiecki historyk, politolog i publicysta, profesor Uniwersytetu w Hagen, wydawca periodyku „Globkult", członek SPD, syn byłego kanclerza Niemiec Willy'ego Brandta.

Panie profesorze, dlaczego dołączył pan do nowego lewicowego ruchu Aufstehen?

– Bo uważam, że wszystkie trzy lewicowe partie – SPD, Die Grünen i Die Linke – oddalają się od swoich wartości i o własnych siłach już się nie pozbierają. W każdym razie nie bez oddolnych impulsów. Zieloni wprawdzie zyskują tu i ówdzie sondażową popularność, ale tylko dlatego, że chcą zachować opcję rządzenia i rezygnują z celów, które im kiedyś przyświecały. Podobnie jest zresztą z moją partią SPD, ulegającą pokusom neoliberalizmu. Niemiecka socjaldemokracja powinna znów się skoncentrować na tym, co ustaliła już ponad sto lat temu – na problemach społecznych.

Czy Aufstehen ma być pierwszym poważnym krokiem ku realizacji marzenia o czerwono-czerwono-zielonej koalicji?

– Sama realizacja koalicji SPD-Zieloni-Lewica niestety już nie wystarczy. Potrzebny jest szeroki ruch po lewej stronie, który skończy z neoliberalnym obłędem. Socjaldemokraci i Zieloni z każdym dniem są coraz dalej od trosk zwykłych obywateli. To ma być ruch otwarty, dla wszystkich, którzy chcą w Niemczech coś zmienić, ale nie mają żadnej alternatywy poza skrajnie prawicową i pozbawioną programu Alternatywą dla Niemiec.

To jeden z głównych zarzutów pod adresem założycielki ruchu, Sahry Wagenknecht. Niektórzy twierdzą, że liderka Die Linke forsuje antyimigrancką inicjatywę, która ma konkurować z AfD.

– To nieprawda, nie trzeba być antyimigranckim, by się nie zgadzać z polityką Wielkiej Koalicji. Natomiast z pewnością AfD jest zagrożeniem. Liderzy tej partii zauważyli, że zyskują popularność, gdy pozbywają się osób umiarkowanych. Mylił się ten, kto twierdził, że wraz z pozbyciem się Bernda Luckego, Frauke Petry i niebawem też Jörga Meuthena dojdzie w tym ugrupowaniu do rozłamu. AfD rośnie w siłę i jest na najlepszej drodze do zostania niemieckim Front National. Bez wątpienia zaś nie możemy ignorować zmartwień niemieckich obywateli. Wielu dołączających do AfD to ludzie lewicy, którzy są przesyceni polityką SPD. Musimy ich odzyskać, ale mądrze – bez krzyczenia na imigrantów. Zresztą ruch Aufstehen liczy już ponad 150 tys. członków. Powstają liczne lokalne struktury, działają w nich wspaniali ludzie, którzy nie mają nic wspólnego z Sahrą Wagenknecht czy Oskarem Lafontainem. Aufstehen nie jest prywatną firmą ich dwojga.

Potrzebny jest szeroki ruch po lewej stronie, który skończy z neoliberalnym obłędem.

Ale wiele osób z SPD i lewicowej opozycji nie chce brać udziału w tej inicjatywie, twierdząc, że ruch osłabia niemiecką lewicę. Nawet Matthias Miersch, działacz lewego skrzydła SPD, twierdzi, że Aufstehen przeciwdziała dążeniom do zawarcia sojuszu SPD-Zieloni-Lewica.

– Pojawiają się takie głosy i teraz musimy trochę poczekać. Aufstehen dopiero powstaje, oficjalnie inicjatywa zaczęła się we wrześniu. Ale chwila na coś nowego jest odpowiednia. Trzeba wreszcie coś zrobić, bo ostatnie lata nie przyniosły lewicowym ugrupowaniom żadnych zauważalnych zysków sondażowych, wręcz przeciwnie. Sprawa Hansa-Georga Maassena, byłego już szefa kontrwywiadu, to kolejny symptom, że tam u góry wszystko się sypie. Jestem optymistą, wierzę, że nasz ruch będzie coraz silniejszy, bo jest prawdziwie lewicowy i oddolny. Wielu zwykłych ludzi tego po prostu pragnie, inaczej niż szefowie wiodących partii. Ale nawet oni za parę miesięcy nie będą mogli nas ignorować.

eprasa.pl fd795dabb0

Oddolne ruchy zmieniają systemy partyjne. Wtedy chętnie jeszcze raz spotkam się z panem i opowiem więcej na ten temat.

Andrea Nahles insynuuje, że wasz ruch ma plan dekompozycji SPD.

– Nie wszyscy w SPD są wobec nas tak krytyczni. Wspierają nas znani działacze tej partii, choćby Marco Bülow. SPD ma za sobą fatalne dwa lata, co zauważa wielu socjaldemokratów. Próby odwrotu od Schröderowskiej Agendy 2010, ostrożnie zapowiedziane przez Martina Schulza podczas kampanii wyborczej, zupełnie się nie udały. Lewicowi wyborcy domagają się konkretnych alternatyw. W nasze szeregi wstępuje także wielu znamienitych Zielonych, np. Antje Vollmer, którzy mają dość obowiązującej linii partii, sprowadzającej się obecnie do chęci rządzenia z panią Merkel. Z kolei Die Linke jest rozdzierana przez wewnętrzne walki dogmatyczne. Oni wszyscy zdają się nie zauważać jednego – ponieważ oddalają się od własnych wartości, oddala się tak naprawdę też opcja rządzenia.

Czyli nie będzie czerwono-czerwono-zielonej koalicji?

– Jeśli nic się nie wydarzy, starania o koalicję SPD-Die Linke-Zieloni będą trafiać w próżnię. Ale nasz ruch jest dowodem, że na szczęście właśnie coś się dzieje. Już dwukrotnie przewodniczący trzech lewicowych partii nie skorzystali z szansy wspólnych rządów. A ona nie będzie się powtarzać wiecznie, przy czym wyborcy już ich ukarali przy urnach. Dzisiaj SPD, Zieloni i Lewica mają 8 mln wyborców mniej niż 20 lat temu. Dlatego po kolejnych wyborach podobna szansa może już nie zaistnieć.

Czy wtedy Aufstehen przerodzi się w partię, która sama pójdzie po władzę, podobnie jak En Marche Macrona? Zbieżność nazw, mających zmobilizować wyborców, chyba nie jest przypadkiem? Macron uchodzi dziś za głównego ojcobójcę i winowajcę schyłku francuskich socjalistów.

– To sami socjaliści pożegnali się ze swoimi ideałami. Zresztą dziś możemy dyskutować, czy akurat Macron jest trybunem ubogich. W każdym razie w Niemczech wyborcy mają dość tego, że lewica straciła kontakt z przegranymi globalizacji. Partie lewicy powinny być adwokatami słabszych, a już od dawna nimi nie są, ulegając agresywnemu konsumpcjonizmowi. My nie chcemy dekomponować SPD. Nikt nie musi porzucać swojej opcji politycznej, aby uczestniczyć w naszym ruchu. U nas znajdzie się miejsce dla wszystkich, także, albo przede wszystkim, spoza środowisk politycznych. Oddolny społeczny nacisk jest potrzebny.

Jakie stanowisko zajmuje Aufstehen wobec polityki migracyjnej Angeli Merkel?

– Tak jak mówiłem – nie jesteśmy antyimigranccy. Ale faktem jest, że wraz z nasilającym się kryzysem uchodźczym problemy socjalne w Niemczech się zwiększyły, choć oczywiście istniały już wcześniej. Napięta sytuacja na rynku mieszkaniowym w większych miastach, rosnące bezrobocie czy problem niskich płac – to realne, przyziemne kłopoty, którymi trzeba się zająć. Protesty przeciwko imigrantom, które właśnie się rozładowują na wschodzie, mają przyczyny socjalne. I to one będą w centrum naszej uwagi.

W Die Linke zarysowują się często rozbieżności między liderami, głównie jeśli chodzi o zabezpieczenie granic. O ile Katja Kipping żąda otwartych granic dla wszystkich, o tyle Wagenknecht i Lafontaine podchodzą do tego pomysłu krytycznie. Gdzie pan się pozycjonuje w tym sporze?

– Przede wszystkim powinniśmy się skoncentrować na sytuacji w krajach, z których ludzie uciekają. Zachód musi skończyć z dozbrajaniem państw autorytarnych, które w ten sposób stają się istnymi beczkami prochu. I musimy działać przeciwko rosnącemu ubóstwu w krajach afrykańskich i Bliskiego Wschodu. Nie ograniczymy ubóstwa w państwach, z których cały kwiat klasy średniej ucieka do Europy.

Jest pan synem legendy SPD. Czy nikt w tej partii nie zarzucił panu zdrady?

– W działalności politycznej nigdy nie nadużywałem mojego nazwiska i rzadko powołuję się na autorytet ojca. Oczywiście wielu mi nie wierzy i przyznaję, że liczyłem się z ewentualnym atakiem za udział w inicjatywie Aufstehen, choćby publicystycznym. Nic podobnego nie nastąpiło. Spotykam się częściej z wyrazami szacunku i aprobaty. We własnym środowisku jednak sytuacja często wygląda tak, że wielu niezadowolonych zwyczajnie milczy. W każdym razie nie spotkałem



Rodzina Brandtów w ogrodzie ich domu w Berlinie. 19 września 1965 r.
Rut i Willy oraz ich synowie – Peter (nz. pierwszy z prawej), Lars i Matthias (pierwszy z lewej), 19 września 1965 r.

FOT. JÖRG SCHUMACHER, LANDESARCHIV BERLIN/ KARL-HEINZ SCHUBER

eprasa.pl fd795dabb0

się z negatywnymi reakcjami. Nie chciałbym być nieustannie porównywany z ojcem, choć już się do tego przyzwyczaiłem. Mogło być gorzej (śmiech).

W istocie trudno was nie porównywać. Pewne podobieństwo fizyczne się narzuca.

– Moi przyjaciele nawet twierdzą, że z wiekiem podobieństw przybywa. Uważają, że podobnie się poruszam i mam identyczny głos.

W kryzysach politycznych Willy Brandt uchodził za osobę wycofaną, unikającą konfliktów. Czy taka postawa udzieliła się najstarszemu synowi?

– Wie pan, ja też niechętnie się kłócę, nie jestem szczególnie wylewny, rzadko pokazuję emocje. Ale ojciec nie unikał konfliktów. Nie lubił ich, to prawda, ale w krytycznych sytuacjach doskonale je rozwiązywał.

Pana ojciec miał skłonność do wielkich gestów. Jego uklęknięcie pod pomnikiem Bohaterów Getta w Warszawie w grudniu 1970 r. trudno wymazać z polskich serc. Bliscy współpracownicy twierdzili jednak, że w życiu prywatnym kanclerz był nieprzystępny.

– Na pewno bywał nieprzystępny, tyle że ja byłem jego dzieckiem i wspólnie z rodzeństwem przełamywaliśmy te bariery dziecięcą beztroską. Natomiast w chwilach odprężenia potrafił nawet się otworzyć na poważne rozmowy, np. na temat śmierci lub miłości. Ale to były raczej wyjątki. Poza tym ja i tata należymy do pokoleń, które mało ze sobą rozmawiały. Niemieccy ojcowie, których dotknęło doświadczenie wojny, sami i w milczeniu rozwiązywali emocjonalne i duchowe problemy. Z pewnością był wrażliwy i wykazywał się wysokim poziomem empatii. W każdą wolną niedzielę spacerowaliśmy w parku, on zaś uważnie słuchał, co miałem do powiedzenia. To jedna z jego mocnych stron: Willy Brandt potrafił słuchać.

Jaki wpływ miało jego rosnące znaczenie polityczne na pana dzieciństwo?

– Kiedy był burmistrzem Berlina, prowadziliśmy jeszcze normalne życie rodzinne. Mieszkaliśmy w zwykłym domu szeregowym, a z funkcjonariuszem ochrony, który w pewnej chwili przed nim się pojawił, nawet się zaprzyjaźniłem. Po jakimś czasie zacząłem go traktować jak starszego brata, kilka razy pojechaliśmy wspólnie na wczasy. Jako burmistrz ojciec był co prawda często zajęty, ale kiedy przeprowadził się do Bonn, w pewnym sensie zniknął z naszego życia. A gdy się pojawiał w domu, był bardzo zdystansowany, jego myśli krążyły gdzie indziej. Być może nie chciał mieszać spraw zawodowych z prywatnymi, ale z drugiej strony on przecież swoją pracą żył. W naszym domu trudno było uciec od polityki.

Pamięta pan jakąś szczególną sytuację z dzieciństwa, od której nie sposób uciec?

– Pamiętam pewien dzień w sierpniu 1962 r. Miałem 13 lat. Ojciec zawołał mnie i z powagą rzekł: „Peter, muszę ci coś zakomunikować. Być może przez dłuższy czas nie wrócę do domu. Ty jesteś najstarszy, a zatem przejmiesz rolę głowy rodziny i będziesz pomagał mamie. Rozumiesz?".

Dlaczego tak mówił?

– Powiedział to w taki sposób, że od razu wiedziałem, że nie wypada dopytywać. Oczywiście wiedziałem, że powód nie był apolityczny. Wtedy był taki czas, że Rosjanie zastanawiali się nad wkroczeniem do Berlina Zachodniego. Ojciec musiał się liczyć z tym, że zostanie aresztowany. Będąc jednak dzieckiem, wiele się nad tym nie zastanawiałem. Przeważała duma, że zostałem przez ojca dowartościowany.

Wielu dołączających do AfD to ludzie lewicy. Musimy ich odzyskać, ale mądrze – bez krzyczenia na imigrantów.

Okres, w którym pana ojciec został szefem niemieckiej dyplomacji i wyjechał z Berlina Zachodniego do Bonn, określał pan kiedyś jako niezwykle przyjemny. Dlaczego?

– Odległość, która nas dzieliła, gwarantowała nam, dzieciom, pewne swobody, ale nie dlatego, że ojciec nas zaniedbywał. Willy bywał stanowczy, ale nie rządził twardą ręką, przynajmniej nie w domu. Uważał, że w okresie dojrzewania ważne są przede wszystkim wolność i swoboda rozwoju. Dziś bardzo to doceniam, choć z drugiej strony dyskusje z ojcem są każdemu dorastającemu dziecku potrzebne. Wydaje mi się, że czasami ojciec nie miał tej świadomości.

W domu Brandtów nie dochodziło do gorących dyskusji politycznych?

– W wieku 14-18 lat byłem buntownikiem, na pewno o wiele bardziej lewicowym niż ojciec. Pamiętam, gdy w 1965 r. wrócił z wizyty w USA i usprawiedliwiał wojnę w Wietnamie, moja reakcja była dość ostra. Pod koniec lat 60. tata przyjął jednak krytyczną postawę wobec polityki zagranicznej USA, jak zresztą cała zachodnia Europa.

Jak zareagował Willy Brandt, gdy na jednej z manifestacji w Berlinie zatrzymano jego syna? Ojciec był już wtedy ministrem spraw zagranicznych i wicekanclerzem.

– Po zamachu na Rudiego Dutschkego, który był moim bliskim przyjacielem, niezadowolenie rozładowało się na ulicach. Nie stosowaliśmy jednak przemocy. Dochodziło do setek zatrzymań. Wszyscy byli przetrzymywani na komisariatach przez 36 godzin za wykroczenie, które dziś już nie istnieje – zbiegowisko. Dlatego ojciec nieszczególnie tym się przejął. Raz tylko żartobliwie powiedział: „Synu, jeśli dalej będziesz protestował publicznie przeciwko wojnie w Wietnamie, to podam się do dymisji". Tata wiedział, że dojrzeć mogę tylko sam. A może nie chciał sobie zawracać głowy?

Dzisiaj jest pan profesorem historii na Uniwersytecie w Hagen. Jak to jest, gdy trzeba się zajmować ważnymi postaciami historycznymi, do których należy własny ojciec?

– Zajmuję się historią Europy ostatnich 300 lat, mam zatem rozległe pole zainteresowań. Jako historyk mam jednak zdrowy krytyczny dystans do wszystkich postaci historycznych, również do ojca.

Pana bracia wybrali inne zawody. Matthias został aktorem, a Lars pisarzem. Czy pana zawód jest najbliższy profesji ojca?

– Czy zawód naukowca jest bardziej spokrewniony z polityką niż

eprasa.pl fd795dabb0

aktorstwo? Śmiem wątpić. Ale być może ma pan rację. Zresztą ojciec na początku też chciał zostać profesorem historii. W każdym razie wyraźnie się ucieszył, gdy obroniłem pracę doktorską. Rzadko okazywał radość, dlatego akurat ta „świąteczna" kolacja utkwiła mi w pamięci.

SPD, Zieloni i Lewica mają dziś 8 mln wyborców mniej niż 20 lat temu.

A jak bywało z okazywaniem smutku?

– Pamiętam jedną sytuację, również w 1962 r. To był rok, w którym tata bywał często smutny. Rok wcześniej zbudowano mur berliński. A prawie dokładnie rok później młody Peter Fechter próbował go sforsować. 18-latek został na oczach świadków postrzelony przez wojska graniczne NRD i przeleżał na tzw. pasie śmierci prawie godzinę. Nikt mu nie chciał pomóc, w końcu się wykrwawił. Ojciec był wtedy rozjuszony, choć oczywiście próbował tego nie pokazywać. Na ulice Berlina Zachodniego wyszli ludzie, którzy solidaryzowali się z ofiarą, a Willy potrafił utrzymać nerwy na wodzy i przemówić do nich w sposób tak wyważony, że szybko uspokoił sytuację. A mogła przecież dramatycznie się zaostrzyć. Wielu berlińczyków chciało forsować mur, tak jak Peter Fechter. Wszyscy jednak zrozumieli, że ojciec jako burmistrz nie może dopuścić do eskalacji, mimo że czuje to samo co oni. To chyba był jego największy talent – Willy miał tę rzadką u polityków umiejętność, był człowiekiem ludu. Widocznie potrafił okazywać uczucia wyłącznie w polityce. Za to szczerze.

Wielkość polityka Brandta uznawali nawet przeciwnicy. Helmut Kohl odwiedził go tuż przed śmiercią i podkreślił, że bez jego zasług nie doszłoby do zjednoczenia Niemiec.

– Też tak uważam. Zjednoczenie było uwieńczeniem jego polityki odprężenia i cieszę się, że dożył tej chwili. Dziś mój ojciec jest przez wszystkie partie uznawany za niemieckiego patriotę i męża stanu, który nigdy jednak nie przestał być socjaldemokratą, walczącym z nacjonalizmem.

Jakie były ostatnie chwile z ojcem?

– Tata długo chorował, pożegnanie z nim nie było niespodziewane i być może dlatego niezbyt emocjonalne. Rzadko się na niego gniewałem, nie musieliśmy wobec tego prowadzić przy łożu śmierci „rozmów oczyszczających". Mieliśmy bardzo dobre stosunki. Gdy odwiedziłem go w dzień śmierci, był już nieprzytomny. Kilka dni wcześniej mógł jeszcze wstać z łóżka i nawet odprowadzić mnie do bramy. Wtedy zdarzyło się coś niespotykanego: ojciec pokiwał mi ręką. Nigdy tego nie robił przy pożegnaniach. To był pierwszy i ostatni raz.

Wojciech Osiński



eprasa.pl fd795dabb0

WYBIORĄ MŁODZI

W USA widać ogromną mobilizację demokratycznego elektoratu, zwłaszcza w wieku 18-29 lat

Mateusz Mazzini

Stany Zjednoczone są uważane za kraj o systemie prezydenckim, w którym wybór głowy państwa jest jedynym głosowaniem mającym jakiekolwiek znaczenie. Wybory do władz lokalnych, stanowych czy nawet Kongresu rzadko przykuwają uwagę w innych krajach. Tym razem jednak wybory uzupełniające, które obejmą prawie tysiąc mandatów różnego szczebla w całej Ameryce, mogą wyraźnie zmienić układ sił na Kapitolu.

OPTYMIZM DEMOKRATÓW

Amerykanie pójdą do urn 6 listopada. Do obsadzenia będzie cała Izba Reprezentantów, której członkowie wybierani są na dwuletnią kadencję. Do 435 mandatów w Izbie doliczyć należy 35 miejsc w Senacie. Tam kadencja jest sześcioletnia, więc w kolejnych wyborach zmienia się najwyżej jedna trzecia senatorów (oraz ci, którzy z walki o reelekcję rezygnują lub przechodzą na polityczną emeryturę). Ponadto wyborcy zadecydują aż o 36 stanowiskach gubernatorskich i obsadzą ponad 600 mandatów w stanowych ciałach legislacyjnych. Te liczby pokazują, jakie znaczenie będzie miało listopadowe głosowanie.

Dużo więcej mogą w nim stracić republikanie. Obecnie dysponują na Kapitolu pełnią władzy, mając większość zarówno w Izbie Reprezentantów, jak i w Senacie. Kontrolowanie Kongresu i Białego Domu przez GOP – *Great Old Party* (Wielka Stara Partia), jak nazywa się Partię Republikańską) jest kluczowe dla procesu legislacyjnego. W erze ogromnej polaryzacji, kiedy współpraca między obiema partiami praktycznie nie istnieje, sukcesy legislacyjne Trumpa opierają się niemal w całości na republikańskim Kongresie.

To jednak wkrótce może się zmienić. W tej chwili republikanie kontrolują 236 mandatów w Izbie Reprezentantów. Niezwykle trudno będzie im taki stan rzeczy zachować. Chociaż ogólnokrajowe sondaże dla wyborów uzupełniających robi się bardzo rzadko, głównie dlatego, że niewiele mówią o poszczególnych starciach wyborczych, to pogłębiona analiza wskazuje, że demokraci mają duże szanse na większość w Izbie Reprezentantów. Byłby to nie lada wyczyn – przejęcie władzy w Izbie przez drugą partię zdarzyło się jedynie trzy razy w ciągu minionych 25 lat. Ostatnio – w 2010 r., gdy republikanie na fali radykalizmu tzw. Partii Herbacianej (Tea Party) przejęli większość, korzystając też z kryzysu popularności Baracka Obamy. Co ciekawe, we wszystkich trzech przypadkach większość przejmowała partia opozycyjna wobec urzędującego prezydenta. Z tego i wielu innych powodów demokraci patrzą optymistycznie na prognozy głosowań.



W stanie Waszyngton Lisa Brown (nz. z lewej) ma szansę na pokonanie Cathy McMorris Rodgers.

REPUBLIKANIE W ODWROCIE

W Izbie Reprezentantów republikanie mogą wiele stracić, głównie z powodu wymiany kadrowej. W tym roku bowiem rekordowa liczba deputowanych GOP zrezygnowała z ubiegania się o reelekcję. Z walki o miejsce wycofało się aż 38 republikańskich członków Izby i tylko 18 demokratów. Łącznie daje to aż 56 okręgów wyborczych, w których na pewno wyłoniony zostanie nowy reprezentant. Co więcej, wśród wycofujących się z wyścigu republikanów są ważni politycy, chociażby przewodniczący Izby Paul Ryan. Amerykańskie media, w tym tradycyjnie dobrze zorientowany w kulisach stołecznej polityki portal The Hill, sugerują, że Ryan nie chciał swoim nazwiskiem firmować pomysłów legislacyjnych Trumpa. Wakaty wśród republikanów mobilizują demokratów, bo GOP ma skromne zaplecze kandydatów. Efekt ten spotęgował Donald Trump, na temat którego w partii panuje rozłam. Republikanie rejestrują coraz mniej nowych członków, w przeciwieństwie do demokratów, u których z kolei największą stratą jest wycofanie się Johna Delaneya, znanego z walki o powszechne ubezpieczenia zdrowotne i reprezentującego bardziej lewicowe skrzydło partii. O reelekcję walczyć nie będzie też aż trzech republikańskich senatorów. I tutaj pojawiają się ważne dla partii nazwiska, m.in. Jeffa Flake'a z senackiej komisji sprawiedliwości, będącego jedną z najważniejszych postaci w procesie nominowania republikańskiego kandydata do Sądu Najwyższego. Ze startu rezygnuje też Orrin Hatch, bliski Trumpowi ultrakonserwatysta i jeden z częstszych gości stacji Fox News. Jednak odbicie Senatu przez demokratów będzie piekielnie trudne. Spośród

eprasa.pl fd795dabb0



W Teksasie o reelekcję będzie walczył Ted Cruz (z prawej).

35 otwartych mandatów aż 24 należą do odchodzących demokratów, jedynie dziewięć do republikanów. W dodatku aż 10 z tych 24 wyścigów demokraci stoczą w stanach, w których w 2016 r. wygrał Donald Trump. Większość w Izbie Reprezentantów wystarczy jednak do skutecznego blokowania konserwatywnej legislacji. Opozycja ma powody, by na to liczyć.

Jednym z nich jest ogromna mobilizacja demokratycznego elektoratu, zwłaszcza wśród młodych. W wielu stanach wzrost liczby zarejestrowanych wyborców w wieku 18-29 lat jest dwucyfrowy. Absolutnym liderem okazała się Floryda, gdzie na najbliższe wybory zarejestrowało się 41% więcej osób z tej kategorii wiekowej niż na wybory z 2016 r. (dane za centrum badań wyborczych TargetSmart). Znaczący wzrost zanotowano również w Nowym Jorku (10,7%), Wirginii (10,5%), Indianie (9,9%) i Arizonie (8,2%). Badania przeprowadzone przez Instytut Nauk Politycznych Uniwersytetu Harvarda pokazują jasno, co jest przyczyną tej mobilizacji. Ponad 63% Amerykanów w wieku 18-29 lat domaga się reformy prawa dostępu do broni. Na Florydzie czuć to szczególnie. Młodzi chcą głosować, by nie powtórzyła się lutowa strzelanina z liceum w Parkland, gdzie zginęło 17 uczniów.

Demokraci mają duże szanse na zdobycie większości w Izbie Reprezentantów.

NAJCIEKAWSZE POJEDYNKI

Znaczenie nowych wyborców w listopadowym głosowaniu pokazuje sytuacja w Pensylwanii. Dwa lata temu Donald Trump wygrał tam z Hillary Clinton zaledwie 44 tys. głosów. W tym roku z kolei prodemokratyczna organizacja NextGen America zarejestrowała już 12 tys. nowych młodych (18-29 lat) głosujących na Partię Demokratyczną. Podobnie wygląda sytuacja m.in. w dotychczas mocno republikańskim Teksasie.

Stan ten będzie zresztą areną jednego z najciekawszych pojedynków w wyborach do Senatu. O reelekcję będzie tu walczył Ted Cruz, były republikański kandydat prezydencki z 2016 r. Jego przeciwnikiem będzie Beto O'Rourke, obecnie zasiadający w Izbie Reprezentantów. W Teksasie nie mogliby wybrać bardziej niestereotypowego kandydata niż on. O'Rourke jest oddanym obrońcą środowiska, postuluje nowe ograniczenia ekologiczne dla gigantów paliwowych, chce większych restrykcji w odwiertach gazu łupkowego i wsparcia dla producentów energii ze źródeł odnawialnych. Na liście jego priorytetów są również transport publiczny, prawa niepełnosprawnych i mniejszości seksualnych. Cruz, ultrareligijny konserwatysta, reprezentujący skrajne skrzydło swojej partii, dziś jeszcze prowadzi w sondażach, ale jego przewaga maleje z dnia na dzień.

Demokraci marzą o Teksasie, chcą też zachować Nevadę – jedyny stan, w którym fotel senatora zajmuje republikanin, a mimo to w 2016 r. zwyciężyła Hillary Clinton. Jacky Rosen, startująca w wyborach po raz pierwszy, wcale nie pozostaje w tyle za walczącym o reelekcję byłym maklerem giełdowym Deanem Hellerem.

Ważne będzie starcie w stanie Waszyngton, gdzie demokraci mogą zdobyć swój najważniejszy polityczny łup. Lisa Brown ma w tamtejszym piątym okręgu wyborczym szansę na pokonanie Cathy McMorris Rodgers, najważniejszej republikańskiej kandydatki, która może stracić stanowisko. Rodgers – przewodnicząca tzw. Konferencji Republikańskiej w Izbie Reprezentantów – jest czwarta w hierarchii republikanów w całym Kongresie. Jej porażka, wcale dzisiaj niewykluczona, byłaby dla GOP ogromnym ciosem, także wizerunkowym.

Strach wzbudzi też zapewne głosowanie do Izby w 48. okręgu w Kalifornii. Reprezentujący demokratów Harley Rouda ma szansę przejąć mandat z rąk Dany Rohrabachera. Od dawna bowiem krążą spekulacje na temat związków republikanina z rosyjskimi przedsiębiorcami i spotkań w trakcie ostatniej kampanii prezydenckiej. W prawicowych mediach wielokrotnie krytykował prokuratora specjalnego Roberta Muellera, bronił też NRA, organizacji na rzecz dostępu do broni, oskarżonej o przyjmowanie podejrzanych dotacji z Rosji. Wybór Roudy, obrońcy Obamacare i lewicowca z przekonania, byłby dla tamtejszych wyborców ogromną zmianą.

158 osób kandydujących z ramienia Partii Demokratycznej po raz pierwszy w wyborach ogólnokrajowych, 133 demokratycznych kandydatów o kolorze skóry innym niż biały, rekordowe liczby kobiet, 20-latków i przedstawicieli mniejszości seksualnych. Bez względu na wynik wybory 6 listopada zmienią krajobraz polityczny Ameryki. ■

FOT. AFP/EAST NEWS, AFP PHOTO/EAST NEWS

eprasa.pl fd795dabb0

Celem lewicy nie powinna być walka z biznesem

Pomysł lewicy na Piłę to m.in. przedszkole dla każdego dziecka i przywrócenie opieki stomatologicznej i lekarskiej w szkołach

Rozmawia Michał Sobczyk

DR JAN LUS

– kandydat komitetu SLD Lewica Razem na prezydenta Piły. Członek Zarządu Krajowego Unii Pracy, były radny Piły. Przedsiębiorca z branży księgarskiej, były prezes Izby Księgarstwa Polskiego.



Z jakich doświadczeń życiowych chce pan czerpać, gdyby został pan prezydentem Piły?

– Będę korzystał zarówno z tego, czego się nauczyłem jako pracownik naukowy i nauczyciel akademicki, jak i z moich doświadczeń przedsiębiorcy oraz działacza politycznego. Myślę, że nie powinniśmy odkładać *ad acta* żadnych swoich doświadczeń, tylko wzorować się na tym, co nam się udało, a jednocześnie unikać popełniania tych samych błędów po raz drugi.

Po obronie doktoratu z fizyki moje losy tak się potoczyły, że nie zostałem na Uniwersytecie im. Adama Mickiewicza w Poznaniu, lecz rozpocząłem pracę w nieistniejącej już Wyższej Oficerskiej Szkole Samochodowej w Pile. Trafiłem w ten sposób do wojska, które, jak to młody człowiek, niespecjalnie kochałem. Okazało się jednak, że spotkałem tam mądrych i rozsądnych ludzi, dlatego bardzo dobrze wspominam tamte czasy. Nauczyłem się wtedy, że każda organizacja jest taka, jak tworzący ją ludzie. W 1990 r. rozwiązano szkołę i miałem wracać do Poznania, jednak zawirowania w życiu osobistym sprawiły, że musiałem, jak to się mówi, wziąć sprawy w swoje ręce i przejąć działalność gospodarczą żony.

Zajął się pan księgarstwem, któremu do dziś jesteście państwo wierni.

– Była okazja odczuć na własnej skórze, z jakimi problemami borykają się mali i średni przedsiębiorcy. Niemal w każdym cywilizowanym kraju, poza Anglią, funkcjonuje ustawa o książce. Tymczasem w Polsce nie ma żadnych regulacji, które chroniłyby rynek księgarski przed zdominowaniem przez globalne firmy. Izba Księgarstwa Polskiego, której prezesem byłem przez kilka lat, jak również Polska Izba Książki, gdzie obecnie jestem szefem dystrybucji treści, postulują wprowadzenie przepisów, które gwarantowałyby klientom jednolite ceny książek. Ucywilizowałoby to rynek, obniżyło ceny detaliczne i pozwoliło polskim księgarzom na podjęcie konkurencyjnej walki.

Księgarstwo ma obecnie ogromne kłopoty, co pokazują dane GUS dotyczące tempa znikania z rynku niezależnych księgarń. Szansą dla nich mogłoby być wchodzenie do pobudowanych w ostatnich latach galerii handlowych, ale właściciele centrów nie chcą wynajmować powierzchni księgarzom, wolą wielkie firmy sieciowe.

Jest pan jednym z animatorów inicjatywy, która dla branży może być kołem ratunkowym.

– Chcemy stworzyć wirtualną sieć małych księgarń. Klienci postrzegaliby nas jako jeden wielki podmiot, ale każdy z nas prowadziłby swój biznes niezależnie, sam decydował o zamawianych książkach itd. Takie rozwiązanie byłoby atrakcyjne dla wydawców, którzy za pośrednictwem specjalnego programu mogliby śledzić, jak się sprzedają ich książki i w których punktach są dostępne. Z kolei czytelnicy uzyskaliby dane o tytułach dostępnych w najbliżej zlokalizowanych księgarniach. Wykorzystując internet, klienci mogliby zamawiać i rezerwować interesujące ich tytuły i odbierać je

w wybranych przez siebie punktach. Ten innowacyjny projekt, w którym wykorzystuję moje doświadczenia z branży księgarskiej, a także ścisły umysł i wykształcenie, znajduje się już na ostatnim etapie przygotowań. Jest nim zainteresowanych ponad 100 niewielkich księgarń, które obecnie, choć najlepiej znają lokalne rynki i mają bezpośredni kontakt z klientami, nie są liczącym się partnerem dla wydawców, bo każda kupuje od nich po kilka książek.

W poprzednich wyborach jednym z pana głównych haseł było właśnie wspieranie małych i średnich przedsiębiorstw.

– Po analizie opracowań ekonomicznych doszedłem do przekonania, że dla rozwoju miast kluczowe znaczenie mają dwa czynniki: kapitał i zasoby ludzkie. Po 1989 r. pewien lokalny kapitał w większości miejsc został już zgromadzony, jest też pewna liczba osób, które osiągnęły jakiś sukces. Problem w tym, że ogranicza je „szklany sufit": w Polsce małej firmie bardzo trudno rozwinąć się w średnią, a średniej – w dużą. Oczywiście duże znaczenie ma tutaj nasza mentalność. Większość ludzi zadowala się tym, co już osiągnęli. Jako społeczeństwo stawiamy raczej na to, by mieć pieniądze, niż na to, aby były one w ruchu, budując ogólny dobrobyt. Polska gospodarka jest jak kocioł, w którym niby wrze, ale pokrywa nie podnosi się do góry.

We wszystkich dawnych miastach wojewódzkich, poza Elblągiem, spada liczba mieszkańców, a większość powstających miejsc pracy to najniżej płatne stanowiska w globalnych firmach. Inaczej mówiąc, te miasta nie dają nowym pokoleniom szansy na rozwój w nowych zawodach, innych niż praca fizyczna. Poznań się rozwija, Warszawa się rozwija, a z takiej Piły wysysana jest siła robocza. Dlatego trzeba mobilizować lokalny kapitał i zachęcać go do współpracy. Duże pole do popisu ma tutaj samorząd, m.in. w kwestii łączenia ludzi i tworzenia warunków sprzyjających przedsiębiorczości.

Lewica tradycyjnie koncentrowała swój program na pracownikach, a nie właścicielach firm.

– W Unii Pracy uważamy, że celem powinno być nie „oskubanie" biznesu czy walka z nim, tylko wręcz przeciwnie – danie mu szansy na rozwój, by mógł zatrudniać więcej ludzi i lepiej płacić za pracę. Do prowadzenia przedsiębiorstw potrzebne są określone umiejętności i należy doceniać tych, którzy je mają.

Myślę, że przy moim typie osobowości oraz kontaktach zarówno z ludźmi pracy, jak i właścicielami firm uda mi się stworzyć klimat, który będzie sprzyjał rozwojowi lokalnej gospodarki. Prezydent nie będzie za nikogo prowadził biznesu, ale ma do dyspozycji m.in. wiele narzędzi promocji miejscowych firm. Może też zrobić wiele, by otwierać miasto na ich potrzeby. Tymczasem wiele samorządów jest na nie ślepych. Weźmy przykład wprowadzania zakazu wjazdu samochodów, by w określonej okolicy ludzie wyłącznie jeździli rowerami i spacerowali. Przenoszenie do małych miasteczek doświadczeń warszawskiej czy krakowskiej starówki jest dla nich zabójcze.

Unia Pracy konsekwentnie deklaruje troskę o osoby, których los pogorszył się po transformacji ustrojowej. Jakie działania na ich rzecz proponuje pan wyborcom?

– W poprzedniej kampanii prezydenckiej zgłosili się do mnie ludzie chcący rozwijać spółdzielnie, w ramach których ludzie niemający kapitału, ale gotowi wkładać pracę, mieli budować dla siebie mieszkania. Ten pomysł nie wypalił. Zresztą nie uzyskałem odpowiedniej liczby głosów, by zostać prezydentem, a ponieważ nie kandydowałem równolegle do rady miasta, nie zyskałem przełożenia na politykę, by móc wspierać podobne inicjatywy. Jednak moim zdaniem one i tak są niewystarczające, by rozwiązywać poważne problemy społeczne.

Uważam, że należy dążyć do czegoś innego: do tego, by po prostu nie było ludzi biednych, którzy muszą otrzymywać pomoc. Bo w dobrze działającym mieście pomoc socjalna powinna być ograniczona do osób dotkniętych wypadkami losowymi.

Jednym z najlepszych sposobów zapobiegania rosnącym nierównościom społecznym jest rozwijanie powszechnie dostępnych usług publicznych.

– Przede wszystkim należy stworzyć warunki dostępu każdego mieszkańca, niezależnie od tego, czy pochodzi z biednej, czy z bogatej rodziny, do edukacji dobrej jakości. A zacząć należy od tego, by wszystkie małe dzieci mogły znaleźć się w przedszkolach.

Dzieci z zamożnych domów mają zapewnioną opiekunkę oraz różne formy kontaktu ze światem zewnętrznym. W tym samym czasie dzieci z ubogich rodzin bawią się w piaskownicy, pozbawione opieki rodziców. Im później się spotkają, tym trudniej będzie tym drugim nadgonić różnice w rozwoju, zwłaszcza społecznym. I potem „mądry" Kaziu błyszczy, a „głupi" Jasiu słyszy, żeby siedział z tyłu, choć może być nieodkrytym diamentem. A naszego państwa nie stać na to, by gubić diamenty.

Zwiększanie dostępu do przedszkoli to wielkie zadanie dla lewicy. Nie tylko na szczeblu samorządowym – powinien to być ważny temat do poruszenia w przyszłorocznej kampanii wyborczej do parlamentu.



Chcemy stworzyć wirtualną sieć małych księgarń.

FOT. ARCHIWUM PRYWATNE

eprasa.pl fd795dabb0

Jest pan także zwolennikiem darmowej komunikacji miejskiej.

– Można ją wprowadzić, niemal nie zwiększając kosztów funkcjonowania. Lokalni przewoźnicy i tak są dotowani, a koszty kontroli biletów przeważnie okazują się niewiele mniejsze niż wpływy z biletów.

Pomysł lewicy na Piłę obejmuje również przywrócenie opieki lekarskiej i stomatologicznej w szkołach, co pozwoli m.in. zapobiegać wadom postawy i próchnicy. Stworzyliśmy ponadto projekt rozbudowy bazy popularnonaukowej. Chcemy wykorzystać potencjał tutejszej Państwowej Wyższej Szkoły Zawodowej oraz filii Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu, a jednocześnie zainteresować mieszkańców, zwłaszcza młodych, nauką.

Troskę o zwykłych ludzi będzie miało na sztandarach m.in. PiS, zrozumienie dla problemów przedsiębiorców – PO i Nowoczesna. Jak w tej sytuacji komitet SLD Lewica Razem zamierza przekonywać elektorat, że właśnie na niego warto oddać głos?

– Jestem członkiem Unii Pracy już prawie 20 lat, a więc dość długo. Od zawsze podkreślamy, że świat pracy i świat pracodawców nie mogą się obyć bez siebie. Chodzi jedynie o to, by relacje były zdrowe i by istniała pewna równowaga sił. Partie polityczne są po to, żeby wspomagać tę stronę, która w danej sprawie jest słabsza, i ograniczać tę, która zyskuje zbyt dużą przewagę. Bo każdy samochód, aby mógł sprawnie i bezpiecznie się poruszać, musi mieć dobry silnik i działające hamulce.

Naszą partię wyróżnia to, że jesteśmy zwolennikami pełnej swobody rozwoju przedsiębiorczości, a jednocześnie obiecujemy zadbać, by rozwój ten wpływał na polepszenie losu pracowników jako tych, dzięki którym pomysł na biznes zamienia się w konkretne efekty ekonomiczne.

Walka z większymi i bogatszymi partiami będzie bardzo trudna.

– Jako kandydat muszę oczywiście wierzyć, że zwyciężymy, zatkniemy flagę na Mount Evereście i będzie nasz (śmiech). Pamiętajmy jednak, że aby mieć realny wpływ na politykę, niekoniecznie trzeba od razu pełnić w niej najwyższe funkcje. Każdy prezydent współpracuje z radą miasta, która powinna być rzeczowa, przychylna jego dobrym decyzjom i nie dopuszczać do tego, by błądził. Dlatego wszyscy lewicowi kandydaci na prezydentów muszą walczyć o to, aby jak najwięcej osób wprowadzić do rady. Tak, by urzędujący prezydent, ktokolwiek nim będzie, musiał się liczyć z naszym programem i polityką, którą chcielibyśmy prowadzić.

Michał Sobczyk

DALEKA **BRUKSELA** BLISKA **LUDZIOM**

Grupa Postępowego Sojuszu Socjalistów i Demokratów w Parlamencie Europejskim

Aktywny senior



Na początku września ukazał się kolejny, piąty już poradnik europejski, przygotowany z inicjatywy posłanki do Parlamentu Europejskiego Krystyny Łybackiej z Grupy Postępowego Sojuszu Socjalistów i Demokratów. „Poradnik Aktywnego Seniora" to wydawnictwo skierowane do osób, które wkraczając w wiek późnej dorosłości, postanawiają zachować dobrą kondycję fizyczną i intelektualną oraz poszukują ciekawych form aktywności społecznej. Autorami opracowania są specjaliści z Wydziału Turystyki i Rekreacji Akademii Wychowania Fizycznego w Poznaniu: prof. dr hab. Beata Pluta – dziekan Wydziału Turystyki i Rekreacji, dr hab. Magdalena Krzykała i dr hab. Marcin Andrzejewski, na co dzień prowadzący zajęcia m.in. na kierunku studiów Animacja osób 50+.

Poradnik jest podanym w przystępnej, skondensowanej formie kompendium wiedzy o formach aktywności senioralnej. W pierwszym rozdziale znalazła się obszerna informacja dotycząca polityki senioralnej Unii Europejskiej, a także omówienie programów europejskich przeznaczonych dla tej grupy mieszkańców Wspólnoty. Część zasadnicza poradnika podzielona została na kilka wątków, w których opisano sposoby prawidłowego przygotowania się do aktywności fizycznej i jej bezpieczne formy proponowane specjalnie osobom w wieku dojrzałej młodości, a także przyjazne dla seniorów formy rekreacji i zagospodarowania czasu wolnego. Istotnym elementem poradnika są wskazówki dotyczące prawidłowego odżywiania, pozwalającego na dłuższe zachowanie odpowiedniej sprawności.



Posłanka Krystyna Łybacka nie poprzestała na przygotowaniu wydawnictwa. Zaprosiła również wielkopolskich seniorów do udziału w dwóch edycjach II Europejskiej Konferencji Seniorów Województwa Wielkopolskiego Senioriada, które odbyły się 17 i 26 września w Grodzisku Wielkopolskim i Zagórowie. Podczas tych spotkań, w których uczestniczyło ok. 200 seniorów, autorzy poradnika zachęcali do samodzielnego wykonywania ćwiczeń pod czujnym okiem wykładowców i studentów poznańskiej AWF. Europosłanka Krystyna Łybacka zwraca uwagę na bardzo ważny element, jakim jest współpraca z samorządami przy organizacji tego rodzaju wydarzeń.

– Jestem zbudowana – mówi – postawą samorządów, które bardzo aktywnie włączyły się w projekt wspólnego zorganizowania kolejnej edycji Senioriady. Jest to dowód na zrozumienie potrzeb osób starszych, a jednocześnie deklaracja aktywnego zaangażowania na rzecz tej niezwykle ważnej grupy mieszkańców naszego regionu.

„Poradnik Aktywnego Seniora" można otrzymać we wszystkich biurach europosłanki Krystyny Łybackiej na terenie województwa wielkopolskiego, a także dzwoniąc pod nr tel. 61 852 41 21 lub kontaktując się drogą elektroniczną pod adresem mejlowym biuro@lybacka.pl.

FOT. BIURO POSELSKIE

eprasa.pl fd795dabb0



Lewomyślniej

Roman Kurkiewicz

EKONOMIE! MĄDRALE...

Nieubłaganie i niepowstrzymanie nadchodzi rok 2019, co będzie oznaczać wysyp analiz, metafor, podsumowań, ocen, potępień i rozczarowań związanych z 30-leciem przemian roku 1989. Trzeba pokornie się pogodzić z tajemniczym rytmem nibyważności wyznaczanej dekadami, a nie choćby wielokrotnością 12, 13 czy 19, nie mówiąc już o 29. Za chwilę przykryje nas tupot 100-lecia niepodległości, ucieknijmy zatem w 30-lecie. A przynajmniej w jeden jego aspekt.

Władzę wówczas faktycznie przejęła nowa formacja. Opozycja demokratyczna, solidarnościowcy – powiedzą jedni. Solidaruchy i nowa sitwa – wyrzucą z siebie drudzy. Zdrajcy – dołożą ci, którzy wtedy nie wsiedli do tramwaju transformacja albo zapomnieli, że wsiedli. Nie w tym rzecz. Zmiana polityczna dojrzewała co najmniej od przełomowych lat 1980/1981. Coraz mniej liczna opozycja w latach po stanie wojennym artykułowała sprzeciw, niezgodę, odgrywała rolę nieinstytucjonalnej opozycji – pisząc, drukując, manifestując, podważając, komentując, zdobywając poparcie poza Polską. Bardzo ciekawym pytaniem jest, czy przygotowywała się do przejęcia władzy, bo to bynajmniej nie jest oczywista teza. Odczuwalna moc geopolitycznej potęgi naszego układu wyznaczała granice i temperaturę samoograniczenia rewolucji (Jadwiga Staniszkis).

Zmierzam powoli i opornie do momentu, w którym trzeba podkreślić, że opozycja, nie mając jasno wyartykułowanego żądania, a nawet oczekiwania przejęcia władzy po PZPR, do tego się nie przygotowywała. Nowe kadry, ministrowie (ba, premierzy) i cały nowy narybek rządzących po utworzeniu gabinetu przez Tadeusza Mazowieckiego (jeszcze kilka tygodni wcześniej zżymającego się na wizję Michnika z tekstu „Wasz prezydent, nasz premier) byli niemal – lub czasem dosłownie – z łapanki. Do wielu zmian środowiska posolidarnościowe były przygotowane nieźle i merytorycznie: reforma wymiaru sprawiedliwości, polityka zagraniczna. Tak naprawdę wstrząsająca jest skala nieprzygotowania w wymiarze reformy gospodarczej, czyli myślenia ekonomicznego. W wymiarze zmian, które okazały się – bo okazać się musiały – najradykalniejsze, najdotkliwsze i przeorujące cały dotychczasowy świat. Wyciągnięty z kapelusza Leszek Balcerowicz, współautor programu Samorządnej Rzeczypospolitej, zrealizował konspekt neoliberalnych przemian. Głos sprzeciwu nielicznych nie był słyszany, alternatywy nie zostały przedyskutowane, a odmienne wizje wyartykułowane. W konsekwencji rządy „humanistów" dały nieokiełznaną wolność działania w instytucjonalnym wprowadzeniu nowego kapitalizmu.

W tym za długim wprowadzeniu próbuję zbliżyć się do teraźniejszości. Pokłosie kryzysu końca pierwszej dekady XXI w., zmiany klimatyczne, konieczność wypracowania nowego paradygmatu energetycznego stawiają nowe, fundamentalne pytania o ekonomię i gospodarkę XXI w. To jest moment, by podkreślić wagę takich ruchów jak Międzynarodowa Inicjatywa Studencka na rzecz Pluralizmu w Naukach Ekonomicznych, która apeluje o pluralistyczne podejście do ekonomii, szczególnie w systemie edukacji uniwersyteckiej, bo jak mówili sami studenci, kiedy za oknami sal wykładowych przewalał się globalny kryzys, na wykładach trwała w najlepsze stara baśń neoklasycznej ekonomii. Postulat przemyślenia i pomyślenia ekonomii XXI w. na nowo wychodzi od studiujących i niektórych wykładowców. To przede wszystkim postulat odczarowania ekonomii jako twardej jak fizyka nauki dostępnej wybranym merytokratycznym mędrcom. Ale tak- że żądanie pluralizmu w edukacji ekonomicznej: „Teoretyczny wymiar pluralizmu kładzie nacisk na potrzebę poszerzenia gamy szkół, na podstawie których czerpana jest wiedza. Nie chcemy opowiadać się konkretnie za żadną z ekonomicznych tradycji. Sens pluralizmu nie polega bowiem na obieraniu konkretnej strony i kurczowym trzymaniu się jej, lecz na wywołaniu twórczej, bogatej intelektualnie debaty oraz kształtowaniu w sobie umiejętności krytycznego spojrzenia na rozmaite idee poprzez konfrontowanie ich ze sobą. Podczas gdy inne dyscypliny nauki są bardzo różnorodne i nauczają konkurujących ze sobą teorii, nawet jeśli są one sobie nawzajem absolutnie przeczące, ekonomia jest często przedstawiana jako jednolite ciało, jest to natomiast dyscyplina niezwykle różnorodna wewnętrznie. Pomimo to mamy obecnie tylko jeden, prosty tor jej nauczania, a co za tym idzie, jeden tylko sposób postrzegania rzeczywistości".

Jest to wołanie o wielość i różnorodność opowieści ekonomicznej. Wydany właśnie przewodnik po głównych nurtach ekonomii heterodoksyjnej „Pomyśleć ekonomię od nowa" (Wydawnictwo Ekonomiczne Heterodox) stanowi wstęp do nowej debaty. Jest przejrzystą prezentacją kilku nurtów niedominujących ekonomii: marksistowskiej, austriackiej, instytucjonalnej, feministycznej, ekologicznej, behawioralnej, złożoności, spółdzielczości. Porzucamy stare, fałszywe, fetyszystyczne pytanie europejskiej kultury: *unde malum* (skąd się wzięło zło – przyp. red.) na rzecz pytania: dlaczego ekonomie, a nie ekonomia. Tych pytań 30 lat temu nie zadawano. Nie musimy popełniać tego samego błędu. Myślmy, przygotujmy się, nie zostawiajmy ekonomii tzw. specjalistom, bo znowu skończy się to źle.

Poprzednie felietony na www.tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl fd795dabb0





BEZ KONTRAKTU NA ŻYCIE

Bronisław Tumiłowicz

Są różne rocznice. Jedne obchodzimy uroczyście i chcemy o nich pamiętać, ale są też rocznice wstydliwe. Niemal dokładnie rok temu, 27 września 2017 r., w Centrum Leczniczo-Rehabilitacyjnym i Medycyny Pracy Attis na warszawskiej Woli otwarto z pompą Zakład Onkologii Kobiecej przygotowany do wczesnej diagnostyki i rozpoznawania zmian nowotworowych oraz szybkiego leczenia. Od tego czasu nowoczesny zakład stoi pusty, bo Narodowy Fundusz Zdrowia odmówił Attisowi kontraktu.

Zakład Onkologii Kobiecej jest bardzo dobrze wyposażony i zorganizowany, gdyż połączono w nim funkcje trzech szpitalnych oddziałów: chirurgii onkologicznej, ginekologii onkologicznej i rehabilitacji, która też jest na miejscu. Terminy rozpoczęcia leczenia pacjentek z tzw. zieloną kartą miały się skrócić z 70 do 30 dni, co było bardzo ważne dla kobiet szukających tutaj pomocy, ale także dla budżetu NFZ, bo takie połączenie sprawiało, że wszystko mogło kosztować mniej. Zakład otrzymał najwyższe merytoryczne oceny przydatności dla systemu – chodzi o Instrument Oceny Wniosków Inwestycyjnych w Sektorze Zdrowia (IOWISZ) – gdyż takie rozwiązania mogłyby poprawić dostęp do leczenia onkologicznego. Jedyny w kraju tego typu Zakład Onkologii Kobiecej określono mianem przedsięwzięcia priorytetowego.

Nowoczesny Zakład Onkologii Kobiecej od roku czeka na podpisanie umowy z NFZ



Na otwarciu Zakładu Onkologii Kobiecej obecny był metropolita warszawski kard. Kazimierz Nycz (nz. z prezesem Attisu Wiktorem Masłowskim).

Cóż z tego, skoro zaraz po otwarciu placówki okazało się, że Narodowy Fundusz Zdrowia nie podpisze z nią kontraktu.

Prezes Attisu Wiktor Masłowski, znany menedżer medyczny i lekarz anestezjolog, próbował interweniować, odwołując się do sumień decydentów. – Zostawimy na lodzie 6,5 tys. pacjentów, którzy już teraz czekają w kolejce na różne zabiegi – mówił.

Zresztą nawet pacjenci podpisywali się na petycji do NFZ, bo nie chcieli szukać pomocy gdzie indziej, jeździć do innych placówek i miesiącami czekać w kolejkach na diagnozę – dobrą lub złą, grożącą skróceniem życia.

Co było powodem zmiany nastawienia władz do tej placówki medycznej, która stoi teraz pusta, bezużyteczna?

– Na to pytanie nie znajdziemy satysfakcjonującej odpowiedzi – mówi dziś prezes Attisu. – Może fakt, że decyzję o otwarciu zakładu podjęto za kadencji ministra z „poprzedniego rozdania" Konstantego Radziwiłła? Interwencje u niego w sprawie kontraktu wyglądały obiecująco, ale teraz nawet to światełko w tunelu zgasło. Może winna jest zmiana podejścia do opieki zdrowotnej i utworzenie tzw. sieci szpitali, do której Attis nie został wpisany? Tylko placówka z kontraktem NFZ może wystawiać pacjentom onkologicznym zieloną kartę. Koło się zamyka, bo automatyczne finansowanie ze środków NFZ mają zapewnione tylko placówki należące do sieci. Może chodzi o coś jeszcze innego, bo nawet dyrektor mazowieckiego NFZ mówi, że nie wszystko zależy od niego.

– A przecież centrum medyczne Attis, które ma już 50-letni dorobek, jest instytucją samorządową – dodaje prezes Masłowski. – I to nie marszałek Struzik jest jego właścicielem, ale suweren, my wszyscy.

Oficjalnie stwierdza się, że potrzeby pacjentów z problemami onkologicznymi są w Warszawie wystarczająco zaspokojone.

FOT. MARTA JAKUBIAK, KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI (4)

eprasa.pl fd795dabb0





– Jeśli tak jest w istocie – replikuje prezes Masłowski – to można było wcześniej sprawdzić, że taki kontrakt z naszym zakładem okaże się niepotrzebny i bezużyteczny.

– Co dalej z nieczynnym Zakładem Onkologii Kobiecej? – pytamy szefa Attisu. – Czy znów wystąpicie z wnioskiem o kontrakt?

– Trudno przewidzieć, jakie zmiany przyniesie czas. Sądzę, że czeka nas jeszcze analiza i korekta funkcjonowania sieci szpitali, bo nie wszystkie wypełniają dobrze swoje zadania. Potrzebne jest oficjalne podsumowanie tej formy organizacji służby zdrowia.

Na lodzie zostało 6,5 tys. pacjentów, którzy czekają w kolejce na różne zabiegi.

Na marginesie sprawy Attisu, który jest placówką samorządową, o podpisanie kontraktu przez NFZ apelowali kandydat SLD na prezydenta Warszawy Andrzej Rozenek i lewicowi radni oraz Forum Kobiet Lewicy. Zwracano się też do innych kandydatów startujących w zbliżających się wyborach samorządowych, by poparli to żądanie. Na razie jednak oddźwięku nie ma. Bardziej pasjonujemy się nowymi mostami i liniami metra, tymczasem to tutaj chodzi o życie. ■



eprasa.pl fd795dabb0

Głucha Rada Dialogu Społecznego

Rząd zlekceważył 20 tys. pracowników, którzy 22 września manifestowali przed Kancelarią Prezesa Rady Ministrów

Janusz Jerzy Gołąb



Cofnijmy się w czasie. W połowie 2013 r. z inicjatywy OPZZ reprezentatywne organizacje związkowe z powodu braku możliwości prowadzenia dalszego dialogu ze stroną rządową (koalicja PO-PSL) zawiesiły udział w pracach Trójstronnej Komisji do spraw Społeczno-Gospodarczych i innych instytucjach dialogu społecznego w kraju. W kwietniu 2015 r. OPZZ przeprowadziło wielką manifestację na ulicach Warszawy w obronie dialogu społecznego i przeciw antypracowniczym działaniom tamtego rządu. W lipcu 2015 r. została uchwalona Ustawa o Radzie Dialogu Społecznego oraz innych instytucjach dialogu społecznego, która weszła w życie 10 września 2015 r. A 22 października 2015 r. prezydent Andrzej Duda powołał członków Rady Dialogu Społecznego. Mówił wtedy, że podczas jego rozmów z mieszkańcami Polski problem braku dialogu pojawiał się bardzo często, że „ogromnie liczy na rolę RDS w budowie lepszej Polski, w zapewnieniu krajowi zrównoważonego rozwoju. By było poczucie solidaryzmu społecznego, żeby ono było w obywatelach odbudowywane. Fundamentalne znaczenie w tym zakresie, dla tych zadań ma dialog. Dialog rozumiany jako dążenie do porozumienia w sprawach ważnych". Trzy dni później odbyły się wybory parlamentarne wygrane zdecydowanie przez PiS, które w programie stwierdziło m.in.: „Rząd (PO-PSL) całkowicie lekceważy dialog społeczny, w tym ze związkami zawodowymi" i za konieczną uznało naprawę „pozorowanego charakteru instytucji dialogu obywatelskiego i społecznego".

Mijają trzy lata od wznowienia dialogu społecznego w ramach nowych instytucji. Jak wyglądała praca RDS? Od 2015 r. do dziś odbyły się 23 posiedzenia plenarne rady (jedno w 2015 r., osiem w 2016 r., dziewięć w 2017 r. i pięć w 2018 r.) oraz 32 posiedzenia prezydium (dwa w 2015 r., 11 w 2016 r., 13 w 2017 r. i sześć w 2018 r.). Rada przyjęła w tym okresie 26 uchwał (wspólnych dla stron pracowników, pracodawców i rządowej). Wszystkie uchwały rady dotyczyły spraw organizacyjnych. Nie przyjęto żadnej uchwały w sprawach merytorycznych. Partnerzy społeczni przyjęli 63 uchwały – wszystkie w sprawach merytorycznych, wypracowane na posiedzeniach poszczególnych zespołów problemowych i doraźnych. Uchwały zostały przekazane stronie rządowej, lecz nigdy nie dokonano oceny ich realizacji, chociaż wnosiło o to OPZZ. Równie „spektakularne sukcesy RDS" to uzgadnianie przez rząd z partnerami społecznymi projektów założeń do budżetu państwa, w tym wskaźników wzrostu wynagrodzeń w państwowej sferze budżetowej, wskaźników wzrostu emerytur i rent z Funduszu Ubezpieczeń Społecznych i minimalnego wynagrodzenia za pracę. W tym zakresie strona rządowa nigdy nie była gotowa do prowadzenia negocjacji, o co niejednokrotnie pytał ministrów przewodniczący OPZZ i wiceprzewodniczący RDS Jan Guz. Partnerów społecznych informowano jedynie, że w tych sprawach decyzję podjęła Rada Ministrów i nie podlega ona negocjacjom. Chociaż, jak wszyscy wiedzą, nawet Rada Ministrów zmieniała zdanie. Rząd był głuchy na propozycje zgłaszane przez OPZZ.

Od dłuższego czasu strona rządowa prowadzi rozmowy tylko z jednym związkiem, który wspiera jej działania, czasami tylko pozorując sprzeciw. Tak było np. w przypadku popieranej przez ten związek reformy edukacji minister Anny Zalewskiej. W wyniku nagłego olśnienia, wobec zapowiedzi mającej się odbyć 22 września manifestacji OPZZ z udziałem ZNP, związek ten 15 września przeprowadził pikietę przed MEN w sprawie wzrostu wynagrodzeń pracowników oświaty. Jaki jest stosunek rządu do OPZZ, można było zauważyć na IX Kongresie OPZZ w maju br. Pomimo wysłanych zaproszeń nie przybył na spotkanie z delegatami ani premier, ani żaden z ministrów czy wiceministrów. Jeszcze dobitniej stosunek władz do OPZZ określa dostęp do mediów publicznych mających ustawowy obowiązek prezentowania stanowisk związków zawodowych i organizacji pracodawców w sprawach publicznych. Co wynika z danych publicznej telewizji? W pierwszej połowie tego roku czas wystąpień przedstawicieli związków zawodowych i związków pracodawców w audycjach informacyjnych i publicystycznych TVP 1, TVP 2, TVP Info, TVP Regionalnej (pasmo wspólne) przedstawiał się następująco:

Miesiąc	NSZZ Solidarność	OPZZ	Pracodawcy RP
Styczeń	57 min 43 s	0 min 20 s	1 min 34 s
Luty	7 min 50 s	0 min 28 s	0 min 0 s
Marzec	33 min 15 s	0 min 0 s	0 min 22 s
Kwiecień	44 min 46 s	0 min 0 s	0 min 0 s
Maj	27 min 13 s	6 min 51 s	0 min 0 s
Czerwiec	39 min 54 s	0 min 0 s	0 min 22 s

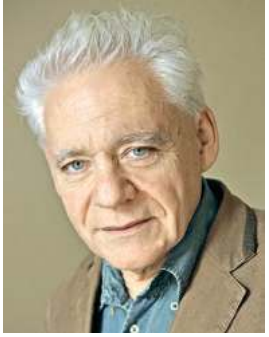


Co oznaczają te dane? Odpowiedź jest jedna. To próba izolacji przez rządzących największej w Polsce reprezentatywnej centrali związkowej (co potwierdzają dane GUS), jaką jest OPZZ, w obawie przed słusznymi postulatami zrzeszonych w niej związków zawodowych. Premier zajęty od poniedziałku do piątku pracami rządowymi, a w soboty i niedziele partyjnymi, nie miał zamiaru wysłuchać związkowców OPZZ – uczestników manifestacji przeprowadzonej 22 września br. W tym dniu rząd zlekceważył 20 tys. pracowników, którzy pojawili się przed Kancelarią Prezesa Rady Ministrów. OPZZ, jak zawsze, czeka na dalszy dialog z rządem. To nie my go unikamy.

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl fd795dabb0

Oko w oko



Tomasz Jastrun

TRAGICZNA TAJEMNICA

W notatkach Jerzego Zawieyskiego spotykam cytat z pism Churchilla, mówi o wadach polskich, to mocne i nie do końca sprawiedliwe słowa, ale jak je teraz lekceważyć: „Historia Europy ma swoją tragiczną tajemnicę, właśnie Polaków, którzy indywidualnie są zdolni do heroizmu i posiadają cnoty waleczności i wdzięku, a którzy wykazują w swoim życiu państwowym niedostatki nieuleczalne. Wspaniali w rewolcie i w czasie klęski, stają się nikczemni i nędzni w chwili zwycięstwa. Odważni z odważnych są częstokroć kierowani przez podłych pomiędzy najpodlejszymi. Trudno mówić o arogancji i błędach ich polityki, o straszliwych rzeziach i nieszczęściach, na które zostali skazani przez wariactwa swej polityki". Czytam też refleksje polskie Tadeusza Kościuszki, im bliżej go poznaję, tym bardziej go lubię jako człowieka. Podobnie jak Churchill mówi o naszych zrywach i chorobliwym braku wytrwałości. Diagnoza jest warta uwagi: „Polakom dlatego brakuje na stałości umysłu w przeciwnościach, że mało myśleli, mało się zastanawiali nad obrotami losów i czynności ludzkich". Dzisiaj, kiedy mamy w Polsce głęboką zapaść demokracji, szukamy też w przeszłości wytłumaczenia dla tego, co się dzieje.

•

Na wystawie malarstwa mojego przyjaciela spotykam dawno niewidzianych znajomych. Kocham malarstwo i znam się na nim, chociaż nie mam talentu plastycznego, więc zastępczo garnę się do malarzy. Wszyscy jesteśmy okrutnie zmienieni przez czas. Ktoś monstrualnie utył, ktoś dramatycznie schudł. B. jest profesorem na ASP, przechodzi na emeryturę, przedstawia mnie swojemu następcy. Przecież znałem go jako małego chłopca, już wtedy z talentem rysował. Teraz ceniony malarz. Z jego rodzicami przyjaźniłem się w stanie wojennym, razem konspirowaliśmy. Kilka lat temu, kiedy przypadkiem spotkałem jego matkę, zatrzęsła się ze złości na mój widok i niechętnie podała mi rękę. Okazało się, że pisówka. Byłem w szoku, czemu właśnie jej przydarzyło się takie nieszczęście. Nie pytam syna, jakie sam ma poglądy polityczne, nie może mieć innych niż ja, za to pytam od razu: „Jak pan sobie daje radę z poglądami mamy?". „Nie rozmawiamy nigdy o polityce", odpowiada. Jest z nim młoda kobieta o miłej powierzchowności, okazuje się, że to wnuczka mojego kolegi z opozycji. Tolek zawsze był osobliwym człowiekiem, wielkim ekscentrykiem. Nie żyje od dziesięciu lat. Myślę: jak ten czas z nami gra w okrutną grę. A przy okazji refleksja – jak mała jest ta nasza elita. I to ona właśnie jest obiektem szczególnej nienawiści PiS. Poniekąd słusznie.

•

Kaczyński o sędziach, już słynne zdanie, ale cytuję z kronikarskiego obowiązku: „Ale ta oikofobia, jak to się nazywa, czyli niechęć, czy nawet nienawiść do własnej ojczyzny i własnego narodu, to jedna z chorób, która dotknęła część sędziów i która prowadzi do nieszczęść". Pięknie, mądrze i głęboko. Najpierw trzeba wroga zohydzić, a potem zlikwidować. Skąd my to znamy? A potem prawił frazesy narodowe, robi to, trzeba przyznać, umiejętnie. Czule i wprawnie pieści ludziom organy narodowe, pochlebia i buduje myślenie plemienne. W puencie mówił, że ma być w Polsce jak we Włoszech i Francji, a potem jak w Niemczech. Raczej będzie jak w Turcji.

•

Po latach w Przemyślu. To zawsze było dla mnie magiczne miasto, piękny rynek, kościoły jak schody do nieba pną się na wzgórza. Ale tak już jest, że po latach powroty do miejsc, które zdawały się magiczne, są rozczarowaniem. Ty jesteś już kimś innym, inaczej pachnie czas, nie ma powrotu. Jak co roku festiwal poezji. Kiedy gościłem tu ostatnim razem, spotkałem poetę Julka Kornhausera – jeszcze był zdrowy, jeszcze nierażony paraliżem i do głowy by mu wtedy nie przyszło, że jego córka zostanie żoną prezydenta RP, który jest pogardzany w jego środowisku. Moi przemyscy znajomi czują jak ja, nawet nie obwąchujemy się nawzajem, od razu rozmawiamy, jak oburza nas stan rzeczy. Znali kiedyś dobrze Marka Kuchcińskiego, jest stąd i nie dziwi ich, że stał się cerberem „dobrej zmiany".

W sali kominkowej na zamku czytanie wierszy. Jest kilku poetów. A też pisząca wiersze siostra zakonna. Dobrze wybrałem utwory, to się czuje także po tym, jak ludzie słuchają, jak patrzą. A siostra kupiła potem mój tomik i uklękła przede mną – siedziałem na krześle – prosząc o autograf. Przede mną bezbożnikiem. Mówiła, że mnie od dawna czyta. Emanowały z niej światło i dobroć. Gdyby wszyscy duchowni tacy byli, uwierzyłbym w Boga.

Kaczyński wprawnie pieści ludziom organy narodowe, pochlebia i buduje myślenie plemienne.

eprasa.pl fd795dabb0

HAŃBA MONACHIUM

Sanacyjni politycy nie rozumieli, że rozbiór Czechosłowacji wzmocni III Rzeszę i stanowi śmiertelne niebezpieczeństwo dla Polski

Bohdan Piętka

30 września 1938 r. w hotelu Cztery Pory Roku w Monachium przywódcy Francji, Wielkiej Brytanii, Niemiec i Włoch podpisali układ dotyczący suwerenności i podziału terytorium Czechosłowacji. Odbyło się to bez udziału przedstawicieli tego kraju, co w Europie było wydarzeniem bez precedensu. W ten sposób mocarstwa europejskie postępowały co najwyżej w stosunku do kolonii w Afryce.

Wielka Brytania i Francja, wyrażając zgodę na zaspokojenie żądań terytorialnych Hitlera wobec Czechosłowacji, otworzyły III Rzeszy drogę do nowej wojny światowej. Cynizmowi polityków zachodnioeuropejskich towarzyszyło zagubienie opinii publicznej ich krajów. Premier Francji Édouard Daladier po powrocie z Monachium był witany w Paryżu przez wiwatujące tłumy. Podobnie na londyńskim lotnisku Heston witano jego brytyjskiego kolegę Neville'a Chamberlaina, który wzniósł rękę z kartką papieru i powiedział: „Przywożę wam pokój". Tylko Winston Churchill zdobył się wówczas na komentarz: „Mieli do wyboru wojnę lub hańbę, wybrali hańbę, a wojnę będą mieli i tak".

Dwa dni przed konferencją w Monachium premier Chamberlain wygłosił szokujące zdanie: „Nie możemy w żadnym razie postępować tak, by wciągnąć całe imperium brytyjskie do wojny z powodu tego narodu, (…) ludzi, o których nic nie wiemy". Ta wypowiedź oddaje najlepiej stosunek demokracji zachodnich do ofiary brunatnego reżimu Hitlera.

KRYZYS SUDECKI

To zaś, że Czechosłowacja będzie następną ofiarą Hitlera, stało się oczywiste po aneksji Austrii w marcu 1938 r. W działaniach przeciwko temu państwu Berlin mógł liczyć na Węgry, które były teraz sąsiadem Rzeszy i mogły korzystać z jej pomocy wojskowej, na separatystów słowackich, a także na Polskę, której polityka zagraniczna pod rządami ekipy sanacyjnej miała m.in. oblicze antyczeskie.

Winston Churchill: *Mieli do wyboru wojnę lub hańbę, wybrali hańbę, a wojnę będą mieli i tak.*

Kluczową rolę w wywołaniu kryzysu czechosłowackiego odegrała mniejszość niemiecka w Czechosłowacji, licząca według spisu powszechnego z 1930 r. 3,2 mln osób (22,3% ogółu mieszkańców). Niemcy czesko-morawscy w ogromnej większości sympatyzowali z radykalnie nacjonalistyczną i pronazistowską Partią Sudeckoniemiecką, kierowaną przez Konrada Henleina. Właśnie Henlein na zjeździe tej partii w Karlovych Varach zażądał 24 kwietnia 1938 r. autonomii dla Niemców czesko-morawskich oraz wolności wyznawania przez nich „niemieckiego światopoglądu", czyli po prostu ideologii nazistowskiej. Wystąpienie Henleina rozpoczęło tzw. kryzys sudecki, który od razu został przeniesiony na płaszczyznę międzynarodową.

Ani prezydent Czechosłowacji Edvard Beneš, ani jej premier, Słowak Milan Hodža, aż do wybuchu tego kryzysu nie widzieli zagrożenia niemieckiego ani potrzeby uregulowania sytuacji niezadowolonych mniejszości narodowych.

Czechosłowacja była związana sojuszami z Francją i ZSRR. Jednak czechosłowacko-radziecki traktat z 1935 r. przewidywał, że ZSRR spełni zobowiązania sojusznicze, jeśli zrobi to również Francja. Dodatkowa trudność polegała na tym, że oba państwa nie miały wspólnej granicy. Pomoc wojskowa ZSRR dla Pragi byłaby możliwa tylko


ILUSTROWANY
KURYER CODZIENNY
Rok XXIX. Kraków, wtorek 4 października 1938 Nr 274.
Stolica manifestuje po odzyskaniu Zaolzia.
Gdy wkraczamy w historyczne piastowskie granice...
„Maszerować za Olzę!"
– rozkazuje Naczelny Wódz.
Liczne fotografje z odzyskania Zaolzia.
ILUSTROWANY
KURYER CODZIENNY
Rok XXIX. Kraków, środa 5 października 1938 Nr 275.
Perspektywy historyczne.
Wiano – jakie wnosi wyzwolona ziemia.

eprasa.pl fd795dabb0



Sygnatariusze układu monachijskiego, 29 września 1938. Od lewej premierzy: Wielkiej Brytanii – Neville Chamberlain i Francji Édouard Daladier, wodzowie: III Rzeszy Adolf Hitler i Włoch Benito Mussolini oraz szef włoskiego MSZ Galeazzo Ciano.

wtedy, gdyby Polska i Rumunia pozwoliły na przemarsz Armii Czerwonej przez swoje terytoria, na co oba te państwa nie chciały się zgodzić. Ewentualna koalicja Francji, Czechosłowacji i ZSRR stanowiłaby skuteczną zaporę dla planów Hitlera, ale wszystko rozbijało się o stanowisko Francji. Jej generalicja przyjęła bowiem w 1936 r. defensywną doktrynę obronną, opartą na istnieniu linii Maginota.

Na stanowisko Francji wpływała też ówczesna polityka polska, i to bez względu na niechęć, jaką w Paryżu wzbudzał polski minister spraw zagranicznych Józef Beck. Wyraźna współpraca polsko-niemiecka – także w odniesieniu do Czechosłowacji – stawiała dyplomację francuską w delikatnym położeniu, bo ewentualna pomoc dla Pragi mogła się spotkać z przeciwdziałaniem ze strony polskiej. Władze II RP popierały roszczenia węgierskie do ziem słowackich i przychylnie odnosiły się do faszyzujących nacjonalistów ze Słowackiej Partii Ludowej Andreja Hlinki (HSLS, tzw. ludacy), żądających najpierw autonomii, a potem separacji Słowacji od Czech. Ówczesną politykę polską wobec Pragi determinowały trzy czynniki: osobista niechęć Józefa Becka do Czechów i do prezydenta Beneša, negatywny stosunek do sojuszu czechosłowacko-radzieckiego i do faktu, że w Czechosłowacji legalnie działała partia komunistyczna oraz udzielenie przez Czechosłowację schronienia polskim politykom opozycyjnym – przede wszystkim Wincentemu Witosowi i Wojciechowi Korfantemu – co w Warszawie odbierano jako akt wrogości.

Przywódcy II RP łudzili się – tak samo jak w wypadku Austrii – że zwrócenie się ekspansji niemieckiej przeciw innemu państwu oddali zagrożenie od Polski. Było wręcz przeciwnie – agresja hitlerowska na południowego sąsiada to zagrożenie właśnie przybliżała. Zrozumiano to jednak w Warszawie dopiero w marcu 1939 r., po ostatecznej likwidacji państwa czechosłowackiego przez III Rzeszę.

Od początku kryzysu sudeckiego celem Francji i Wielkiej Brytanii było nie powstrzymanie agresji Hitlera, ale wywieranie nacisku na Czechosłowację, by zaspokoić żądania niemieckie, oraz niedopuszczenie do ewentualnej interwencji ZSRR. Już 7 maja 1938 r. w Pradze posłowie francuski i brytyjski w swoich wystąpieniach oficjalnie nalegali na rząd czechosłowacki, by uwzględnił żądania Henleina. Poseł brytyjski zaznaczył przy tym, że w razie wojny pomiędzy Niemcami a Czechosłowacją Wielka Brytania nie udzieli Pradze żadnej pomocy. Takie naciski dyplomatów zachodnich na rząd w Pradze pojawiały się odtąd za każdym razem, gdy żądania Niemców eskalowały.

Położenie Pragi pogorszyły żądania słowackich nacjonalistów. Na początku września 1938 r. ludacy zapowiedzieli wprost, że w razie wojny z Niemcami nie będą bronić państwa czechosłowackiego.

DYKTAT ZWANY PROPOZYCJAMI

Największą winę za doprowadzenie do hańby Monachium ponosił rząd brytyjski, który za wszelką cenę chciał uniknąć wojny z III Rzeszą. Głównym zmartwieniem premiera Chamberlaina była możliwość interwencji ZSRR w obronie Czechosłowacji i wybuchu wojny w Europie. Do pośrednictwa w rozmowach między rządem praskim a henleinowcami Chamberlain wyznaczył proniemiecko nastwionego lorda Waltera Runcimana, którego misja musiała się zakończyć niepowodzeniem.

Zaostrzenie kryzysu nastąpiło 12 września, kiedy na zjeździe NSDAP w Norymberdze Hitler zagroził, że rząd niemiecki weźmie w obronę swoich „uciskanych" rodaków w Czechosłowacji. Wystąpienie to stało się sygnałem dla partii Henleina do wzmożenia akcji sabotażowo-terrorystycznych, co z kolei zmusiło rząd czechosłowacki do wprowadzenia w rejonach przygranicznych stanu wyjątkowego.

Wielka Brytania i Francja, godząc się na zaspokojenie żądań Hitlera wobec Czechosłowacji, otworzyły III Rzeszy drogę do nowej wojny światowej.

W reakcji na te wydarzenia Chamberlain przybył do Niemiec i spotkał się z Hitlerem 15 września w Berchtesgaden. Pod wpływem gróźb wojennych Hitlera brytyjski premier obiecał, że rządy zachodnie będą naciskały na Czechów, aby spełnili niemieckie żądania.

Zarys przyszłego układu monachijskiego pojawił się 18 września

eprasa.pl fd795dabb0

podczas brytyjsko-francuskich konsultacji w Londynie. Politycy zachodni uradzili, że należy zaproponować rządowi w Pradze odstąpienie III Rzeszy wszystkich terenów pogranicznych zamieszkanych przez ponad 50% ludności niemieckiej. Nowym granicom Czechosłowacji rządy zachodnie miały udzielić gwarancji. Oznaczałoby to anulowanie sojuszów tego państwa z Francją i ZSRR, co było jednym z żądań Hitlera.

Tego samego dnia oba mocarstwa przekazały te propozycje kanałami dyplomatycznymi prezydentowi Benešowi, nie kryjąc, że nie spodziewają się ich odrzucenia. Był to wielki wstrząs dla Beneša, który dotąd niezachwianie wierzył w ład wersalski i sojusz z Francją. Nastroje społeczeństwa czeskiego były przeciwne kapitulacji. Dlatego 20 września minister spraw zagranicznych Kamil Krofta przekazał mocarstwom zachodnim odpowiedź odmowną.

Wywołało to oburzenie w Paryżu i Londynie. Oba mocarstwa wzmogły nacisk na rząd w Pradze, dając do zrozumienia, że odrzucenie żądań spowoduje zbrojną agresję Niemiec, a w wojnie tej Francja udziału nie weźmie. Było to ultimatum, przed którym Beneš i Hodża ustąpili. 22 września, podczas drugiego spotkania z Chamberlainem w Bad Godesberg, Hitler w brutalnej formie przedstawił jeszcze dalej idące żądania terytorialne wobec Czechosłowacji. Początkowo oba rządy zachodnie uznały je za nie do przyjęcia i doradziły rządowi czechosłowackiemu ogłoszenie mobilizacji, która została przeprowadzona bardzo szybko i sprawnie. Ostatecznie jednak w Londynie i Paryżu górę wzięła chęć uniknięcia wojny za wszelką cenę.

Pomysł rozstrzygnięcia sprawy Czechosłowacji na konferencji mocarstw został wysunięty 27 września przez prezydenta USA Franklina D. Roosevelta. Tyle że Chamberlain zrealizował go po swojemu, tzn. bez udziału Czechosłowacji i przeciw niej. O pośrednictwo w rozmowach z Niemcami poprosił faszystowskiego dyktatora Włoch Benita Mussoliniego. Przed konferencją czterech mocarstw w Monachium, która rozpoczęła się 29 września, Hitler i Mussolini umówili się, że Duce przedstawi stanowisko niemieckie jako włoskie propozycje kompromisowe. Chamberlain i Daladier tak bardzo bali się fiaska konferencji, że zasadnicze żądania Hitlera z Bad Godesberg przyjęli już po północy z 29 na 30 września.

Nowy rząd czeski, na czele którego od 22 września stał gen. Jan Syrový, musiał teraz zaakceptować dyktat monachijski lub go odrzucić. Głównodowodzący armii gen. Ludvík Krejčí apelował do prezydenta Beneša i rządu, by nie kapitulować. Wierzył w siłę sudeckich fortyfikacji. Beneš, Syrový i Krofta byli jednak zdania, że wojna bez sojuszników jest beznadziejna. W południe 30 września Krofta zakomunikował przedstawicielom dyplomatycznym Francji i Wielkiej Brytanii, że Czechosłowacja przyjmuje dyktat monachijski. Na koniec dodał: „Na pewno nie jesteśmy ostatni, po nas spotka to innych".

Polska, której polityka zagraniczna była nastawiona antyczesko, pomogła Hitlerowi w międzynarodowej izolacji Pragi.

W wyniku układu monachijskiego przyłączono do Rzeszy prawie 40% terytorium Czechosłowacji. W miejsce dotychczasowego państwa czechosłowackiego powołana została federacyjna Republika Czesko-Słowacka z autonomiczną Ukrainą Karpacką. Pozbawiona fortyfikacji sudeckich była bezbronna wobec III Rzeszy.

W wyniku układu monachijskiego przyłączono do Rzeszy prawie 40% terytorium Czechosłowacji.

ANEKSJA ZAOLZIA

Kryzys sudecki został w Warszawie uznany za okazję do rozwiązania sporu o Śląsk Cieszyński (Zaolzie) oraz pograniczne tereny na Orawie i Spiszu. Latem 1920 r., podczas pogarszającej się dla Polski sytuacji na froncie wojny z Rosją bolszewicką, Czechosłowacja uzyskała korzystny dla siebie arbitraż mocarstw zachodnich w sprawie spornego terytorium. Mimo formalnego poszanowania



praw ludności polskiej na Zaolziu władze czeskie poprzez różne działania administracyjne prowadziły czechizację tamtejszych Polaków.

W styczniu i lutym 1938 r. podczas niemiecko-polskich rozmów na najwyższym szczeblu strona polska została poufnie poinformowana, że III Rzesza dąży do konfrontacji z Czechosłowacją. Chociaż nie doszło do współpracy, Polska zajmowała w czasie kryzysu sudeckiego stanowisko proniemieckie, a przynajmniej niechętne Czechosłowacji.

Prezydent Beneš próbował rozbić współpracę polsko-niemiecką, oferując nam rewizję granicy w zamian za neutralność w sporze między Pragą a Berlinem. Jego list w tej sprawie do prezydenta Ignacego Mościckiego z 22 września 1938 r. dotarł z opóźnieniem i nie wywarł żadnego skutku wobec antyczeskiej zapiekłości Becka. 20 września ambasador Józef Lipski poinformował Hitlera, że Polska czterokrotnie odrzuciła prośby mocarstw zachodnich o pomoc w rozładowaniu kryzysu

eprasa.pl fd795dabb0



Oddziały kawalerii podczas defilady w Karwinie na Zaolziu.

czechosłowackiego. Wódz III Rzeszy odwdzięczył się zapewnieniem, że na wypadek konfliktu polsko-czeskiego Niemcy staną po stronie Polski.

Pod koniec września 1938 r. rząd polski wysłał do Pragi utrzymane w tonie nieprzyjaznym noty, w których domagał się równolegle do załatwienia roszczeń niemieckich rozwiązania problemu ludności polskiej na Zaolziu, co oznaczało rewindykacje terytorialne. Przed północą 30 września złożono w Pradze ultimatum z żądaniem przekazania Zaolzia. Czas na udzielenie odpowiedzi ustalono na 12 godzin, a jej brak lub odmowa oznaczały interwencję zbrojną ze strony polskiej. Nasze żądania rząd czeski zaakceptował 1 października. Pomiędzy 2 a 11 października Samodzielna Grupa Operacyjna „Śląsk" gen. Władysława Bortnowskiego, do której marsz. Edward Rydz-Śmigły skierował pełną egzaltacji odezwę zakończoną pompatycznym „Maszerować", zajęła Zaolzie.

Z podobną egzaltacją wypowiadała się ówczesna polska prasa. Miesięcznik „Młoda Polska" dał na pierwszej stronie właśnie taki tytuł, „Maszerować", oraz zdjęcie i odezwę Rydza-Śmigłego. „Ilustrowany Kurier Codzienny" 2 października epatował czytelników nagłówkami: „Zaolzie nasze!", „Dziś wkraczamy do Cieszyna!", „Zwyciężyliśmy!". 4 października na pierwszej stronie umieścił tytuł: „Maszerować za Olzę! – rozkazuje Naczelny Wódz". Natomiast 5 października uraczył czytelników obszernym fotoreportażem z „odzyskanego Zaolzia". Warszawski „Kurier Poranny" informował 3 października: „Wojska polskie maszerują od rana w głąb Zaolzia. Energiczna kontrakcja przeciw dywersji komunistów". Jeszcze 12 listopada dziennik „Polonia" obwieszczał na pierwszej stronie: „Święto całej Polski. Pan Prezydent RP w Cieszynie".

Dla rządu w Pradze był to dodatkowy cios. Przywódcy sanacyjni dołożyli swoją cegiełkę do hańby Monachium. Nie warto było. Przez ten krok Polska straciła w 1945 r. Zaolzie na zawsze.

Konieczność sojuszu polsko-czechosłowackiego wskazywał już w 1926 r. Wincenty Witos.

Rodzi się pytanie, czy w 1938 r. możliwy był sojusz polsko-czechosłowacki przeciw Niemcom hitlerowskim. Był on wskazany nie tylko ze względów geopolitycznych, ale także dlatego, że Niemcy we wrześniu 1938 r. nie były gotowe do wojny z Czechosłowacją i Polską, a tym bardziej z Francją. Niemiecki potencjał wojenny znacząco wzmocnił się dopiero po zajęciu przez III Rzeszę w marcu 1939 r. Czech i Moraw, kiedy to Rzesza przejęła nowoczesne uzbrojenie armii czechosłowackiej i tamtejszy dobrze rozwinięty przemysł zbrojeniowy. To bardzo przyśpieszyło wybuch II wojny światowej.

Obrońcy sanacji odpowiadali i odpowiadają, że sojusz taki nie był możliwy z winy Czechosłowacji i jej rzekomo antypolskiej polityki w 20-leciu międzywojennym, w tym prób czechizacji Polaków na Zaolziu. Jest to odpowiedź fałszywa. Powodem wrogiego stosunku Becka i innych polityków sanacyjnych do Czechosłowacji było nie Zaolzie, ale to, że postrzegali ten kraj jako państwo nieprzyjazne ze względu na jego sojusz z ZSRR oraz udzielanie pomocy polskiej opozycji. Dążyli do rozbicia Czechosłowacji również dlatego, że uważali ją za przeszkodę w stworzeniu w Europie Środkowej bloku państw pod egidą Polski (tzw. Międzymorza). Tylko że plany Międzymorza były znane Niemcom hitlerowskim, które skutecznie je powstrzymały, wciągając Węgry i Rumunię w orbitę swoich wpływów.

Konieczność sojuszu polsko-czechosłowackiego wskazywał już w 1926 r. Wincenty Witos. Opowiadali się też za nim niektórzy endecy publicyści. Józefowi Beckowi i pozostałym politykom sanacyjnym zabrakło wyobraźni. W 1938 r. zachowywali się bardzo krótkowzrocznie. Nie potrafili zrozumieć, że rozbiór Czechosłowacji jeszcze bardziej niż aneksja Austrii wzmocni potencjał militarny Niemiec i że jest to śmiertelnie niebezpieczne dla Polski.

Bohdan Piętka

FOT. WIKIPEDIA, NAC

eprasa.pl fd795dabb0

STAN DUCHOWNY

Wystarczy jeden krytyczny film o księżach pijakach i podnosi się huk pod niebiosa





KLER

Wiesław Kot

Można nakręcić sto filmów o Polakach katolikach pijakach, złodziejach, nierobach i nikt palcem nie kiwnie. Ale wystarczy jeden krytyczny film o katolikach księżach pijakach i podnosi się huk pod niebiosa. A przecież każdy film traktujący o Polsce współczesnej jest jednocześnie filmem o polskim Kościele. Teoretycznie. Bo w potocznym ujęciu „Kościół to oni" – duchowni, czyli wąska grupa zawodowa, wyspecjalizowana w obsłudze religijnej całej reszty. A ta jest Kościołem o tyle o ile.

Bo też co takiego mamy w „Klerze" Wojciecha Smarzowskiego, o czym sto razy nie słyszeliśmy u cioci na imieninach? Ano tylko rozwinięcie słynnego zawołania: worek, korek i rozporek. Worek – mówiąc skrótowo – oznaczał duchownego, dla którego prawdziwą pasją i powołaniem było dorobkiewiczostwo. Mamy w filmie takiego (Arkadiusz Jakubik), który porozumiewa się z parafianami za pomocą taryfikatora opłat za sakramenty. A parafianie przyjmują tę jego pazerność jako dopust boży – bo do kogo pójdą na skargę?

Korek sygnalizował księży, którzy życiowe i kapłańskie rozczarowania topili w wódeczce. Rozporek – takich, którzy z wrodzonej kochliwości, ale częściej z poczucia osamotnienia wdawali się w romanse (nie zawsze z paniami). U Smarzowskiego Robert Więckiewicz daje właśnie taki typ księdza – neurastenika, życiowo niespełnionego, szukającego odrobiny ciepła w związku z parafianką.

Co ważniejsze, Smarzowski prezentuje jeszcze jeden gatunek, pomijany często w parafialnych kwalifikacjach jako mniej widoczny. To kapłan urzędnik kurialny (Jacek Braciak), skupiony na własnej karierze, skłonny do największego świństwa, byle objąć wymarzony stołek. Ten bezwzględny szczur korporacyjny jest kilkadziesiąt lat młodszy od biskupa (Janusz Gajos, klasa sama dla siebie), który wcześniej przeszedł podobną ścieżkę zawodową. A biskup zachowuje się jak udzielny książę. Upaja się władzą, trzęsie politykami, forsę na swoje „dzieła" ściąga w sposób więcej niż żenujący i bez zahamowań. Pycha w fioletach.

Smarzowski ułożył wokół tych panów serię luźno powiązanych scenek – ostrych, dosadnych, oskarżycielskich, jak to ma w zwyczaju. I ta dosadność budzi największy sprzeciw krytyków filmu. Bo co innego powtarzać plotki na imieninach, a co innego zobaczyć księdza, który „wprost od baby" idzie do ołtarza. Co innego narzekać tak ogólnie na pazerność kleru, a co innego być świadkiem, jak biedzi się ta para młodych, którym proboszcz dyktuje zaporową cenę za ślub. Albo usłyszeć z ust duchownych hasło, które już poszło w Polskę: „Oto wielka tajemnica wiary – złoto i dolary". Co innego czytać w gazecie o przypadkach abp. Paetza, a co innego zobaczyć Janusza Gajosa w ornatach jako uosobienie chamstwa, obłudy i chciwości. Tak, tego nie da się „odzobaczyć", to zapadnie w pamięć głęboko i powszechnie.

W mediach skoligaconych z prawą stroną życia publicznego film z miejsca okrzyknięto paszkwilem, a więc utworem złośliwym, tendencyjnym i niewartym rzeczowej polemiki. Nakręconym, jak się wyraził pewien dyskutant, „w pourbanowskim szale". Podstawowy zarzut? Reżyser pokazał margines i swoje obserwacje uogólnił na cały polski Kościół, a to niedopuszczalne. Uruchomiono też hasztag „kocham kościół", gdzie wierni mogą dać odpór filmowi, a jednocześnie wyrazić własne przywiązanie do duchowieństwa. Opinie typu: „Smarzowski nigdy rodaków nie lubił. Nieomal wszystkie jego filmy pokazują Polaków jako nawalone bydło. Ale z czegoś żyć trzeba – o pedofilii reżyserów nigdy filmu nie zrobi"

eprasa.pl fd795dabb0



oddają ducha prawicowej publicystyki. Nieuchronne było też wskazanie, kto za tym stoi: „Gdy pomiot resortowych staje się elytą, mamy takie filmy jak »Kler«", czytamy w prawicowych witrynach.

OPERACJA „MATKA JOANNA"

Niektórzy gorliwcy posuwają się krok dalej i próbują – zapewne z inspiracji duchowieństwa – zablokować pokazy filmu. Takie zapędy kojarzą się jak najgorzej, z praktykami, do których dochodziło w ramach minionego systemu. Nie od rzeczy będzie przypomnienie, że biskupi od dawna próbowali wpływać na gusta filmowe rodzimych katolików. W roku 1958 zainstalowano przy polskim Episkopacie specjalną Komisję ds. Filmu, Radia, Telewizji i Teatru. Komisja oceniała w aż sześciu grupach, które filmy niosą duchowy pożytek, a które wręcz przeciwnie. Na przykład niewinny filmik „Zuzanna i chłopcy" o złotej młodzieży bawiącej się w Zakopanem był groźny, ponieważ zawierał „zbyt atrakcyjnie uwypuklone sceny swawolnych tańców". W gruntownie zapomnianym dzisiaj „Miasteczku" biskupom nie podobało się, że „nabożeństwo w kościele i duszpasterstwo proboszcza nie mają żadnego pozytywnego wpływu na życie Widłakowa. Księdza widzimy najczęściej między straganami i na przyjęciu weselnym. Film dla ludzi o dojrzałym poglądzie na życie". Najciekawsze są te filmy, które Episkopat uznał wprost za gorszące, jak „Zaduszki" Tadeusza Konwickiego, w których „kapłan poza kiepskim dowcipem oznaczony jest zamiłowaniem do kart i kieliszka". W ramocie kryminalnej „Dwaj panowie »N«" ze Stanisławem Mikulskim zdaniem biskupów „zbyt tolerancyjnie pokazano miłość przedślubną". Z dezaprobatą spotkał się też „Popiół i diament" Andrzeja Wajdy, które to dzieło „zawiera brutalne sceny krwawego dramatu rozgrywek politycznych na tle przemyślnie podstawionych przedmiotów i miejsc kultu religijnego". Nie dziwi więc, że „Nóż w wodzie" Polańskiego „przy swojej płytkości ma wyraźną tendencję do usprawiedliwiania wolnej miłości".

Jeżeli zaś film został napiętnowany jako pamflet antykościelny, musiał się liczyć z próbą całkowitego zdyskredytowania w oczach wiernych. Takich przypadków mieliśmy zaledwie kilka, np. „Kamienne niebo" czy „Drewniany różaniec" państwa Petelskich. W „Różańcu" oglądaliśmy gehennę nastoletnich dziewcząt zmuszonych do przebywania w ośrodku prowadzonym przez zakonnice. W świetle tego, co dzisiaj zdarza nam się słyszeć o praktykach niektórych sióstr, tamta opowieść wydaje się zgoła niewinna. To zaledwie delikatny prztyczek, żadnych poważnych rozliczeń.

Ale zdarzało się, że biskupi wytaczali przeciw filmowi najcięższe działa. Obiektem takiego ataku okazała się stara, XVII-wieczna opowieść o zbiorowym opętaniu czy też zbiorowej histerii, której uległo grono sióstr w miejscowości Loudun (środkowo-zachodnia Francja). Jarosław Iwaszkiewicz przeniósł tę opowieść (1943) na kresy Rzeczypospolitej. Historię wziął przed kamerę Jerzy Kawalerowicz i uczynił z niej bezdyskusyjne arcydzieło o miłości księdza i zakonnicy, pozbawione jednak jakichkolwiek tanich wyskoków antyklerykalnych. Strony kościelnej to nie przekonało i zmontowała całą rozbudowaną intrygę, aby „Matka Joanna" nie reprezentowała Polski na festiwalu w Cannes. Naciski były bardzo silne – ze strony naszego Episkopatu i z Watykanu – i Kościół zapewne dopiąłby swego, gdyby szefostwo festiwalu nie zmieniło programu. Film wyświetlono już pierwszego dnia konkursowego, więc dzieło siłą rzeczy zaistniało i musiało być brane pod uwagę. Skończyło się na Srebrnej Palmie, nasz film przegrał z „Viridianą" Luisa Bunuela, która to opowieść jest wręcz manifestacyjnie antyklerykalna. „Matka Joanna" wróciła do kraju z Palmą, a tutaj witała ją miażdżąca ocena Episkopatu. Filmowi przyznano kategorię: „Niedozwolony. Wprost lub pośrednio występuje przeciwko zasadom wiary i obyczajów". „Władze komunistyczne uważały, że jest to film za bardzo katolicki, a katolickie, że jest za bardzo antyklerykalny. W związku z tym wszyscy chcieli zobaczyć »Matkę Joannę od Aniołów« i film miał bardzo duże powodzenie", wspominał po latach Jerzy Kawalerowicz. A Lucyna Winnicka, filmowa Matka Joanna, dodawała: „Byli w Polsce i tacy księża, co z ambony w trakcie

Co innego powtarzać plotki na imieninach, a co innego zobaczyć księdza, który „wprost od baby" idzie do ołtarza.

eprasa.pl fd795dabb0

kazania napominali ludzi, żeby omijali nasz film szerokim łukiem".

WIGILIA PRZY KEVINIE

Dzisiejsza dyskusja wokół „Kleru" jest o tyle dziwniejsza, że duchowieństwo, sprawy Kościoła i życia religijnego pojawiają się regularnie w naszych filmach jako naturalna część życia społecznego. Często są to obrazki krytyczne, ale nikomu to nie przeszkadza. Po prostu nikt nie zwraca baczniejszej uwagi na postać pazernego proboszcza w „Weselu" tego samego Smarzowskiego, ponieważ właśnie taki duchowny wydaje się na miejscu w zdemoralizowanej do cna podkarpackiej wiosce.

Jakoś nie słychać, żeby ktokolwiek organizował protesty po premierze filmu Piotra Domalewskiego „Cicha noc" (Złote Lwy i Nagroda Dziennikarzy na festiwalu w Gdyni w zeszłym roku). A przecież Domalewski zamachnął się na największą świętość naszego katolickiego narodu – na Wigilię. Przypomnijmy. W ten „magiczny czas" do rodzinnej chałupy na Warmii wpada młody człowiek zarabiający na życie w Holandii. Wpada bynajmniej nie po to, by podzielić się opłatkiem. Jak widz może się domyślać, chodzi o to, żeby nieopodal założyć nierzucającą się w oczy plantację marihuany. Zresztą nie on pierwszy wpadł na ten pomysł – jego brat, mechanik samochodowy, hoduje już takie roślinki na stryszku. Z samych napraw niemieckiego złomu trudno wyżyć. Ale rodzina krzepi się nie holenderską roślinnością, lecz staropolską czyściochą. I dobrze już zaprawiona zasiada do wieczerzy, bo przecież trzeba wreszcie mieć za sobą ten stary, dziwaczny obyczaj. Gdyby jeszcze udało się przełamać opłatkiem, nie tracąc nic z kolejnej powtórki „Kevina", byłoby idealnie. Jeszcze tylko selfie nad parującym barszczykiem i można iść spać. Ot, polska Wigilia! I co? Pikietował ktoś kina? Zarzucał szarganie świętości? Dlaczego nikomu to nie stanęło w przełyku?

POLSKA TWARZ PARAFIALNA

Kolejny całkiem niedawny głos zahaczający o sprawy Kościoła to „Twarz" Małgorzaty Szumowskiej.



DREWNIANY RÓŻANIEC

Przyjęty ciepło przez rodaków zainteresowanych filmem, ale kompletnie zlekceważony jako stanowisko w sprawie rodzimej religijności parafialnej. Nikt nie jest zainteresowany taką dyskusją, nikomu ona do niczego niepotrzebna. Szumowska, przygotowując scenerię do „Twarzy", przemierzała beskidzkie wioski, aby bez ostentacji, ale i bez krzywdy pokazać Polskę B. I wyszło jej, że pijaczki wystające po rogach ulic, chłopskie furki ciągnięte przez rachityczne szkapy i dawny GS przerobiony na dyskont spożywczy to trwałe fragmenty polskiego pejzażu. Należy do niego także kościół parafialny. W takiej Polsce przy niedzielnych obiadach ciągle najchętniej plotkuje się nawet nie o „najbogatszych" z danego terenu, lecz o księżach. Wierni oglądają ich z rzadka, najczęściej z większej odległości, w tych wyzłacanych, operetkowych strojach. I wtedy doznają wrażenia obcowania z kimś z regionów baśni, uczestnictwa w ekskluzywnym obrzędzie. A że szamańskim – wcale nie szkodzi.

To wszystko układa się w jakąś niechlujność życia. Film otwiera – reżyserka przyznała, że fikcyjna – scena, w której w supermarkecie można dostać plazmę taniej, jeżeli pobiegnie się do lady na golasa. I nasze matrony, nasi ojcowie rodzin zrzucają ciuszki, bo przecież grzech nie przyoszczędzić. Tymczasem nie da się oddzielić biegania na golasa po tańszy telewizor od życia religijnego. Tylko czy aby na pewno?

W „Twarzy" parafianie wznoszą rekordowo wielką figurę Chrystusa z betonu. Oczywiście przy formowaniu betonowej Świętej Głowy co drugie słowo używane przez robotników to swojska k... Nie tylko nie czują niestosowności takiego zachowania, właściwie praca przy tej górze betonu bardzo im odpowiada. Nawet jeżeli trzeba było się na nią złożyć, co tych niebogatych w końcu ludzi mocno trzepnęło po kieszeni. Ale w tym kryje się swoista chłopska chytrość – o wiele łatwiej (i taniej) kupić sobie zbawienie, wpłacając na figurę, niż przekopać całe życie swoje i najbliższych w duchu chrześcijańskim. Wypada ponarzekać, że drogo, ale *per saldo* i tak się opłaca.

I najważniejsze – w żadnym z tych filmów nie toczy się najmniejsza dyskusja ściśle religijna. Bohaterowie – księża i nie – nie zgłębiają swojej wiary, nie są jej ciekawi. Wierni nie wychodzą poza minimalne przygotowanie katechetyczne, a duszpasterze poza wiedzę seminaryjną zaliczoną zapewne na naciąganą trójkę. Jeżeli czytają coś z branży, to albo brewiarz, albo książeczkę do nabożeństwa. Bo nie chce im się samemu układać słów modlitwy.

Życie w większości polskich domów toczy się w rytm imprez rodzinnych (imieniny, urodziny, rocznice), najczęściej zakrapianych. Oraz w rytm roku liturgicznego. Z czasem wódeczki pijamy coraz mniej (lekarz zabrania), więc co nam zostanie, gdy wódeczki już nie możemy, a w telewizji skończył się nasz ulubiony serial? Otóż zostanie nam nasz stary, kochany kler...

Wiesław Kot

FOT. BARTEK MROZOWSKI/KINO ŚWIAT (2), STUDIO FILMOWE KADR

eprasa.pl fd795dabb0

Prosto w Szczenę

Edward Mikołajczyk

Mnie też się nie podoba taki tytuł. Ale mam usprawiedliwienie. Nie ja go wymyśliłem, ja go tylko ukradłem i właśnie zwracam.

Tak ma się nazywać nowy program na portalu Onet, więc sprawa jest jak najbardziej poważna. Co będzie w środku, zobaczymy dopiero 16 października. O co chodzi, nie wiadomo. Rzuciłem się do słowników, żeby namierzyć szczenę, i nie mam dobrej wiadomości dla czytelników. Jest szczenię, owszem, są szczyny, ale szczeny nie ma ani pisanej małą, ani wielką literą.



Znam jednego trenera piłki nożnej, który miał taką ksywę, ale nie wydaje się prawdopodobne, aby tego człowieka autorzy mieli zamiar ustawić sobie na strzelnicy i co tydzień przeszywać seriami. Nikt by tego nie wytrzymał, a zwłaszcza bohater programu, i już po pierwszej odsłonie internauta nie miałby w co kliknąć.

Zaglądam do encyklopedii. Jest dwóch Szczeniowskich, Szczepan i Tytus, ludzi mądrych i uczonych, od dawna niestety nieżyjących. Szczeny ani jednej, ani jednego. Ciągle nie wiadomo, kogo chcą ugodzić autorzy tak elegancko zatytułowanego programu. Czy celują w kogoś lub w coś, czy wprost przeciwnie, sygnalizują zamiar ucieczki na oślep albo biegu na zatracenie w szczenie? Z pewnością chcą wykonać dobrą robotę, zrobić coś raz, a dobrze, skutecznie rozprawić się z nieszczęsną szczeną albo ze sobą.

„Prosto w Szczenę" jako tytuł tak właśnie brzmi: dwuznacznie i radykalnie. Zapowiada, że nie będzie żadnego cackania się. Gdyby przyjąć, że może nie o szczenę, ale o szczękę w nim chodzi, należałoby się spodziewać nowego programu o boksie. Niestety, to narzucające się przypuszczenie zaraz zniknie, kiedy poznamy personalia twórców audycji. Otóż obok dziennikarza sportowego Łukasza Wiśniowskiego wystąpi przed kamerą Wojciech Szczęsny, bramkarz Juventusu Turyn i naszej reprezentacji, co oznacza, że wystąpi on nie tyle obok kogokolwiek, ile przede wszystkim.

Więc może ta Szczena w tytule jest jakąś odmianą zniekształconego dźwiękowo Szczęsnego? Nazwisko Wojtka (tak mówimy my, kibice) akurat świetnie pasuje do dyktanda w każdym kraju. Teraz je przekręcają Włosi, a do niedawna robili to Anglicy, którzy mają chyba największy w Europie talent do poniewierania. Może więc główkując nad tytułem nowego programu, autorzy postanowili sięgnąć do słownika jakiejś obcojęzycznej szatni piłkarskiej albo do niewyczerpanych zasobów fonetycznych jakiegoś sprawozdawcy lub spikera stadionowego? Ale, *sorry*, to chyba już zbyt idiotyczne przypuszczenia, bo co niby taki Szczena miałby robić w programie jako prowadzący, skoro w tytule obiecuje widzowi, że raczej będzie przyjmował, niż wyprowadzał ciosy?! Poza tym wiadomo, że program ma być realizowany w mieszkaniu Wojciecha Szczęsnego w Turynie, więc paru rzeczy nie wypada robić w takim miejscu, nawet przed kamerą wideo.

Są jeszcze inne okoliczności, które unieważniają dotychczasowe domysły i każą snuć nowe. Twórcy programu (Wiśniowski i w nowej roli Szczęsny) nie będą mieli wahań, żeby pojechać nawet do Paryża. „Prosto w Szczenę" będzie zatem produkcyjnie bardzo blisko Wersalu.

Według zapowiedzi, które opublikowała Wirtualna Polska, program Onetu będzie komentować bieżące wydarzenia „ze świata piłki", ale sam format będzie „bliższy rozrywce niż poważnym, eksperckim analizom". Przy tym założeniu należałoby na stałe zainstalować, mówiąc fachowo: zafiksować, kamerę w jakiejś szatni klubowej w Polsce, a nie pakować się do cudzego mieszkania. Będzie inaczej: rozrywka będzie polska, ale przykłady światowe.

Program ma też przynieść odpowiedź na fundamentalne w piłce pytanie – kto najlepiej kiwa. I może w tej zapowiedzi kryje się najwłaściwszy trop do rozwiązania zagadki związanej z tytułową Szczeną. Sportowe dziennikarstwo może iść w zawody z bredniami polityków w radiowych i telewizyjnych formatach rozrywkowych. Poseł Kłopotek (TVN 24, „Kawa na ławę", 23 września) powiedział, że gdyby dzisiejsze niedorzeczności prezydenta na Twitterze podpisywał np. minister Dera, to PAL PIES. Za rok powie już całym zdaniem, co ten pies ma robić, żeby publiczność zechciała kliknąć. ■



FOT. ONET/TWITTER

eprasa.pl fd795dabb0

KTO TY JESTEŚ? DWA NARODY

W Polsce czuję się, jakbym wróciła do swojego kulturowego domu



KRISTINA SABALIAUSKAITĖ
– litewska pisarka, dziennikarka, doktor historii sztuki

Rozmawia Małgorzata Kąkiel

„Litwo, ojczyzno moja!", pisze Adam Mickiewicz w naszym, polskim eposie narodowym. Litewski pieśniarz – wajdelota Halban, jest jedną z ważniejszych postaci „Konrada Wallenroda". Gustaw Konrad wraz z towarzyszami siedzi w wileńskim więzieniu. Tadeusz Konwicki ciągle wspomina Nową Wilejkę. Czesław Miłosz nieraz deklarował swoją litewsko-polską przynależność. Jesteśmy kulturowo przesiąknięci Litwą, stanowimy z nią swoistą jedność, ale dzisiaj coraz mniej o sobie wiemy. Czy na Litwie nasza wspólna przeszłość jest tak samo żywa jak w polskiej kulturze?

– Od połowy XIX w. Litwa zaczęła budować swoją etnolingwistyczną tożsamość narodową. Z jednej strony, dało się dzięki temu ocalić język – a to duże osiągnięcie, zważywszy, że za czasów Imperium Rosyjskiego próbowano zakazać wydawania prasy po litewsku. Z drugiej strony, to nas trochę zamknęło. Dziś w kręgach intelektualnych więcej jest Litwinów czytających po polsku niż Polaków, którzy czytają po litewsku. Dlatego potrzebujemy więcej współpracy kulturalnej.

A Litwini znają „Pana Tadeusza" i niektóre inne nasze utwory z akcentami litewskimi?

– Tak, ale niedostatecznie. Mickiewicz jest w programach szkolnych, podobnie jak Miłosz czy utwory z XVII i XVIII w. Ale można by studiować głębiej. Interakcja kulturalna pomogłaby nam odnaleźć dawną wspólnotę. Litwini wciąż są zainteresowani historią Rzeczypospolitej Obojga Narodów, romantyzmem, autorami, którzy tworzyli literaturę litewską w treści, choć pisaną w innych niż litewski językach. Zawsze mówię, że chyba nie ma lepszej książki o Litwie niż napisana po polsku „Dolina Issy" Czesława Miłosza. Mamy też dużo autorów piszących o Litwie w jidysz. Znakomitą książką o Wilnie i wileńskiej mentalności jest napisana po francusku „Obietnica poranka" Romain Gary'ego. Musimy te treści kulturowe lepiej poznać.

Na co teraz warto zwrócić uwagę w literaturze litewskiej?

– Bardzo rekomenduję jedną z najważniejszych powieści XX w. – „Poker wileński" Ričardasa Gavelisa. To dzieło światowego formatu opisuje Wilno lat 70. XX w. Wilno, które rozpoznaję i pamiętam ze swojego dzieciństwa. Jest tam wiwisekcja radzieckiego systemu. To naprawdę bardzo ważna książka, która – o ile wiem – niedługo ukaże się po polsku.

Pani napisała tetralogię, której dwa tomy są już w rękach naszych czytelników. Opisuje pani Wilno i dwory na litewskiej prowincji. Akcja rozpoczyna się w połowie XVII w.

– Opowieść zaczyna się od potopu i najazdu kozackiego na Wilno, a kończy rozbiorami. Jeden tom to dzieje jednego pokolenia rodziny. To

Kristina Sabaliauskaitė – autorka tetralogii „Silva rerum", której dwa pierwsze tomy ukazały się w Polsce. Z pierwszą częścią cyklu trafiła do finału Nagrody Literackiej Europy Środkowej Angelus. W 2015 r. została Kobietą Roku na Litwie, otrzymała nagrodę św. Krzysztofa od miasta Wilna.

eprasa.pl fd795dabb0

także podróż przez wiek człowieka, bo kiedy zaczynałam pisać, wiedziałam, że praca nad tetralogią zajmie wiele czasu i ja, autorka, też będę podlegać zmianom, więc zostawiłam sobie przestrzeń do tych zmian. Pierwsza książka jest o nastolatkach i ludziach w podeszłym wieku, druga o 30-latkach, trzecia została napisana z punktu widzenia mężczyzny, który przeżywa kryzys wieku średniego, a czwarta przedstawia całe życie, z akcentem na jego kres.

Przemyślana kompozycja.

– W każdym tomie dominuje również jeden z żywiołów. Tom pierwszy – ziemia, arkadia tworzona przez Jana Macieja Narwojsza. Drugi tom – powietrze, morowe, bo epidemia dżumy. Trzeci – ogień – pożary niszczące Wilno. Czwarty – woda, rejsy, jakie odbywa bohater, ponieważ akcja przenosi się z Wielkiego Księstwa Litewskiego do Warszawy i Krakowa, a potem do Paryża, Londynu i Amsterdamu.

Co pani kazało sięgnąć do baroku, który w Koronie był szaleństwem zgubnego sarmatyzmu?

– Zacznijmy od tego, że mój doktorat dotyczył drugiej połowy XVII w.

Pisała pani o Danielu Schultzu, nadwornym malarzu Wazów.

– Tak, więc tę epokę jako naukowiec najlepiej znałam. Poza tym barok to przecież coś więcej niż szaleństwo sarmatyzmu. To była epoka, w której pojawiły się zalążki współczesności. W historiografii angielskiej nazywa się ją wczesną współczesnością właśnie. Wtedy narodził się współczesny człowiek, formowały się państwa europejskie, pojawiła się groźba ze strony świata muzułmańskiego (pamiętajmy o zwycięstwie pod Wiedniem). Odnajdziemy bardzo dużo paraleli z dniem dzisiejszym. No i wyraźnie wtedy zarysowany konflikt między duchowością a cielesnością. Natchnienie można czerpać z różnych źródeł. Ludzie renesansu reinterpretowali antyk, romantycy byli zafascynowani średniowieczem. Chyba każda epoka znajduje w przeszłości coś atrakcyjnego dla siebie. Mnie się wydawało, że epoka baroku może dużo powiedzieć o nas dzisiejszych. Tetralogia kończy się zresztą oświeceniem.

Dotykamy filozofii.

– W każdym tomie próbowałam nawiązać do filozofii opisywanych czasów. W pierwszym pojawia się interpretacja Kartezjusza, w drugiej części widzimy rolę przypadku, czyli echo myśli Barucha Spinozy. Trzeci tom to kabała, ezoteryka, eskapizm rokokowy, a część ostatnia, jak powiedziałam, oświecenie.

Jako historyk sztuki i osoba obdarzona wrażliwością tworzy pani w powieściach plastyczne opisy detali – architektonicznych, wystroju wnętrz, ubrań. Obrazy są namacalne.

– Czytanie musi dostarczać przyjemności, pobudzać wyobraźnię. Zawsze mówię, że historycy sztuki są tłumaczami – przekładają język obrazów na słowa.

Chyba nie ma lepszej książki o Litwie niż „Dolina Issy" Czesława Miłosza.

Dba pani o dokładne przedstawienie epoki, ale jednocześnie pani powieści mają wymowę uniwersalną. Główna bohaterka to siła życia – po kolejnych kataklizmach, jakie dotykają ludzi czy miejsca, następuje odrodzenie. Śmierć, miłość, namiętność to dla pani bohaterów najważniejsze elementy życia. Jak pani wnika w tych ludzi baroku? Bez względu na epokę jesteśmy tacy sami?

– I tak, i nie. Potrzeba kochania, dbania o dzieci, odbudowania życia po katastrofach, potrzeba wiary – to wartości uniwersalne. Ale dużym wyzwaniem było odtworzenie świata moich bohaterów. Czerpałam z wielu różnych źródeł: pamiętników, listów… I powstawała inna panorama, niepodręcznikowa. Wtedy kobiety tak samo jak teraz popadały w depresję, tkwiąc w nieszczęśliwych małżeństwach, tracąc dzieci, tylko nazywało się to melancholią. A one – zdrowe fizycznie – nie miały siły się podnieść z łóżka. I to mnie bardzo ciekawiło, bo interesuje mnie to, co nie jest obiektem historiografii, czyli emocje i ich rola w historii. Ile bitew zostało przegranych z powodu bólu zęba wodza! Dzisiaj też mamy przykłady irracjonalnych zachowań – ludzie w wyborach głosują, kierując się gniewem, oburzeniem, i przynoszą sobie szkodę, kaleczą życie społeczne wynikiem.

Jak odtworzyć mentalność człowieka sprzed wieków?

– Na pewno nie wystarczy się teleportować z XXI stulecia w przeszłość, trzeba się teleportować w duszę człowieka. Czasami żartuję, że przydatna może się stać nawet aktorska metoda Stanisławskiego – próba wejścia w skórę bohatera. Bardzo ważna cecha pisarza to empatia.

Pani bohaterowie stosunkowo mało zajmują się polityką. Na dworach w Koronie panowie szlachta zadyskutowaliby się, kogo poprą na sejmiku, przeciw komu kupą wystąpią.

– Jan Izydor Narwojsz był gorliwym konfederatem wileńskim, ale potem został w twierdzy, bo ja zawsze chcę pokazać konsekwencje wojen. Interesuje mnie nie pójście do ataku przy wtórze werbli, tylko jaki to ma wpływ na kobietę zostawioną gdzieś w dalekim dworze, który stoi na trasie przemarszu wojsk albo dezerterów.

Męscy bohaterowie są u pani drugoplanowi. Na plan pierwszy wychodzą kobiety.

– W drugiej części tak. W trzeciej, która jeszcze nie ukazała się w Polsce, przedstawiam męski punkt widzenia. To trochę prowokacja, wyzwanie, ale pomyślałam sobie, że skoro Tołstoj opisał Annę Kareninę, to ja spróbuję spojrzeć na świat oczami mężczyzny. Trzeci tom ma więcej zwolenników wśród mężczyzn, drugi polubiły kobiety.

Litwini – ostatni poganie – byli chyba bardziej awanturniczy i zabobonni niż Polacy.

Przedstawia je pani jako bohaterki codzienności, poniewierane przez wir historii. W porównaniu z nimi Helena Kurcewiczówna, Oleńka Billewiczówna czy nawet Baśka Wołodyjowska są mdłe.

– U Sienkiewicza kobiety to zawsze trofeum. Ja bardzo dużo pracowałam ze źródłami i wiem, że portret kobiety tej epoki jest inny. Wiele ówczesnych magnatek to bizneswoman – na co dzień kierowały dworami, manufakturami. Dużo spoczywało na ich barkach. Kiedy wyjechałam na studia do Wielkiej Brytanii i zaczęłam pracę nad dokumentami z XVII w., zdałam sobie sprawę, że kobiety w Rzeczypospolitej Obojga Narodów

FOT. ARCHIWUM

eprasa.pl fd795dabb0

Jan Śleszyński
Czyszczenie broni
Wydawnictwo Poligraf
Brzezia Łąka 2017

Zamiarem autora było opisanie tragicznych gdyńskich wydarzeń z 17 grudnia 1970 r., dnia zwanego czarnym czwartkiem. Dramaturgię tego momentu historycznego pokazuje z perspektywy zwykłego chłopaka, byłego robotnika wcielonego do wojska. Zrywa z utartym schematem przedstawiania tych wydarzeń, gdzie na plan pierwszy wybija się bohaterstwo stoczniowców idących do pracy oraz zbrodnicze działania wojska. To strzelające wojsko – podkreśla – to młodzi chłopcy, też robotnicy, których los rzucił na drugą stronę barykady. Są zmęczeni, głodni, przemarznięci, przestraszeni, zaskoczeni sytuacją i modlą się o to, aby nie musieć naciskać spustu karabinu. Oni wtedy też przeżywali swoje dramaty.



Krzysztof Woźniakowski
W kręgu życia kulturalnego polskiego wojennego uchodźstwa na Węgrzech 1939-1945
Wydawnictwo i Drukarnia Towarzystwa Słowaków w Polsce
Kraków 2018

We wrześniu 1939 r., po otwarciu na kilka dni węgiersko-polskiej granicy, napłynęły na Węgry rzesze polskich uchodźców. Rozmieszczono ich w obozach, podobnie jak internowanych polskich wojskowych. Polacy zostali otoczeni tam serdeczną i życzliwą opieką instytucji państwowych oraz organizacji i komitetów społecznych. W 16 szkicach autor szczegółowo przedstawia działalność kulturalno-oświatową organizacji polskiego wychodźstwa na Węgrzech. A była ona bardzo bogata: szkoły, kursy, wykłady, wydawnictwa, biblioteki. Po 19 marca 1944 r. w realiach niemieckiej okupacji i rządów węgierskich faszystów polskie instytucje na Węgrzech zostały zlikwidowane, a życie kulturalne polskiej diaspory zamarło. Pozostała jednak dość bogata dokumentacja.



miały o wiele więcej praw niż na Zachodzie. Mogły dysponować swoim majątkiem, mogły podawać kogoś do sądu, istniały intercyzy. Litwinki – na podstawie statutów litewskich – miały jeszcze więcej praw niż białogłowy w Koronie. Niestety, w połowie XVIII w. sytuacja zmienia się na gorsze i – co widać w trzecim tomie mojego cyklu – kobieta zaczyna być traktowana wyłącznie jako komplet macicy i posagu.

U Sienkiewicza kobiety są trofeum. Tymczasem wiele ówczesnych magnatek to bizneswoman.

Skoro mówimy o kobietach… Pani użyczyła głosu wileńskiemu pomnikowi Barbary Radziwiłłówny. Co ona mówi?

– Mówi po polsku, cytując fragment swojego listu do Zygmunta Augusta, potem opowiada jako ikona kultury litewskiej.

Jeśli jest list do Jagiellończyka, to Barbara wpisuje się w miłosny mit. Ostatnio coraz częściej pisze się o niej jako awanturnicy podejrzanej konduity.

– To typowy stereotyp z Korony. Barbara Radziwiłłówna zasługuje na dobrą współczesną powieść. Była to bardzo ciekawa, nietuzinkowa kobieta. Silna. Prawda o niej pewno leży gdzieś pośrodku.

W różnorodności, wielokulturowości tkwi piękno. To najbardziej kocham w litewskiej kulturze.

Kim są przedstawiciele rodu Narwojszów, bohaterowie pani powieści? To polska szlachta?

– Nie, to szlachta litewska ze Żmudzi. Ród, który istniał i nadal istnieje, bo żyją wciąż jego potomkowie. Bohater czwartego tomu to słynny filozof, matematyk, wolnomularz i jezuita – Franciszek Ksawery Narwojsz – który został upamiętniony na tablicy na ścianie Uniwersytetu Wileńskiego. Tyle że ta żmudzka szlachta była polskojęzyczna. Oni wszyscy byli obywatelami Wielkiego Księstwa Litewskiego, które miało swoją administrację, urzędników, swojego kanclerza, wielkiego hetmana. Bardzo mi miło, że czytelnicy w Polsce rozpoznają tę szlachtę jako swoją. Bo wiele nas łączy, choćby podobna mentalność. Aczkolwiek różniliśmy się nieco kolorytem. Litwini – ostatni poganie – byli chyba bardziej awanturniczy i zabobonni. Odczuwano tę odmienność, bo litewskie rody przedstawicieli rodów polskich nazywały Koroniarzami. Mój pradziadek był Koroniarzem – do dziś tak się o nim mówi.

Czy polonizacja nie przytłoczyła litewskiej kultury, zwłaszcza literatury? Mickiewicz, Kraszewski doceniali gminne pieśni litewskie, ale przyśpieszony rozwój literatury litewskiej nastąpił chyba dopiero w połowie XIX w.?

– Literatura litewska zaczęła się formować wraz z językiem od drugiej połowy XIX w., ale najciekawsze rzeczy zaczęły się dziać w pierwszej połowie XX w. – awangarda litewska z bardzo dobrymi powieściami, znakomitą poezją, która powstawała w niepodległej Litwie, a potem przeniosła się na emigrację. A wie pani, jaka była pierwsza litewska powieść historyczna? „Barbara Radziwiłłówna", napisana w 1820 r. przez Zofię z Tyzenhauzów de Choiseul-Gouffier po francusku. Ciągle mamy tę fundamentalną kwestię: litewska treść wyrażona w innym języku; mówiłam już o „Dolinie Issy". Tożsamość narodowa nie szła w parze z tożsamością językową. „Litwo, ojczyzno moja" – od tego zaczęłyśmy naszą rozmowę.

Pani cykl powieściowy znowu nas łączy, bo „Silva rerum" zdobył wielką popularność na Litwie i w Polsce.

– W Polsce czuję się, jakbym wróciła do swojego kulturowego domu. Moja mama żartowała, że przekładając tomy na polski, przetłumaczyli je z powrotem. A popularność na Litwie jest może spowodowana tym, że opowiadam naszą historię inaczej, w sposób nowoczesny. A może to po prostu ciekawa historia, i tyle. Amalgamat. Nie sposób oddzielić, co litewskie, co polskie, żydowskie, niemieckie, francuskie. W tej różnorodności, wielokulturowości tkwi piękno. To najbardziej kocham w naszej kulturze.

Małgorzata Kąkiel

eprasa.pl fd795dabb0



Tak, ale

Agnieszka Wolny-Hamkało

INNE POMYSŁY NA ŻYCIE

Znowu skandal. Tym razem poszło o flagi, które w ramach akcji promocyjnej Teatru Muzycznego Capitol rozwieszono na budynku teatru. Flagi i plakat na słupie. A konkretnie o wiatraczek, który mógł – a może nawet powinien? – skojarzyć się ze swastyką. Ci, których akcja promocyjna teatru oburzyła, zadzwonili niezwłocznie do urzędu. Niektórzy kandydaci na prezydenta miasta zdążyli wyrazić niepokój, a obserwatorzy kampanii po raz kolejny zadali sobie pytanie, czy władza szanuje/będzie szanować autonomię sztuki.

Capitol wystawia za chwilę sztukę Wojciecha Kościelniaka na podstawie „Blaszanego bębenka" Güntera Grassa. Jak wiadomo, tłem przygód głównego bohatera, Oskara, jest rodzący się faszyzm i wojna. Każdy, kto czytał „Blaszany bębenek" (albo zna biografię Grassa), zrozumie, dlaczego teatr zdecydował się podrzucić przechodniom tę niewygodną grę skojarzeń. Przykro mi słyszeć, że sama ta niewygoda jest dla niektórych odbiorców wystarczającym impulsem do ataków na teatr. Czyżby ktoś oczekiwał jeszcze od sztuki, że będzie czymś w rodzaju relaksacyjnej muzyczki w poczekalni u dentysty? Kojącym nerwy pejzażem?

Nasze ciemne sprawy nie znikają, kiedy udajemy, że ich nie ma.

Kultura pracowicie zachowuje w pamięci te zbrodnie, które powinniśmy przypominać, choćby po to, żeby nie stracić czujności i zidentyfikować, a potem wykluczyć wszelkie przejawy faszyzmu. Kto nie rozumie tej intencji Capitolu, musi mieć złą wolę, a może chce ugrać na całej aferze jakiś polityczny kapitał? Kontekst teatru, galerii, tzw. instytucji, ma znaczenie, a nawet więcej – jest kluczowy. I zmienia wymowę symbolu. Wystarczy przypomnieć sobie wyczyn Daniela Olbrychskiego, który w 2000 r. w Zachęcie, na wystawie Uklańskiego „Naziści", pociął kilka fotografii, posługując się szablą Kmicica (artysta wykorzystał filmowy wizerunek aktora). Brzmi to jak performance, który na dobrą sprawę zrósł się ze słynną wystawą i pewnie posłuży najnowszej historii sztuki za sztandarowy przykład głębokiego nieporozumienia.

Wydawało się, że artyści z kręgu tzw. sztuki krytycznej lat 90. przetarli dla nas ten szlak. Że ich prace – mocne, dyskursywne, społeczne – wreszcie zostały dobrze zrozumiane. W końcu Libera, Kozyra, Żmijewski, Żebrowska, Klaman to klasycy. Czyżby ich pomysł na sztukę jednak nie został przez kulturę przepracowany? Dyskusje wokół „Kompanii Reprezentacyjnej Wojska Polskiego" (filmu, w którym Żmijewski, obnażając polskich żołnierzy, nawiązał do opisanych w „Nadzorować i karać" Foucaulta mechanizmów władzy) wydawały się pożywne i wpływowe. A sprawa była tak głośna, że przebiła się przez hermetyczne ścianki art worldu.

To już dwa lata, od kiedy Teatr Polski we Wrocławiu przestał być ośrodkiem progresywnej, eksperymentalnej sztuki na wysokim poziomie, a stał się zimną przechowalnią talentów. Histeria wokół TP zaczęła się od awantury wokół przedstawienia „Śmierć i dziewczyna". Spektakl bazujący na tekstach noblistki Elfriede Jelinek, która porusza w swojej twórczości tematy seksualności, przemocy, toksycznych relacji rodzinnych, został uznany przez niektórych za promocję pornografii. A przecież zamykanie ust tym, którzy w naszym interesie ryzykują, opracowując trudne, kontrowersyjne tematy, to w szerszej perspektywie działanie autodestrukcyjne. Bo nasze ciemne sprawy nie znikają, kiedy udajemy, że ich nie ma. Oglądamy właśnie tę ponurą, źle skanalizowaną energię podczas marszów ONR, podczas bójek wokół teatru, w szlamie na forach internetowych, w listach do zastraszanych aktorek.

Ostatnio jechałam samochodem z 15-latką, która opowiedziała mi o lekcjach ze wspaniałą nauczycielką, która omawiała z młodymi ludźmi także tę najnowszą historię sztuki. Ucieszyłam się, bo przecież ta trudna komunikacja może dokonać się tylko przez edukację. I zaangażowane, najlepiej lokalne, dziennikarstwo. Tak, żeby opisać tę niewygodę, w którą czasem wprowadza nas ten czy inny artefakt. Bezpieczny, okazjonalny dyskomfort jest przecież lepszy niż przemoc, agresja, brak tolerancji, nienawiść. A sztuka nie musi być przezroczystą muzyką z wind, czasem ma po prostu inne pomysły na życie.



Poprzednie felietony na www.tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl fd795dabb0

KURTYNA W GÓRĘ



Marshall Brickman, Rick Elice, „Rodzina Addamsów", przekład i reżyseria Jacek Mikołajczyk, Teatr Syrena, premiera 8 września 2018

HORROR W TONACJI DUR

To pogodny horror, familijny, na przekór pojawiającym się co krok okropnościom. Połączenie sprzecznych konwencji dało miksturę wybuchowo zabawną, a że oprawiona została w przednią muzykę Andrew Lippy i spolszczone z wyczuciem teksty (znakomite teksty piosenek Jacka Mikołajczyka), a do tego – co w końcu najważniejsze – z talentem zagrana, otrzymaliśmy spektakl na miarę musicalowych oczekiwań: radosny, technicznie dopracowany, smakowicie wykonany.

Co więcej, spotkanie ze znanym schematem opowieści o potwornej rodzince Addamsów okazało się nad wyraz oryginalne. To w dużej mierze zasługa świetnych wykonawców, na czele z Tomaszem Steciukiem (Gomez) i Martą Wiejak jako jego żoną. Nie ustępują im dzieci (Anastazja Simińska i Karol Kwiatkowski), a także dobrotliwy wujaszek Fester Damiana Aleksandra czy kamerdyner Lurch Kamila Zięby.

Choreografia Eweliny Adamskiej-Porczyk budzi zachwyt, ręce same składają się do oklasków. Mógłbym jeszcze długo ciągnąć listę komplementów, pozostając pod wrażeniem przemiany w Teatrze Syrena po zmianie kierownictwa – Jacek Mikołajczyk ze współpracownikami buduje w tym teatrze bardzo solidny, fachowy, warsztatowo kontrolowany teatr musicalowy.

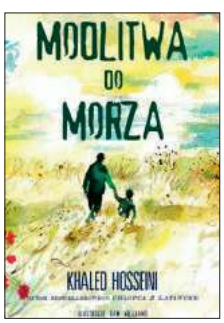
Tomasz Miłkowski

MIĘDZY OKŁADKAMI

Khaled Hosseini
ilustracje: Dan Williams

MODLITWA DO MORZA

tłum. Marta Gral
Albatros, Warszawa 2018



Minęły trzy lata. Zdjęcie, które miało się stać szczepionką na obojętność i antyuchodźczą propagandę, zostało przez wielu zapomniane. Ten chłopczyk, którego ciało fale wyrzuciły na brzeg, nazywał się Aylan Kurdi. Trzyletni Syryjczyk. Był na pokładzie pontonu, który zatonął podczas przeprawy do Grecji. Z całej rodziny ocalał jedynie ojciec – „Modlitwa do morza" mogłaby być jego słowami albo każdego innego ojca, który patrzy na śpiące dziecko i wie, że może je stracić. Słowami lęku i nadziei. Khaled Hosseini, pochodzący z Afganistanu amerykański pisarz, ambasador dobrej woli Agencji ONZ ds. Uchodźców, sam ma dwójkę dzieci. Ufa, że ta książka, z wymownymi akwarelami Dana Williamsa, pozwoli zachować pamięć o Aylanie i wszystkich wygnanych przez wojnę. Pieniądze z jej sprzedaży zasilą UNHCR i fundację pomagającą Afgańczykom i Syryjczykom. W Polsce cały zysk wydawca i dystrybutor przeznaczają dla podstawówki w Berezówce, by nadal uczyły się w niej razem dzieci polskie i uchodźców.

Aleksandra Pańko

BYLIŚMY



WYSTAWA ARTYSTÓW SZWEDZKICH

Wydarzeniem była wystawa prac członków Związku Artystów Szwedzkich i Zespołu Artystów SKHF z południowej Szwecji w Ogrodzie Botanicznym PAN w Powsinie. W stylowych wnętrzach Willi Botanica (dworek Wojciecha Fangora) obrazy wystawili: Aida Ida Uhac, Anki Linderoth, Jaana Anheden, Lars-Göran Angelin (rodzinnie związany z Polską), Margaretha Ohlsson i Swen-Gunnar Swensson, natomiast rzeźby Lisbeth Engelin Lindh. Wernisaż uświetnił obecnością ambasador nadzwyczajny i pełnomocny Królestwa Szwecji w Polsce Stefan Gullgren (nz.). Ekspozycja czynna była przez cały wrzesień.

Andrzej Maślankiewicz

NA POWAŻNIE



CZĘSTOWALI CUKIERKAMI

„Audycja V" Andrzeja Krzanowskiego (zm. 1990), opera w 20 scenach, miała być wydarzeniem przełomowym, burzącym dotychczasowe poglądy na temat gatunku. Niektórzy sądzą, że gdyby ją wykonano 40 lat temu, inaczej potoczyłyby się losy muzyki polskiej. Bzdura! Ponoć wtedy trudniej było wystawić dzieło, bo wymaga ono gry świateł, projekcji filmowych, działań happeningowych, takich jak częstowanie publiczności cukierkami i otulanie jej chmurami przyjemnych zapachów. Premiera „Audycji V" w przestrzeni ATM Studio rozwiała te przewidywania. Śpiewaczka Joanna Freszel naśladuje wokalne sztuczki Urszuli Dudziak, projekcje czerpią pomysły z „Pancernika Potiomkina" Eisensteina, mim ukazuje pracę Syzyfa, a balet wykonuje tańce św. Wita. Wszystko już było, może poza cukierkami i zapachami.

Bronisław Tumiłowicz

Andrzej Krzanowski, „Audycja V", dyrygent Szymon Bywalec, reżyseria Natalia Babińska, Camerata Silesia, Orkiestra Muzyki Nowej, Balet Opery na Zamku w Szczecinie, spektakl w ramach 61. Festiwalu Warszawska Jesień, 14 września 2018

eprasa.pl fd795dabb0

NA EKRANACH



KAMERDYNER

reż. Filip Bajon, prod. Polska, już w kinach

Gdyby Filip Bajon urodził się w USA, pewnie kręciłby dziś w Hollywood filmy na miarę „Dumy i uprzedzenia". Jego rozciągnięty na 50 lat fresk odkrywa historię Kaszubów w nieoczywisty dla polskiego kina sposób. W kolejach losu dynastii von Kraussów reżyser znajduje materiał do wizyjnych kadrów i malarskiej kompozycji. Film jest spektakularny i wystawny, operuje na przemian wnętrzem i plenerem, bo Bajon ma odwagę wyjść z kamerą w przestrzeń wystylizowaną na pierwszą połowę XX w. Nie boi się też tematów kontrowersyjnych – tu zaplącze nazizm i homoseksualizm, tam popchnie rodzeństwo do romansu, gdzie indziej wymierzy policzek Polakom, których patriotyzm ogranicza się do grabieży kaszubskich ziem. Całość imponuje rozmachem, ale rozczarowuje emocjonalny chłód tej opowieści, w której prywatne dramaty spędzają bohaterom sen z powiek równie często jak zawirowania historii. W efekcie „Kamerdynerem", którego fundamentem są konflikty i napięcia, nie sposób się przejąć. Z drugiej strony trudno nie docenić jego piękna.

Artur Zaborski

ZAJRZYJ TU

Jan Styczyński MISTRZOWIE



To zbiór fotografii osobowości polskiej sztuki wizualnej, które autor wykonał w latach 60. i 70. Zaprezentował publiczności kanon sylwetek: Hanuszkiewicza, Kantora, Pendereckiego, Szajnę, Tomaszewskiego, Wajdę, Zanussiego i wielu innych. Jan Styczyński (1917-1981) należał do czołówki polskich fotografów. Znany jest głównie z wydawanych od końca lat 50. albumów fotograficznych, takich jak „Koty", „Wędrówki po Warszawie", „Wisła – opowieść o rzece" czy „Twórca i dzieło". Prace można oglądać w galerii przy ul. Tarczyńskiej 3/9. Szczegóły: **obserwacja.art.pl.**



WARSZAWA, GALERIA OBSERWACJA, 26 WRZEŚNIA-7 LISTOPADA

FESTIWAL

RÓŻEWICZ OPEN FESTIWAL 2018





Jedyny w Polsce festiwal poświęcony trzem wybitnym twórcom kultury: braciom Różewiczom. Wszystko dzieje się w mieście, w którym spędzili młodość i gdzie rodziły się ich inspiracje. Festiwal jest przedsięwzięciem interdyscyplinarnym. Co roku na radomszczańskiej scenie prezentowane są najnowsze inscenizacje dramatów Tadeusza Różewicza. Wyświetlane są filmy Stanisława. Przypominana jest poezja najstarszego z braci – Janusza. W tym roku można zobaczyć wyjątkowe spektakle. Warszawski Teatr Polonia pokaże „Na czworakach" w reżyserii Jerzego Stuhra. Teatr Studio wystawi „Kartotekę rozrzuconą" w reżyserii Radosława Rychcika, a krakowski Teatr Barakah – „Świadków" według Tadeusza Różewicza. Premierą będzie „Głodomór" w wykonaniu Kamila Suszczyka. Szczegółowe informacje: **www.rozewiczopen.pl.**

RADOMSKO, 3-9 PAŹDZIERNIKA





17. MIĘDZYNARODOWY FESTIWAL SZTUKI TAŃCA I PERFORMANSU CIAŁO/UMYSŁ

Festiwal tym razem zauważa, jak często stare spotyka nowe, jak tradycja wyrosła z kultur narodowych wkracza w rzeczywistość. Dobrze to ilustrują spektakle artystów o korzeniach arabskich. „Minaret" Omara Rajeha z Libanu jest protestem przeciw wojnie i zniszczeniu Aleppo. Inny Libańczyk, Bassam Abou Diab, tańcząc do żywej muzyki, przez 30 minut pokazuje, jakie pozy przyjmuje człowiek podczas nalotów. Pochodzący z Tunezji Francuz Radhouane El Meddeb przedstawia rodzaj dyskursu na temat podwójnej tożsamości tunezyjsko-francuskiej i postępów asymilacji w nowym miejscu. **Szczegóły: 2018.cialoumysl.pl/.**

WARSZAWA, DO 5 PAŹDZIERNIKA

LALKA TEŻ CZŁOWIEK



Teatry i twórcy ze Stanów Zjednoczonych, Włoch, Węgier, Holandii, Słowenii, Rosji czy Polski zaprezentują szerokie spojrzenie na teatr lalkowy. A wszystko to na Międzynarodowym Festiwalu Teatru Lalek i Animacji Filmowych dla Dorosłych. Z jednej strony, będzie można obejrzeć historie ocierające się o baśń, z drugiej, swego rodzaju reportaże. Część teatrów posłuży się tradycyjnymi środkami wyrazu, inne – nowymi technologiami łączącymi różne dziedziny sztuki. Na spektakle zapraszają: Instytut Teatralny, Teatr Druga Strefa, Teatr Soho, Scena Współczesna – Teatr Tańca Zawirowania, Centrum Promocji Kultury Praga-Południe. Wstęp wolny, obowiązują zapisy. Więcej na: **www.lalkatezczlowiek.eu, www.facebook.com/lalkatezczlowiek/.**

WARSZAWA, 7-14 PAŹDZIERNIKA

Kolumny przygotowała Agata Gogołkiewicz

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl fd795dabb0

WCIĄŻ KRZYCZĘ PRZEZ SEN

Francuzi powiedzieli jej, jak ma psuć elementy do V-1. Niemcy szybko zauważyli wadę. Wiedziała, co ją czeka

Regina Dachówna

Jest lato, przed południem na bezchmurnym niebie pojawia się sylwetka tłustej foki. Foka zbliża się niebezpiecznie do granic Londynu. Mieszkańcy uważnie ją obserwują. Gdzie spadnie? Wiedzą, że taki kształt mają zdalnie sterowane bomby V-1, którymi Niemcy chcą zniszczyć Londyn. Pierwsze cztery pociski docierają na Wyspy Brytyjskie w nocy z 13 na 14 czerwca 1943 r. Dzień później przed północą Niemcy rozpoczynają ostrzał z 55 wyrzutni. Do południa następnego dnia odpalają 100 pocisków V-1, 18 czerwca już 500.

Wyrzutnie znajdują się na wybrzeżu francuskim, a produkcję ulokowano w Peenemünde na wyspie Uznam. Brytyjskie lotnictwo bierze odwet i w nocy z 17 na 18 sierpnia 1943 r. bombarduje Peenemünde. Niemcy, nie zwlekając, przenoszą zakłady produkujące V-1, a potem także rakiety V-2, do kompleksu podziemnych sztolni w okolicach miasteczka Nordhausen w górach Harzu (Turyngia).

Sztolnie trzeba zaadaptować do nowej produkcji. Z siłą roboczą nie ma problemów. Tu znajdują się filie obozu koncentracyjnego Buchenwald, m.in. Mittelbau-Dora. Więźniowie w podziemiach przygotowują miejsce dla nowych zakładów zbrojeniowych. Wielu z nich nigdy stąd nie wyjdzie.

ŁAPANKA W GORLICACH

W ostatnich dniach sierpnia 2018 r. film dokumentalny na ten temat emituje brytyjska stacja telewizyjna. Aleksandra Wojciechowska (teraz Łapińska) o tym nie wie, a chętnie zobaczyłaby miejsca, gdzie spędziła lata wczesnej młodości. Wspomnienia z pobytu w Nordhausen, najpierw w obozie dla robotników przymusowych, a potem w obozie koncentracyjnym Mittelbau-Dora wracają w snach. Śni jej się wilczur, który rozszarpuje jej udo, esesman, który bije, gdzie popadnie, czuje fizyczny ból i wtedy rozpaczliwie krzyczy. Gdy żył mąż, budził ją i uspokajał. Ale mąż zmarł w 1981 r., teraz jest sama. Kiedy krzyczy przez sen, nikt już nie mówi, że tamto nie wróci, nikt nie wycisza w niej lęku i dawnej rozpaczy.

Często przesiaduje na balkonie swojego mieszkania w bloku, niedowidzi, z trudem się porusza, w przyszłym roku wiosną skończy 92 lata. – Na razie – podkreśla – mam 91 lat i pół roku. Nie więcej.

Pochodzi z Gorlic, w 1942 r. ma dziewięcioro rodzeństwa, mama dwukrotnie rodzi bliźniaki, nie pracuje zawodowo, dorabia jako pomoc, ojciec jest odlewnikiem w firmie francuskiej.

Zima, luty, Aleksandra, czyli Ola, jak mówią do niej wszyscy, wraca z Wandzią Jarosińską, koleżanką z klasy, z tajnych kompletów. Idą przez park. Na tajne komplety dziewczynki chodzą trzy razy w tygodniu, prowadzi je w swoim mieszkaniu nauczycielka muzyki, pani Przesmycka. Obok parku jest placówka Gestapo i Wehrmachtu. Dzieci, a jest ich sporo, idą tak, jakby wracały ze spaceru. Nagle łapanka w Gorlicach! Ola z Wandzią trafiają na Gestapo. Tam słyszą, że pojadą na roboty do Niemiec. Mają po 15 lat.

Następnego dnia jadą pociągiem do Krakowa. Są najmłodsze w całym transporcie, płaczą. Ale mają nadzieję, że Niemcy w Krakowie je wypuszczą. O ich uwolnienie zabiegają dyrektor szkoły Antoni Augustyn, a także niemiecka rodzina Wink, u której pracuje mama. Pani Wink lubiła Olę, uczyła ją niemieckiego. Winkowie przyjechali do Gorlic ze względu na umiejętności pana Winka. To specjalista od ropy, a miasto oplatały przecież szyby naftowe.

– Myślę – mówi dziś pani Ola – że ci Niemcy bali się nazbyt angażować w moją sprawę, ale byli mi życzliwi. Pani Wink gotykiem adresowała listy, które mama do mnie pisała, a raz nawet buciki mi przysłała. Listy dostawałam tylko dlatego, że były starannie zaadresowane po niemiecku.

Gdy pociąg z Gorlic dociera do Krakowa, ludzie z transportu są pędzeni do punktu zbornego przy ul. Wąskiej. Tam, w dużym pomieszczeniu w kącie, jest miejsce dla dziewczynek. Śpią na cementowej posadzce na słomie. W grupie z łapanek są też chłopcy, potem okaże się, że studenci – bystrzy, inteligentni, domyślają się, jaki los czeka dziewczynki. Pojadą na roboty do bauera, czyli na poniewierkę. Chłopcy wożą posiłki z ul. Wąskiej na ul. Grodzką 60, do kolejnego punktu zbornego.

– Wykradniemy was wieczorem, zabierzemy na Grodzką – zapowiadają. Dziewczynki płaczą, boją się. Co się stanie z nimi, gdy uciekną?

Dziś pani Ola wie, że ci studenci to byli wspaniali, mądrzy chłopcy. – Naprawdę zabrali nas jak te dwie sieroty, zaprowadzili na ul. Grodzką i powiedzieli Niemcom, że chcemy pracować nie u bauera, tylko w fabryce. Oni wiedzieli, co robią, my nie miałyśmy o tym pojęcia.

Pobyt w Krakowie trwa dwa tygodnie, potem znów podróż pociągiem w nieznane. Gdy wysiadają w marcu 1942 r. w Nordhausen, dostrzegają góry. Ale niepodobne do tych, które znały z Gorlic. Te góry wyglądają groźnie, jak kamieniołomy.

Transport dociera do obozu dla robotników przymusowych. Dziewczynki widzą długie, ponumerowane, drewniane baraki podzielone na części, w każdej jest miejsce dla 13 osób. Główne wyposażenie baraków – piętrowe prycze.

BEZ WARKOCZY, BEZ CZCI

Po przybyciu wszystkie kobiety popędzone zostały pod prysznic. Ich ubrania trafiły do dezynfekcji. Potem

eprasa.pl fd795dabb0

stało się coś, czego pani Ola nie może opowiadać bez płaczu. Rozwijała się, rosły jej piersi, bardzo się tego wstydziła. Wuefista w szkole krzyczał w sali gimnastycznej: – Wojciechowska! Wyprostuj się! A ona garbiła się, bo chciała ukryć biust. Tu, do baraku, przed przydzieleniem dziewczętom miejsc na pryczach, przyszedł dziadek Wesz (Laus), jak go nazwały dziewczynki, i oglądał wszystkie dokładnie. Stały nagie, bezbronne, pani Ola miała długie warkocze, więc je rozplotła, by zakryć nagość. Dziadek Wesz sięgnął po nożyczki, zaczął obcinać jej włosy. Rzuciła się na niego z pięściami.

– Ty bezczelna Polko! (*Du freche Polin!*) – krzyczał. Gdy obciął włosy, przystąpił do szukania wszy łonowych.

– Takimi malutkimi patyczkami rozchylał nam włoski w kroczu, sprawdzał, czy mamy wszy. Bardzo, bardzo się wstydziłam – pani Ola znów płacze na wspomnienie upokorzenia.

Śni jej się wilczur, który rozszarpuje jej udo, esesman, który bije, gdzie popadnie, czuje fizyczny ból i wtedy rozpaczliwie krzyczy.





Pani Ola obecnie i w wieku 15 lat. Hanewacker fundowało dziewczynkom drewniane podeszwy. Paski do takich drewniaków dorabiały same.

Zamieszkała w baraku nr 13, z 13 dziewczętami, bo w ogóle trzynastka jest dla niej szczęśliwa. Baraki były częściowo zasiedlone, zajmowały je piękne, młode, zamożne Żydówki z Wiednia, ze złotymi bransoletkami na nogach. One uczyły pracy tych z transportu, a same szykowały się do wyjazdu. Nie wiedziały dokąd. Gdy wyjechały, ich miejsce zajęły dzieci z Warthegau, czyli z Poznańskiego, o wiele młodsze od Oli. Miały po 12, 13 lat. Bardzo płakały. W sąsiednich stubach mieszkały dziewczyny z Krakowa, z Rzeszowa, czyli krajanki, co było dla niej bardzo ważne.

Pierwszego dnia wszystkie nowe robotnice dostały białe fartuchy i białe czepki, a rano od godz. 6 zaczęły pracę w Hanewacker, czyli w prywatnej fabryce tytoniu i tabaki. W fabryce Olę przyjął tęgi, starszy Niemiec. Mieszkał z żoną i córką w domu na obrzeżach obozu, przy bramie. Żona pracowała w kuchni. Dziewczęta mówiły do niego Opa (dziadek), bo też traktował je jak dzieci. Opa wyjaśnił, jaki będzie ich rodzaj pracy. Ola zobaczyła na swoim stanowisku liście tytoniu, długie, dorodne, pocięte w pasy jak ciasto na makaron. Liście były moczone w syropie z suszonych śliwek, do syropu używano cukru, który przypominał kawałki lodu.

Potem liście były suszone, wędzone. Z tego materiału powstawał tytoń do żucia, głównie dla pilotów i marynarzy. Dzieci z Poznańskiego pakowały go do pudełeczek.

Na stanowisku pani Oli pracowało dwóch mężczyzn. – Ci panowie rolowali paski liści na maszynce podobnej do kołowrotka – mówi pani Ola. – Ja im te paski podkładałam.

Rytm życia w obozie był wyczerpujący. Pobudka o godz. 4, bieg do ubikacji, bo zawsze tam stały kolejki, mycie i o godz. 6 zaczynała się praca w fabryce. Pracowały 12 godzin, do godz. 18. Dziewczęta nie dostawały obozowych ubrań, chodziły w swoich. Na rękawie nosiły plakietkę wielkości 3 x 3 cm – na żółtym tle granatowe P, kwadracik miał granatową obwódkę. Plakietkę przypinały agrafką.

Z obozu nie wolno było wychodzić. W soboty dziewczęta pracowały do godz. 13, a po południu i w niedzielę wrzątkiem niszczyły wszy i pluskwy na pryczach. Po kilku dniach Ola i Wandzia zauważyły, że do fabryki doprowadzani są Anglicy z obozu jenieckiego znajdującego się w mieście, niedaleko lotniska. Wszyscy młodzi...

Dziewczęta obejrzały wysoki płot, który otaczał ich baraki. Uznały, że to przeszkoda do pokonania. W soboty i niedziele najpierw więc walczyły z insektami, a potem odpinały kwa-

eprasa.pl fd795dabb0

draciki z P, wspinały się po płocie, jeden skok i za chwilę były po drugiej stronie obozowego ogrodzenia. Biegły do kina Trzy Lipy. Pani Ola zapamiętała film „Senne marzenie", grała w nim Marika Reck. Marika Reck śpiewała: „Sama jestem w nocy, moja dusza nie śpi, czy słyszysz, jak bije moje serce?". Pani Ola śpiewa piosenkę po niemiecku, prosi, by jej nie przerywać, bo kolejna zwrotka zaczyna się od słów: „Czekam na ciebie, jesteś moim szczęściem".

Za nielegalne wyjście z obozu groziła kara. Opa wiele razy złapał Olę na obozowym przestępstwie. Trafiała wówczas za karę do izolatki. – Myślałam wtedy, że skoro jestem niegrzeczna, to odeślą mnie do domu. Ale dziewczyny mówiły, że z baraków się nie wraca.

Pamięta topografię obozu – dziesięć baraków, przed nimi plac apelowy, naprzeciwko baraków fabryka, a obok dróżka wiodąca do miasta. Jest jeszcze budynek stołówki. W południe dziewczęta miały przerwę w pracy, wracały ze stołówki do baraków. Anglicy zauważyli młode, zgrabne dziewczyny. Wśród nich był Żyd mówiący po polsku. Wprawdzie obowiązywał zakaz rozmów, ale kto upilnuje młodzież?

– Skąd jesteście? – zapytał pewnego dnia Żyd, którego dziewczęta nazwały Wujaszkiem.

– Z Polski.

– Co się dzieje w Polsce? Jak daleko są Rosjanie?

Właśnie wtedy Ola dostała pierwszy list od mamy. Mama pisała, że ojciec został rozstrzelany przez Gestapo. Ola płakała nad listem. Dziewczyny poszukały czarnych pończoch, znalazły też czarny fartuszek.

Następnego dnia Wujaszek zapytał: – Co się stało?

– Tatę rozstrzelali.

– Za co?

– Nie wiem.

I wówczas Anglicy wymyślili sposób komunikacji. Przy fabryce leżały materiały budowlane na kolejne baraki. Wujaszek powiedział: – W deski wbijemy gwóźdź, na gwoździu zawiesimy worek, do worka włożymy karteczki ze swoimi imionami, wy też tak zróbcie.

Wujaszek doradził, by każda napisała list do któregoś z Anglików.

– Wypatrzył mnie Szkot, David Gault. Podobałam mu się. Gdy pytał, co się stało, odpisałam, że ojca mi rozstrzelali. Raz wykradłyśmy się w kilka dziewcząt z obozu i wtedy spotkałam Anglika. Dał mi paczkę, bo oni dostawali paczki od rodzin. Była w niej czekolada, mydło przeciwko wszom, męska podkoszulka (zapinałam ją agrafką w kroku, tym sposobem miałam koszulę i majtki) i granatowy sweter, a na nim mój monogram wyszyty białą wełną. Pamiętam ten sweter, był prześliczny.

Korespondencja rozwijała się. Aż któregoś dnia list przechwycił komendant obozu, niejaki Klopfer. Pani Ola dokładnie pamięta tę rozmowę. Wezwał ją do siebie.

– Do kogo pisałaś list? – zapytał.

– Nie pisałam.

– Dlaczego kłamiesz? Ja mam ten list.

– Mam powiedzieć prawdę czy skłamać? – zapytała po niemiecku.

– Co napisałaś?

– Że ojciec został rozstrzelany przez SS.

– Skąd znasz niemiecki?

– Z Polski.

– Kładź się.

Powiedział jeszcze, że dostanie się jej za list do Anglików, bo przecież wiedziała, że nie wolno mieć z nimi kontaktu.

– Tak jak kazał, położyłam się na taborecie. Bił gumową pałą. Tak mnie sprał, że majtki na mnie porwał. Uderzał po nerkach, po plecach... Gdy skończył, grzecznie powiedziałam: *Danke schön* (Dziękuję bardzo). Przyłożył mi jeszcze raz. Gdy wyszłam od niego, miałam czarne plecy. W baraku dziewczyny robiły mi kompresy. Rano nie mogłam wstać, nie mogłam się ruszyć. Nadia z Krakowa, nasza sanitariuszka, powiedziała, że nie pójdę do pracy. Gdy któraś miała okres, była z pracy zwolniona. Więc Nadia zapytała, która ma okres. Irka Chruby wyjęła swoją zakrwawioną szmatkę, dała mi. Poszłam do Opy z tym dowodem, a on na to: „To u ciebie pierwszy raz, dostajesz trzy dni wolnego".

OBÓZ MITTELBAU-DORA

Lanie nie było jedyną karą za kontakty z Anglikami. Ola została przeniesiona do obozu koncentracyjnego Mittelbau-Dora, filii Buchenwaldu. W październiku 1944 r. stał się on autonomicznym obozem koncentracyjnym, z własnym krematorium i własnym szpitalem.

– Zaprowadzili mnie do lagerführera, czyli szefa obozu. Zapytałam, czy mogę zamieszkać w baraku z Lucyną Walczak, bo ją też przenieśli, z prof. Turzańską ze Lwowa, z Urszulą Cerekwicką, z Walą Kucap z Krakowa. Zgodził się.

W nowym obozie nowa praca. Lucyna pracowała w ogromnej, nieogrzewanej hali, natomiast Ola trafiła do małego pomieszczenia, gdzie było czyściutko, nieomal sterylnie, miała nawet swoją szafkę. Na początku nie wiedziała, do czego ma służyć jej precyzyjna praca. W hali pracowali

Nie wolno jej nikogo wydać. Dla bezpieczeństwa powinna zachorować i przerwać pracę.

też więźniowie obozu koncentracyjnego, głównie Włosi i Francuzi. Wszyscy więźniowie byli dokładnie wygoleni, potem dowiedziała się, że w czasie pracy nigdzie nawet włosek nie mógł się zawieruszyć.

Majster wytłumaczył Oli, co będzie robić. Otóż miała obsługiwać nowoczesną tokarkę. – Dostawałam metalowy wałek z dziurką w środku, był długi na 15 cm. Tokarka wygładzała wałek. Brałam kolejne z drewnianego stojaka i po obróbce wkładałam w to samo miejsce. Trzeba było uważać na szybkość maszyny. Praca na trzy zmiany. W czasie jednej zmiany trzeba było obtoczyć 150 sztuk. Przy tokarce staliśmy we trójkę – Włoch Carlo, więzień, Marta – Niemka, moja rówieśnica dochodząca z miasta, oraz ja. Marta bardzo mi pomagała. Przynosiła jedzenie – wspomina pani Ola.

Po krótkim czasie zauważyła, że interesują się nią Francuzi. Wiedzieli, do czego służą metalowe elementy. W fabryce ruszyła produkcja V-1 i V-2. W dogodnym momencie, ukradkiem, zaczęli z Olą rozmawiać po niemiecku i wyjaśniać, do czego służą wałki, które jej tokarka wygładza.

– Masz w ręku precyzyjne elementy, twoja maszyna szlifuje, to ostatni etap produkcji wałków. Wiesz, że jest wojna. Trzeba Niemcom przeszkadzać.

eprasa.pl fd795dabb0



W Hanewacker dziewczynki dostawały marki na znaczki. Pani Ola (nz. z lewej): – Pobiegłyśmy z Wandzią do miasta i kupiłyśmy kratkę na spódnice. Szyłyśmy je ręcznie.

– Jak? – zapytała zaskoczona.

– Pokażemy ci.

– Po tej rozmowie do maszyny podszedł Francuz Joseph, obejrzał tokarkę, narysował szkic. Wracał jeszcze kilka razy, w końcu powiedział mi, jak mam psuć elementy – wspomina pani Ola. – Na tokarce były dwa guziczki, gdy wcisnęłam czerwony, maszyna pracowała normalnie, gdy wciskałam czarny, obroty tak się zwiększały, że omal nie rozsadziło maszyny. Przy wysokich obrotach na elementach powstawały niewidoczne rysy. Pilnował mnie strażnik; gdy szedł na papierosa, to ja, trach, włączałam czarny guzik.

Niemcy szybko zauważyli wadę. Pociski po dotarciu do celu nie eksplodowały. Przyjechali specjaliści, sprawdzali wszystkie maszyny i wszystkie detale. Olę ogarnął lęk, wiedziała, co ją czeka w razie odkrycia sabotażu. Francuzi poinstruowali ją, jak ma się zachować, gdy zaczną ją bić. Musi się skulić, schować głowę między kolana, w ten sposób ochroni i głowę, i brzuch. Nie wolno jej nikogo wydać. Dla bezpieczeństwa powinna zachorować i przerwać pracę.

Ola żyletką głęboko zraniła palec lewej ręki, nie chodziła do pracy, rękę nosiła na temblaku. Francuski lekarz i polska pielęgniarka Nina nałożyli na palec maść, by rana się nie goiła. Teraz Ola dostała nowe zadanie. Francuzi korespondowali z rodzinami, otrzymywali od nich lekarstwa. Listy i lekarstwa trzeba było umieszczać pod kamieniami w umówionym miejscu przy drodze, którą więźniowie szli do pracy. I Ola wykonywała to zadanie. Ale raz zdarzyło się nieszczęście.

Francuzi poinstruowali ją, jak ma się zachować, gdy zaczną ją bić. Musi się skulić, schować głowę między kolana, w ten sposób ochroni i głowę, i brzuch.

– Szłam niby na spacer poza baraki. Jak zawsze włożyłam przesyłkę i lekarstwa pod kamienie. Nagle zobaczyłam esesmana. Szedł z wilczurem, zatrzymał się przy mnie, zapytał, skąd jestem, wydawał się życzliwy. Ale pies zaczął wygrzebywać spod kamieni listy i lekarstwa. Potem rzucił się na mnie, wygryzł mi kawałek uda. Pojawili się inni esesmani. Tak mnie skopali, że straciłam przytomność. Na szczycie góry było krematorium. Zatargali mnie pod ścianę i tam zostawili.

Ola trafiła do obozowego szpitala. Nie wiedziała, kto ją odnalazł ani kto ją tam umieścił, z trudem odzyskiwała przytomność. Los był dla niej łaskawy, w szpitalu pracowali dr Kozłowski z Krakowa oraz sanitariusz Zbyszek Mariański. Miał 19, może 20 lat. Nie wiedziała wtedy i nie wie dzisiaj, na czyje polecenie (Francuzów?) Zbyszek tak serdecznie się nią zajął. Leżała w części przeznaczonej dla chorych na tyfus, mimo że na tyfus nie chorowała. Tu Niemcy nie wchodzili, jedzenie podawali na specjalnych łopatach. Po odzyskaniu przytomności zobaczyła, że jest zabandażowana jak kukła. Czuła ból w całym ciele. Ze skóry na nogach, rękach, brzuchu, twarzy ciekła ropa. – Zachorowałam na flegmonę (ropowicę) – wspomina. – Opiekował się mną Zbyszek. Wszystko wokół mnie robił, bo przecież ja leżałam jak kłoda.

Zakochała się w Zbyszku. Był już rok 1945. Wzmagały się alianckie bombardowania, wszyscy czuli, że zbliża się koniec wojny. Niemcy ewakuowali cały obóz, zostawili tylko barak z chorymi na tyfus. Obok wykopali ogromny dół, warstwami poukładali ciała ludzi, oblali benzyną, mieli ten stos podpalić. Nie zdążyli, na teren obozu weszli Amerykanie. W dole były też żywe osoby. Kto tylko mógł, biegł i wyciągał żywych. Amerykanie przywieźli suchary, czarną kawę, dużo czekolad, gotowali ryż. Przestrzegali, by ludzie dużo nie jedli. Ale więźniowie rzucili się na jedzenie, wielu potem zmarło.

Zaczęło się nowe życie. Dziewczyny pobiegły do miasta na szaber ciuchów. Od razu znalazła się orkiestra. Zaczęły się tańce i śluby. Amerykanie mówili: – Kto chce, może jechać na Zachód. Śpieszcie się, przyjdą Rosjanie.

Wtedy Zbyszek powiedział: – Ola, ja się z tobą ożenię, ze ślubem poczekajmy, wyjedźmy do Anglii.

Ola jednak tęskniła za mamą, postanowiła wrócić do Polski. W sierpniu 1945 r. jechała na dachu wagonu, bo wewnątrz nie było miejsca. Dziś zastanawia się, czy zrobiła dobrze. Gdyby wyjechała ze Zbyszkiem, może jej życie byłoby lżejsze?

Na koniec ma dwa pytania: Czy jej opowieść zainteresuje dziś kogokolwiek? I czy nie będzie mieć kłopotów z tego powodu, że była szczera?

Regina Dachówna

FOT. REGINA DACHÓWNA, ARCHIWUM PRYWATNE

eprasa.pl fd795dabb0

Anthony Warner



CZYSTE JEDZENIE

Co pozostaje, kiedy nie wolno jeść pieczywa, ziemniaków, płatków zbożowych, ryb, mięsa oraz nabiału

(…) Moja historia zaczęła się na konferencji branży spożywczej, na której wysłuchałem steku bzdur wygłoszonych przez jedną z najwyższych kapłanek tego kultu. A choć szczycę się niejaką orientacją w trendach żywieniowych, dopóki jej nie spotkałem, nie miałem pojęcia o istnieniu kolejnego monstrum szykującego się do skoku w główny nurt. Koncepcja czystego jedzenia jest tworem nowego rodzaju i różni się od dotychczasowych dietetycznych trendów. „To styl życia, a nie dieta", słyszymy deklarację pełną dumy z holistycznego podejścia i braku surowych reguł. To trend zdrowotny nowej epoki, niezbyt jasno określony, ale cieszący się ogromną popularnością, emanacja nieukierunkowanej i niedającej się kontrolować potęgi nowych mediów.

Dla tych, którzy przemawiają głosem rozsądku – lekarzy, dietetyków i pogromców pseudonaukowych mitów – oznacza to, że walka z czystym jedzeniem przypomina walkę z wiatrakami. Oto mają przed sobą zbieraninę mądrali z mediów społecznościowych i samozwańczych guru, którzy pod płaszczykiem holistycznego *wellness* skrywają ignorancję. Ten rozrastający się wielogłowy potwór o trudnym do zlokalizowania sercu tak mocno splótł się z nowoczesnymi mediami, że powoli dławi je i niedługo zdusi wszelkie głosy rozsądku. (…)

ŹRÓDŁO EPIDEMII?

Spróbujmy najpierw przyjrzeć się pochodzeniu tego osobliwego trendu. Zdaniem wielu osób wywodzi się on z ruchów na rzecz zdrowego jedzenia, powstałych w latach 60. i 70. XX w. Moim jednak zdaniem idea czystego jedzenia, jak na ironię, wyrasta ze starań o „oczyszczenie" składu produktów, podejmowanych przez przemysł spożywczy w latach 90. ubiegłego wieku. Bojąc się rosnącej podejrzliwości nabywców wobec nieznanych im substancji chemicznych wymienianych na opakowaniu, branża spożywcza wpadła w obsesję na punkcie „czystych" etykiet i zaczęła usuwać ze składu dodatki, które konsumenci mogliby uznać za niepotrzebne. A choć pozbycie się tych składników przynosiło producentom na ręce jest dobrym pomysłem, pogoń za „czystymi" etykietami często kończyła się na sprzedaży fałszywych obietnic. Nieszkodliwe i przydatne konserwanty, emulgatory, wzmacniacze smaku, a czasem nawet witaminy zastąpiono „naturalnymi" alternatywami, by stworzyć produkt na pozór zdrowszy. Tymczasem jedyną korzyścią płynącą z takich zabiegów było to, że skład na opakowaniu wydawał się mniej przerażający. Glutaminian sodu można zastąpić ekstraktem z drożdży albo naturalnym aromatem o podobnych właściwościach, za które odpowiadają te same związki chemiczne. Zamiast skrobi modyfikowanej chemicznie wprowadzono skrobię modyfikowaną przez ogrzewanie, bo ten drugi proces można nazwać „naturalnym", mimo że w efekcie powstaje substancja o niemal identycznej strukturze. Te zmiany nie pociągnęły jednak żadnych korzyści zdrowotnych. Chodziło wyłącznie o to, żeby lista składników na etykiecie była krótsza i „czystsza".

Czystość stała się marketingowym słowem kluczem – pozwalała na reformulację i ponowne wprowadzenie produktu na rynek, mimo że jego skład uległ tylko drobnej zmianie.

Gdy w 2005 r. zaczynałem pracę jako kucharz w dziale rozwoju w przemyśle spożywczym, to właśnie stanowiło zasadniczą część naszych zadań – mieliśmy szukać alternatyw dla składników, które na opakowaniach sprawiały wrażenie nie dość „czystych", i to najlepiej takich alternatyw, które można by określić jako „obecne w każdej kuchni". Ani razu nie miałem poczucia, że dzięki temu produkt staje się zdrowszy. (…)

TOSCA RENO

W 2006 r. Tosca Reno, kanadyjska modelka fitness, opublikowała książ-

eprasa.pl fd795dabb0

Tosca Reno zorientowała się, że nowe czasy potrzebują nowej formy. Na tym polegał jej geniusz.

kę pod tytułem „The Eat Clean Diet" („Czyste jedzenie"), wykorzystując do opisu swojej dość nijakiej diety i ćwiczeń język stworzony przez producentów żywności. Tym, co chwyciło i pomogło odnieść sukces książce, było stwierdzenie, że propozycja Reno nie jest dietą w zwykłym sensie, ale raczej prostym i na pozór logicznym programem zmiany nawyków żywieniowych. Reżim Reno zakładał całkowitą rezygnację z produktów przetworzonych i zastąpienie ich „czystą", nieprzetworzoną żywnością. Choć jej książka była typowym poradnikiem dietetycznym, geniusz Reno polegał na tym, że zorientowała się, iż nowe czasy potrzebują nowej formy. Pokoleniu milenialsów dieta kojarzyła się z nudą, banalnością i ograniczeniami, była czymś nieatrakcyjnym, tandetnym. (...)

Całkiem zrozumiałe, że wielu osobom ten prosty przekaz mógł się wydać atrakcyjny. Reno zrobiła krok dalej na drodze, którą wytyczył przemysł spożywczy – zachęcała do diety opartej na żywności nieprzetworzonej. Dietetycy i ludzie zajmujący się nauką o żywieniu mogliby się podpisać pod częścią jej zasad. (...) Reno zachęcała, by jeść jak najwięcej żywności nieprzetworzonej, ale nie namawiała do eliminowania z diety jakiejkolwiek grupy produktów (...). Większość jej przepisów jest rozsądnie zbilansowana, a dużą część wskazówek można by uznać za słuszne (choć raczej nierealne w przypadku większości z nas), jednak od samego początku w jej programie roiło się od niedorzeczności.

Reno twierdzi, że kalorie są nieważne (nieprawda), wspomina o potrzebie detoksu oraz o zakwaszających i odkwaszających właściwościach pokarmów. Znaczna część jej diety opiera się na „błędzie naturalistycznym": pragnieniu, by bez wyraźnych podstaw odrzucić nowoczesność. Z tego bierze swój początek opowieść o tym, że żywność przetworzona jest źródłem chorób i tylko jeśli z niej zrezygnujemy, będziemy naturalnie zdrowi. Jej książka zasiała ziarno, które niebawem wzeszło i bujnie się rozrosło.

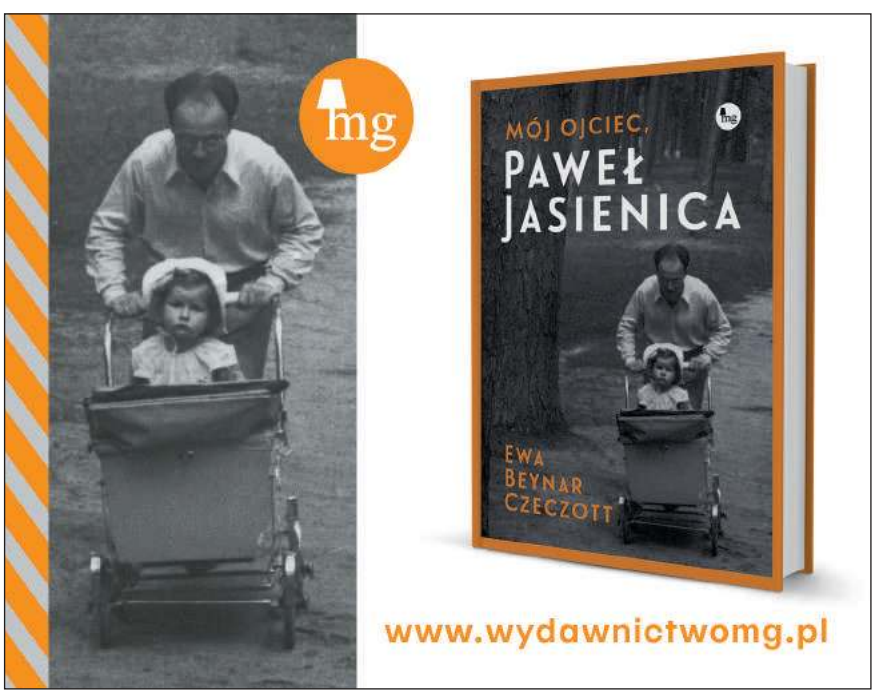
KLUCZE DO SUKCESU

Nie sądzę, żeby celem Toski Reno było zapoczątkowanie potężnego ruchu społecznego. Podejrzewam, że po prostu chciała sprzedać książkę. Jednak sposób, w jaki jej poradnik został wprowadzony na rynek, sprawił, że stał on się atrakcyjną propozycją, której przeznaczeniem było rozpleniać się i wzrastać. Po pierwsze, program Toski Reno nigdy nie był sprzedawany jako klasyczna dieta – przyjął za to postać ruchu i systemu przekonań. W tej formie każdy mógł go dowolnie interpretować. W epoce niemal nieograniczonego przepływu informacji tak luźna doktryna i dowolność rozumienia były niezwykle pociągające. (...) Czyste jedzenie okazało się strzałem w dziesiątkę – nurtem swojego czasu. Po drugie, dzięki prostej narracji o tym, co jest dobre, a co złe, koncepcja czystego jedzenia mocno przemawia do mózgu odruchowego. Nie trzeba liczyć kalorii ani niczego pilnować. Żeby zapewnić sobie zdrowie, wystarczy przestrzegać kilku podstawowych, łatwych do zapamiętania zasad. Po trzecie – i to mnie martwi najbardziej – jest to strategia bardzo skuteczna.

Czyste jedzenie jest pomyślane tak, by było drogie, ekskluzywne i trudno osiągalne.

(...) Jeśli waszym celem jest w krótkim czasie zrzucić kilka kilogramów, dieta Toski Reno, która – bądź co bądź – początkowo była sprzedawana jako sposób na schudnięcie, nie jest najgorszą dietą świata. Jeżeli odsunąć na bok pseudonaukową otoczkę, ten plan żywieniowy większości osób może pomóc pozbyć się nadwagi. Tosca Reno nie ukrywała, że głównym celem jej książki jest odchudzanie, dała jej nawet osobliwie anachroniczny, oparty na aliteracji podtytuł: „Fast Fat Loss that Lasts Forever" („Jak szybko i trwale zrzucić zbędne kilogramy"). Jej twierdzenie, że kalorie nie mają znaczenia, jest nieprawdziwe, za to dieta, którą proponuje, ogranicza spożycie często obecnych w naszym jadłospisie produktów wysokokalorycznych. Stosując się do jej zaleceń, ludzie zaczynają jeść mniej i przez to tracą na wadze, zwłaszcza że z żywnością zostały powiązane określenia silnie nacechowane emocjonalnie, takie jak czystość (i – przez skojarzenie – brud).

Określenia te stanowią kolejny klucz do sukcesu diety Reno – tak jak w przypadku marek, czynnikiem



eprasa.pl fd795dabb0

o ogromnym znaczeniu dla ich atrakcyjności, a więc i sukcesu, jest siła oddziaływania nazwy. Produkty żywnościowe zostały zgrabnie podzielone na „czyste" i „brudne", a są to określenia, które silnie wpływają na nasze emocje i zachowania. (…)

JESTEŚ TYM, CO JESZ?

Maksyma „Jesteś tym, co jesz" wśród wyznawców żywieniowych gównoprawd uchodzi za powszechnie akceptowaną mądrość. To jasne, że nie jesteśmy tym, co jemy. W procesie ewolucji staliśmy się wszystkożercami i nasze organizmy mają niewiarygodną zdolność przystosowywania się do bardzo różnych diet – możemy spożywać najrozmaitsze pokarmy i nie ma to większego wpływu na skład naszego ciała. Weganie są taką samą mieszaniną białek, węglowodanów i tłuszczów jak reszta z nas.

Autorem wspomnianej maksymy jest francuski smakosz Jean Anthelme Brillat-Savarin, przez lata jednak uległa ona przeformułowaniu, które wypaczyło jej sens. Pierwotnie brzmiała bowiem: „Powiedz mi, co jesz, a powiem ci, kim jesteś", i wielce prawdopodobne, że Brillat-Savarin nigdy nie traktował tych słów tak dosłownie jak dzisiejsi guru zajmujący się zdrowiem. W rzeczywi-

To jasne, że nie jesteśmy tym, co jemy.

stości chodziło mu o to, że jedzenie odzwierciedla charakter człowieka, a nasze wybory kulinarne są dla świata wyrazem naszych wartości. Biorąc pod uwagę fakt, że jego powiedzenie stało się mantrą środowiska spod znaku „jedzenie to zdrowie", może się wydawać dziwne, że takie rozpoznanie przyczyniło się do rozprzestrzeniania kłamstw i nieporozumień.

(…) Złamanie zasad i zjedzenie czegoś brudnego oznacza poczucie zbrukania i obrzydzenia do siebie. Być może właśnie te potężne skojarzenia dają impet do rozwoju i wzrostu ruchu. Silne emocje związane z jedzeniem i surowa otoczka moralna dla jego zwolenników stanowią bodziec do przestrzegania zasad i trzymania się diety, rodzą też



poczucie wyższości wobec tych, którzy tego nie robią. (…)

WIELKI BRUDNY SEKRET

Gdy nurt czystego jedzenia okrzepł, jego pierwotny cel, jakim było odchudzanie, zupełnie zniknął z pola widzenia. Nie dajcie się zwieść pozorom – to dążenie do szczupłej sylwetki, a nie idea *wellness*, stoi za jego sukcesem. Nowa rasa blogerów pisze wprawdzie o „stylu życia, a nie o diecie" i rzadko, jeśli w ogóle, wspomina o odchudzaniu, nadal jednak tkwi ono u podłoża troski o holistycznie rozumiane dobre samopoczucie. Idea czystego jedzenia skrywa pragnienie szczupłej sylwetki i wypracowanego, świadomego siebie piękna, które powinny sprawiać wrażenie osiągniętych bez wysiłku. Uosabiające ten trend młode kobiety wciąż zamieszczają na swoich instagramowych kontach zdjęcia, by pochwalić się godną pozazdroszczenia samokontrolą. Przede wszystkim jednak pokazują swoją chudość. Wszystkie one równie często publikują fotografie samych siebie, co swoich posiłków, starannie wybierając takie ujęcia, które dowodzą, że potrafią sprawować kontrolę nad ciałem i bez wysiłku utrzymać szczupłą sylwetkę. (…)

Anthony Warner: – Gdy w 2005 r. zaczynałem pracę w przemyśle spożywczym, mieliśmy szukać alternatyw dla składników, które sprawiały wrażenie nie dość „czystych" .

Problem w tym, że ową godną pozazdroszczenia szczupłą sylwetkę, którą prezentują, trudno osiągnąć. Przestrzeganie prostych zasad pierwotnego planu Toski Reno nie przyniesie szybkich, spektakularnych rezultatów, których domaga się społeczeństwo zbzikowane na punkcie wizerunku i wagi. W ten sposób coś, co miało być zapewniającym szczęście i zdrowie stylem życia, w wyniku ewolucji zamienia się w staromodną dietę opartą na ograniczeniach. Nowe gwiazdy nurtu czystego jedzenia namawiają swoich naśladowców, by eliminowali z menu całe grupy produktów, a zupełnie zdrowe pokarmy wiążą z kategoriami czystości i brudu.

Większość odrzuca gluten – na pozór z powodu pseudonaukowego przekonania o jego szkodliwości dla jelit, w rzeczywistości jednak dlatego, że w ten sposób mogą zmusić swoich zwolenników do wyeliminowania podstawowych artykułów spożywczych. Wielu nawołuje do rezygnacji ze zbóż, ziemniaków oraz innych źródeł węglowodanów, kradnąc pomysły z diety paleo i łącząc je z mętną, niechętną wobec nowoczesności koncepcją, że nasz organizm nie toleruje współczesnej, produkowanej przemysłowo żywności. Niektórzy

Im produkty słabiej znane, droższe i trudniejsze do zdobycia, tym lepiej.

cały nabiał zaliczają do kategorii pokarmów „nieczystych", zapożyczając od zwolenników diety alkalicznej twierdzenie, że zakwasza on organizm i wypłukuje wapń z kości. Większość w tej czy innej formie zaleca detoks i surowe posty, opierając się na fałszywych koncepcjach toksyczności.

Co pozostaje, kiedy nie wolno jeść pieczywa, ziemniaków, płatków zbożowych, ryb, mięsa oraz nabiału?

FOT. LIFEAFTERBAGELS, YOUTUBE

eprasa.pl fd795dabb0

Najważniejszą cechą ludzkiej diety jest różnorodność, która stoi w całkowitej sprzeczności z tak ograniczającymi zaleceniami, pozbawiającymi nas większości źródeł protein i węglowodanów. Oczywiście podobne restrykcje z pewnością sprawią, że schudniemy, bo dieta, która wyklucza całe grupy produktów, będzie oznaczała mniejsze spożycie kalorii.

Potęga czystego jedzenia bierze się stąd, że zakazane pokarmy zostają powiązane z wyobrażeniem brudu i nieczystości, co skutkuje tym gwałtowniejszym ich odrzuceniem. Właśnie z tego powodu jest to trend odrażający i potencjalnie szkodliwy. Gdy ludzie próbują ukryć fakt, że ich celem jest schudnięcie, muszą w inny sposób uzasadnić arbitralne wykluczenie pewnych artykułów – i tu wkracza pseudonauka. Do nurtu czystego jedzenia z absolutnym przekonaniem zostają włączone reguły pochodzące z różnych gównianych diet, które uzasadniają konieczność samokontroli. Czyste jedzenie to taka pseudonaukowa sroka, która kradnie rozmaite błyskotki, żeby stworzyć własną mętną doktrynę. Kategorie nieczystości i wstrętu pociągają za sobą ograniczenia. Dla kogoś, kto całe życie spędził zanurzony w świecie jedzenia, celebrując wszystko, co ów świat ma do zaoferowania, ruch, który najwspanialsze i najprostsze życiowe przyjemności zalicza do kategorii rzeczy toksycznych, brudnych i skalanych, to prawdziwa obelga. (…)

KULT EGZOTYKI

Być może po to, aby ukryć swoje restrykcyjne jądro, nurt czystego jedzenia często definiuje się przez skłonność do wyszukiwania produktów mało znanych. W diecie wykorzystuje się rzadkie i drogie składniki, wychwala pod niebiosa lecznicze właściwości słabo poznanych mikroelementów zawartych w nasionach chia, quinoi, spirulinie, miso, rosole, jagodach goji, wodzie kokosowej, trawie pszenicznej czy baobabie. W wyniku nieporozumień na gruncie nauki (związanych zwłaszcza z przeciwutleniaczami) składnikom tym przypisuje się magiczne właściwości i uznaje się je za najczystsze z czystych. Im słabiej znane, droższe i trudniejsze do zdobycia, tym lepiej. Dla większości zwolenników ruchu kwestią zasadniczą jest, by żywność była ekologiczna, inni upierają się przy produkcji biodynamicznej. Dla tych, którzy jedzą mięso, musi ono pochodzić od zwierząt karmionych trawą. Ryby nie mogą być hodowlane. Mleko powinno być surowe, żeby proces pasteryzacji nie zniszczył jego naturalności.

Pokoleniu milenialsów dieta kojarzyła się z nudą, banalnością i ograniczeniami.

Czyste jedzenie wydaje się celowo pomyślane tak, by było drogie, ekskluzywne i trudno osiągalne. (…)

Egzotyczne produkty pomagają stworzyć poczucie wspólnoty. Zwolennicy ruchu poznają nową ścieżkę, a wraz z nią zyskują dostęp do specjalnych informacji. Ci, którzy nie podążają ową ścieżką, są postrzegani jako nieczyści. Podobieństwa z dogmatyką religijną są niepokojące. Zwolennicy ruchu zostają dopuszczeni do tajemnego świata, którego kapłanami są internetowi guru i celebryci. A choć ich wiara wymaga odrzucenia konwencjonalnej nauki oraz zlekceważenia wskazówek lekarzy, dietetyków, instytucji zdrowia publicznego i władz, chętnie się na to godzą. (…)

Ruch czystego jedzenia to plemię w najnowocześniejszym sensie tego słowa. Luźna wspólnota współdziałających ze sobą osób, którą łączą: internet, współczesne metody komunikacji i wspólny zbiór przekonań. Plemię uwarunkowane, by akceptować niebezpieczny pseudonaukowy mit i pomagać w jego rozpowszechnianiu. Plemię z radością posługujące się językiem zaburzeń odżywiania, by sprzedawać fałszywą obietnicę szczupłej, osiągniętej bez wysiłku sylwetki. (…)

Gdy Kate Moss oznajmiła: „Nic nie smakuje lepiej niż poczucie, że jest się chudym", wiadomo było, że to szkodliwa wypowiedź, ale przynajmniej wygłoszona z pewną dozą samoświadomości. Czyste jedzenie ze swoimi arbitralnymi ograniczeniami, moralizatorskim językiem i pretensjami do holistycznego *wellness* jest co najmniej tak samo szkodliwe, a w dodatku może mieć wpływ na życie tych, którym naprawdę zależy na poprawie stanu zdrowia. (…)



Fragment książki Anthony'ego Warnera *Wściekły kucharz*, przekład Katarzyna Makaruk, Wydawnictwo Buchmann, Warszawa 2018



eprasa.pl fd795dabb0





BOGINIE



eprasa.pl fd795dabb0





Trzy podejścia do tematu kobiecego ciała: od czysto fizycznego zauroczenia, przez głęboką, kultywowaną od ponad 50 lat miłość do najbliższej osoby, po wątki ezoteryczne i magiczne. „Rzeczne" żakardy Agnieszki Brzeżańskiej buzują energią witalną, a ceramiczne biusty wyglądają jak wykopane z ziemi archaiczne naczynia do obrzędów związanych z płodnością. Obrazy Jana Dobkowskiego już od ponad pół wieku są kojarzone z rozbujałą erotyką. Cykl „Wszechbędąca" to wizualny hymn na cześć żony artysty, przedstawienie niczym nieskrępowanej kobiecości. Z kolei „Graceful. Botero Girls" Zuzy Krajewskiej to monumentalne w skali fotografie powstałe na polskich plażach. Wyrosły z zainteresowania pięknem prehistorycznej Wenus z Willendorfu, kobiet z obrazów Rubensa i Botera.

Galeria BWA
ul. Marszałkowska 34/50
Warszawa,
Do 27 października



eprasa.pl fd795dabb0

WALKA O PAMIĘĆ O POLSKICH ŻOŁNIERZACH

Szanowny panie burmistrzu miasta Mirosławiec, szanowni mieszkańcy tego miasta, wspieramy wasz sprzeciw i sami protestujemy przeciwko decyzji Instytutu Pamięci Narodowej domagającej się zniesienia pomnika upamiętniającego przełamanie Wału Pomorskiego przez żołnierzy Wojska Polskiego w 1945 r. IPN – instytucja państwowa – w swojej ojkofobii, nienawiści do narodu polskiego i wiktorii oręża polskiego, postponuje nie tylko fakt przełamania Wału Pomorskiego, wyzwolenia Mirosławca i przywrócenia Pomorza Polsce, ale również dwa nagie miecze, symbol wiktorii rycerstwa polskiego, litewskiego i rusińskiego pod Grunwaldem nad teutońską agresją na Słowian. To szczyt szaleństwa ojkofobicznego i szargania pamięci o polskich bohaterach.

Panie burmistrzu, szanowni mieszkańcy Mirosławca, brońcie polskiej pamięci historycznej.

Mieszkańcy Krakowa i powiatu krakowskiego, w tym kombatanci Wojska Polskiego (15 podpisów)

•

Brat mojej matki Stanisław Ćwiek, porucznik Wojska Polskiego, żołnierz września 1939 r., żołnierz AK na Rzeszowszczyźnie, żołnierz 1. Armii Wojska Polskiego, dowódca plutonu artylerii w 6. Dywizji Piechoty, zginął spalony żywcem razem ze swoim plutonem w stodole w Machlinach w czasie walk o przełamanie Wału Pomorskiego.

Ja w wolnej Polsce służyłem w 6. Pomorskiej Dywizji Powietrznodesantowej. O tym, że w 6. Dywizji Piechoty, wówczas frontowej jednostce, służył brat mojej matki, dowiedziałem się po zakończeniu służby wojskowej i przejściu do pracy cywilnej.

Dziś pracownicy państwowej instytucji, jaką jest Instytut Pamięci Narodowej, ogarnięci nienawiścią do żołnierzy Wojska Polskiego i okazujący wzgardę współwyzwolicielom Polski mogą głosić swoje brednie. Dla nich dwa nagie miecze, symbol wiktorii grunwaldzkiej, są widokiem odrażającym!

mjr w st. spocz. Krzysztof Pachla

RYDZ-ŚMIGŁY W KOŁOMYI

W 1941 r. Edward Rydz-Śmigły wrócił do Polski. Oficjalna wersja głosi, że nikt nie chciał z nim się kontaktować, jednak niezupełnie jest to prawda. W Krakowie przywitał go kpt. Stefan Witkowski, ps. „Inżynier” – komendant tajemniczej do dziś organizacji Muszkieterowie, który później otrzymał od AK wyrok śmierci za zdradę i kolaborację (był agentem hitlerowskiego wywiadu). Wysłał on do Władysława Andersa podpisany przez Rydza tajny rozkaz, żeby jego armia, idąc na front, zaatakowała od tyłu Armię Czerwoną (Anders, chociaż zapewne zrobiłby to z największą rozkoszą, nie wykonał rozkazu, obawiając się prowokacji NKWD, a także nie chcąc mieć nic wspólnego z sanacyjnym bogiem). Jak widać, „nasz drogi, dzielny wódz” oprócz pozostawienia żołnierzy Wojska Polskiego samym sobie mógł później przejść na stronę Rzeszy.



Marcin Aleksander Libor

MINISTERSTWO KULTURY WYJAŚNIA

Nieprawdziwa jest informacja podana w wywiadzie pt. „Złapane za gardło” („Przegląd” 20.08.2018), jakoby Narodowy Program Rozwoju Czytelnictwa po zmianie władzy przestał działać. W ramach Narodowego Programu Rozwoju Czytelnictwa w latach 2016-2017 do ponad 5 tys. bibliotek publicznych w całej Polsce trafiło 6,5 mln nowych książek zakupionych dzięki środkom MKiDN, a do szkół i bibliotek pedagogicznych – prawie 4 mln. Z programu rozwoju infrastruktury bibliotek na lata 2016-2020 skorzystało 179 bibliotek. Wobec faktu, że początkowo zaplanowany na ten cel budżet w wysokości 150 mln okazał się niewystarczający, MKiDN stara się o dodatkowe 60 mln zł na kolejne dwa lata. Ponadto ministerstwo oraz instytucje przez nie nadzorowane prowadzą szereg kampanii i programów, m.in.: „+książka”, „Upoluj swoją książkę”, „Mała książka – wielki człowiek”, Dyskusyjne Kluby Książki. W 2017 r. przeprowadzona została kompleksowa kampania promująca czytelnictwo „Mała książka – wielki człowiek”. Do połowy 2019 r. do rodziców na oddziałach położniczych w całym kraju trafi 360 tys. egzemplarzy „Pierwszych wierszy dla...”. Podobna kampania zaplanowana jest na jesień 2018 r. i poprzez sieć bibliotek publicznych ma promować czytanie w rodzinie.



Anna Pawłowska-Pojawa, dyrektor Centrum Informacyjnego MKiDN

Odpowiedź Agaty Diduszko:

W rozmowie nie wyraziłam się precyzyjnie. Nie chodziło mi o to, że NPRCz został zamknięty, bo oczywiście wiem, że nadal działa. Chodziło mi o to, że w kontekście różnych decyzji podejmowanych przez obecne władze resortów kultury i edukacji program w mojej opinii nie ma szans spełnić swojego głównego zadania, którym było zakończenie kryzysu czytelniczego w Polsce. Jak wiemy z badań Biblioteki Narodowej, od kilku lat odsetek osób, które czytają rocznie siedem lub więcej książek, utrzymuje się na poziomie ok. 10%. To oznacza, że dzieci nie mają szans przejąć nawyku czytelniczego poprzez naśladowanie zachowań rodziców. Wielu ekspertów nie ma wątpliwości, że kampanie społeczne jak np. „Mała książka – wielki człowiek” mogą pełnić funkcję pomocniczą, ale nie mogą przestawić zwrotnicy.

Nieczytający rodzic nie zacznie czytać dlatego, że dostał książkę dla dziecka w szpitalu. Przy tej skali kryzysu kluczowa jest rola instytucji edukacyjnych – przedszkola, szkoły. Tymczasem w podstawie programowej przedszkola pojawia się fakultatywnie kącik czytelniczy lub wspólne czytanie książeczek przy nauce języka obcego i niewiele więcej. Codzienne wspólne czytanie powinno być wprost wpisane do przedszkolnej podstawy programowej. Wbrew duchowi programu jest też opóźnienie obowiązkowego wkroczenia dziecka do wyrównującego szansy systemu edukacji oraz usztywnienie i wydłużenie listy lektur obowiązkowych. Przesunięcie „Pana Tadeusza” do programu podstawówki nie pomoże zmniejszyć niechęci uczniów do czytania. Jak pokazuje doświadczenie innych krajów, pomogłoby np. danie większej swobody w doborze lektur nauczycielom i uczniom, dołączanie lektur do różnych przedmiotów, a nie tylko do programu języka polskiego. Cieszę się, że w ramach NPRCz biblioteki i księgarze dostają dofinansowanie, ale bez zwrotu w kierunku przyszłości zarówno w kwestii doboru lektur, jak i metod krzewienia czytelnictwa nie uda się pokonać kryzysu czytelniczego.

eprasa.pl fd795dabb0

Ambasador, który wie

Jak można było wyczytać w gazetach, koledzy z ABW nazywali go Pinokio. A to dlatego, że nadzwyczaj chętnie się chwalił udziałem w akcjach, w których nie uczestniczył.

Teraz ma sytuację odwrotną, bo pewnie chciałby mówić, że z pewnymi sprawami nic go nie łączy, ale inni go łączą. Mowa o Jacku Gawryszewskim, którego obecna władza „zesłała" na stanowisko ambasadora do Chile. W ten sposób zafundowano mu luksusowe wakacje w pięknym miejscu, i to takim, że dalej już nie można. Nie bez powodu – nazwisko Gawryszewskiego przewija się bowiem w dwóch sprawach, które bulwersują opinię publiczną.

Po pierwsze, w aferze taśmowej. Gawryszewski był wtedy wiceszefem ABW, protegowanym Bartłomieja Sienkiewicza, z którym znał się jeszcze z czasów działalności w antypeerelowskim podziemiu, i z pierwszych lat służby w UOP. A gdy wybuchła afera taśmowa, powołano go na szefa grupy, która miała ją rozwikłać. Jak to poszło – wiemy wszyscy.

I teraz warto przytoczyć zapis z pewnego konta na Facebooku: „Jeden z wysokich rangą urzędników w rządzie Platformy tak opisuje sytuację, po której upadł wątek powiązań Falenty z PiS oraz rosyjskich tropów: Gdy w pewnym momencie pojawił się temat rosyjskiego tropu, ktoś ważny powiedział Gawryszewskiemu, że trzeba tym się zająć. On na to odpowiedział mniej więcej tak: Rosyjski trop? Co prawda, nie znam się na kontrwywiadzie, ale to czysto kryminalna sprawa. Po zmianie władzy Gawryszewski jako jedyny wysoki rangą funkcjonariusz służb utrzymał swoje stanowisko. Rok temu został ambasadorem RP w Chile".

Dodajmy jeszcze jedno – Gawryszewski był także kolegą Mariusza Kamińskiego, również z czasów „wojny z komuną". Czy to wystarczyło, by „dobra zmiana" uznała go za swego? Czy też przydały się „zasługi" z czasów wcześniejszych?

„Dziennik Gazeta Prawna" opisuje to tak: „Po nadejściu »dobrej zmiany« (nowy, pisowski) szef ABW prof. Piotr Pogonowski nieoczekiwanie nie tylko nie pożegnał się z płk. Gawryszewskim, ale też scedował na niego nadzór nad bieżącymi operacjami. Ów awans zaufanego człowieka PO próbowano tłumaczyć w różny sposób. Dominują na Rakowieckiej dwa poglądy: pierwszy, że przesądziły osobiste kontakty i chlubna opozycyjna karta, drugi, że decydująca okazała się wiedza Gawryszewskiego. Chociażby na temat afery podsłuchowej (tj. taśmowej), którą badała ABW, i roli, jaką mogli w niej odgrywać funkcjonariusze służb związani z PiS".

Ale nie tylko w sprawie badania afery taśmowej płk Gawryszewski ma wiele do powiedzenia.

Okazuje się, że może być bardzo pomocny przy badaniu afery Amber Gold. Oto bowiem podczas przesłuchania przed sejmową komisją badającą sprawę Amber Gold zeznawał przed wakacjami „były funkcjonariusz ABW". I powiedział Małgorzacie Wassermann, że sprawę Amber Gold badał od roku 2012. Z jakim efektem? Ano z takim: „Stwierdziliśmy na podstawie informacji wieloźródłowych, że istnieje bardzo dziwna sieć powiązań pomiędzy osobami prowadzącymi albo uwikłanymi w działalność przestępczą, świata biznesu, władzy, organów ścigania, służb specjalnych, policji – była to sieć wzajemnych relacji, która wymagała dalszego wyjaśnienia".

I co dalej? Otóż w sierpniu 2013 r. zapadła decyzja o wycofaniu ABW ze sprawy Amber Gold.

„Decyzja o przerwaniu działań ABW była dla funkcjonariuszy dużym zaskoczeniem (…). Poinformowano nas, że ta decyzja zapadła poza Agencją", powiedział były funkcjonariusz ABW. Dodając, że decyzje w tej sprawie przekazał funkcjonariuszom ówczesny zastępca szefa ABW płk Jacek Gawryszewski.

No to ściągajcie sobie teraz ambasadora do Warszawy i przesłuchujcie, ile chcecie. Jedni i drudzy.

Attaché

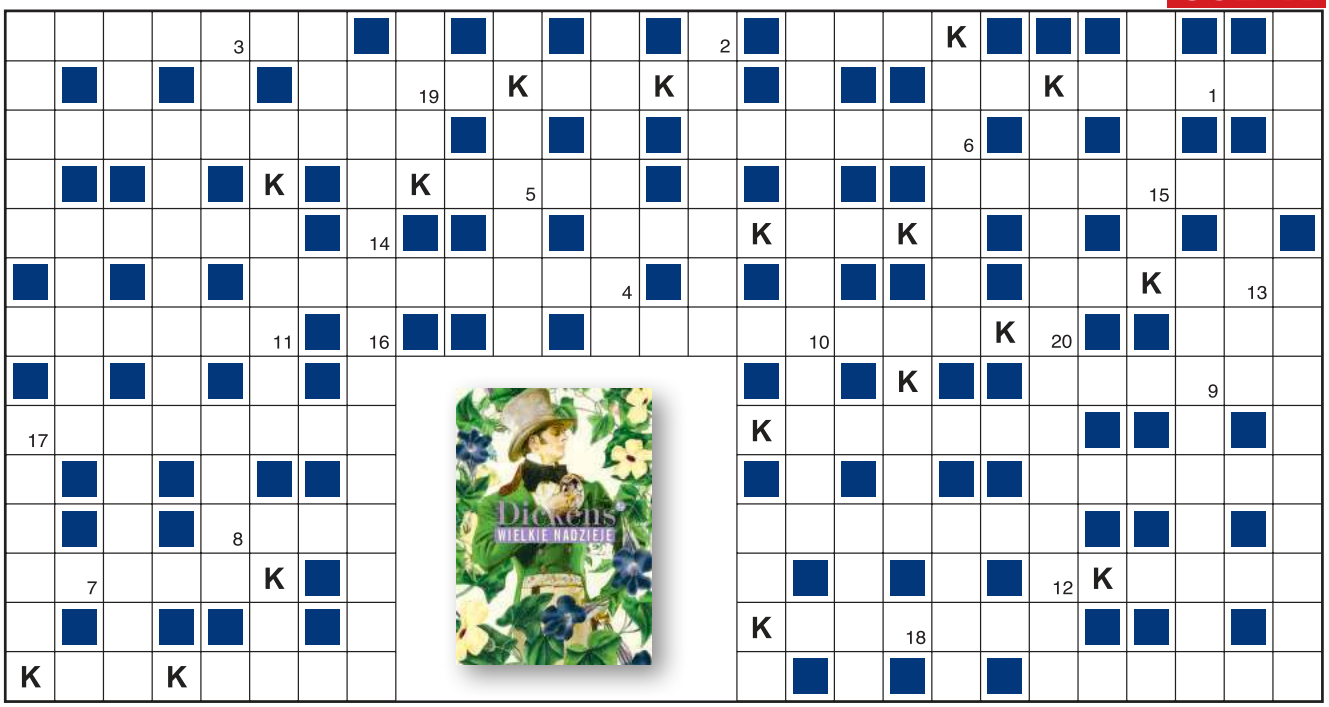


Bill Cosby został skazany za gwałt na „nie mniej niż trzy lata i nie więcej niż 10 lat" więzienia. 81-letni aktor będzie musiał się poddać terapii dla przestępców seksualnych i trafi do specjalnego rejestru.

FOT. AFP/EAST NEWS

eprasa.pl fd795dabb0

JOLKA



1	2	3	4	5	6	7

8	9	10	11

12	13	14	15	16	17	18	19	20

Objaśnienia są podane w kolejności alfabetycznej odgadywanych wyrazów. Miejsce wpisu do odgadnięcia. Wszystkie litery K ujawniono. Litery z pól ponumerowanych od 1 do 20 utworzą końcowe hasło.

- ukochany Afrodyty i miłek
- grodzkie, stanu cywilnego, sprawy
- kaskader naraża się za niego
- Joe… – Maciej Słomczyński
- wyraz z wyrazu
- brak albo naruszenie proporcji
- inaczej trumf
- złożona tam w ofierze Ifigenia
- oprych z majchrem
- „Pani…”, powieść Flauberta
- o młodym osiłku
- jest nim potok, rzeka lub kanał
- szczegół, drobny element dekoracyjny
- członek Greenpeace'u
- specjalista, autorytet
- kontynuator nieaktualnych idei
- włoski bolid Formuły 1
- podopieczne helskiej stacji morskiej
- w pokrzywy wlazł po pas
- atom z ładunkiem elektrycznym dodatnim lub ujemnym
- maszyna rolnicza do zbioru roślin
- jesienny na dwa świerszcze
- dym sygnałem wyniku jego obrad
- muzyk z monodramu Patricka Süskinda
- …główna ONZ w Nowym Jorku
- płat plecionki
- od niego – mnóstwo
- nosi hidżab
- reakcja na skandal
- krzew parkowy z zimowymi kwiatami
- kart lub Ameryki
- Atena – …herosów
- duży ogród z alejkami
- zaciskany lub popuszczany
- stemplowanie
- posezonowa w sklepie
- wodolejstwo, bicie piany
- doktryna Arthura de Gobineau
- trzykołowy rower z siedzeniem
- podwyższenie dla walczących
- książę poetów, przywódca Plejady
- jaskrawozielona żabka drzewna
- używany w chirurgii
- vespa lub śnieżny
- imię aktorki Marceau
- cienki, długi makaron
- warty, posterunki
- Wojciech Korfanty lub Kazimierz Kutz
- prowadzone dochodzenie
- wpadł pod niego Michaił Aleksandrowicz Berlioz
- by tam popłynąć, poświęcono Ifigenię
- cyrkowy kupił Drzymała
- następna pora roku
- kształt błyskawicy

KUPON JOLKI „Przeglądu”

hasło: .....

.....

imię i nazwisko: .....

.....

adres: .....

.....

Ja, niżej podpisany(a), wyrażam zgodę na przetwarzanie moich danych osobowych przez Fundację Oratio Recta z siedzibą w Warszawie, ul. Inżynierska 3 lok. 7, 03-410 Warszawa, w celu niezbędnym do rozwiązania jolki w „Przeglądzie”, opublikowania moich danych osobowych na łamach tygodnika w razie wygranej i przesłania mi nagrody. Oświadczam, że zostałem(am) poinformowany(a) o dobrowolności podania danych osobowych, o prawie wglądu do moich danych, prawie do ich poprawiania i usuwania.

data, miejscowość .....

czytelny podpis .....

Rozwiązania samego szyfru prosimy nadsyłać w ciągu 14 dni od daty ukazania się numeru pod adresem redakcji, z dopiskiem na kopercie lub pocztówce: „JOLKA-877”. Do rozlosowania książki „Wielkie nadzieje” ufundowane przez Wydawnictwo MG. Rozwiązanie można wysłać też z telefonu, pisząc SMS o treści: KRPRZ.XXX.HASŁO KRZYŻÓWKI. W miejsce XXX wpisujemy numer krzyżówki (uwaga, stosować tylko litery, cyfry i kropki, wielkość liter nie ma znaczenia). Osoby nadsyłające rozwiązania wyrażają tym samym zgodę na przetwarzanie ich danych osobowych. SMS-y należy wysyłać pod numer 72550 (płatny 2,46 PLN + VAT) do 7 października 2018 r.

Rozwiązanie „JOLKI-874” z 16 września: *Ignorancja to niewola.*

Nagrody otrzymują: Katarzyna Bednarz z Kielc, Małgorzata Haensel z Warszawy, Ryszard Szymik z Katowic.

eprasa.pl fd795dabb0

PENETRACJE

odra

PROF. ŁUKASZ A. TURSKI, CENTRUM FIZYKI TEORETYCZNEJ PAN

Szkoła powinna zwracać uwagę na talenty uczniów i budować swoje oddziaływanie, tj. nauczanie, na tych talentach. Jeśli znamy talent dziecka i dobierzemy do niego treści, a także metody uczenia, to szybko się okaże, że ono samo umie odróżniać piękno od brzydoty, kicz od arcydzieła, literaturę od grafomanii, że nie trzeba mu podpowiadać kryteriów tych ocen. Budując edukację na talentach, szkoła nie powinna mieć klas, bo występowanie i rozwój talentów mają indywidualny harmonogram. Szkoła z kształceniem opartym na talentach uczniów musi kosztować trochę więcej, ale to się bardzo opłaci. Za trzy samoloty bojowe można zbudować szkoły dla większości polskich dzieci, a dla bezpieczeństwa narodowego ważniejsza jest dobrze wykształcona młodzież niż te samoloty.

RES HUMANA

PROF. UMBERTO MARGIOTTA, UNIWERSYTET W WENECJI, PREZES RADY ŚWIATOWEJ STOWARZYSZENIA KULTURY EUROPEJSKIEJ (SEC)

Nigdy przedtem potrzeba, by intelektualiści głosili prawdę o tym, że znajdujemy się w punkcie zwrotnym, nie była równie pilna jak obecnie. Podobnie jak Tomasz Mann żarliwie odczuwamy potrzebę aktywności intelektualistów. Bardzo pilnie odczuwamy potrzebę rozwoju całej sfery kultury. By uczyniła ludzi zdolnymi do kontrataku i odrzucenia zamachu tych, co dążą do zdławienia procesu integracji. Te knowania zmuszają nas do podjęcia kwestii przywództwa. Nie mam na myśli pojedynczego lidera, ponieważ potrzebni są liczni wodzowie. Musimy ich znaleźć i dopomóc im w krystalizowaniu zdolności przywódczych.

TYGODNIK ANGORA

MICHAŁ URBANIAK, MUZYK JAZZOWY

Obecna Polska zaczyna mi przypominać tę z moich lat młodzieńczych. Nie znam się na polityce, ale obserwuję coraz więcej ograniczeń. To jest niebezpieczne, bo w latach 60. i 70. te ograniczenia były trochę z przymrużeniem oka i każdy robił swoje. Boję się, że teraz jest trochę inaczej – czuje się wokół ciągłe pouczanie i ludzką zawiść, jakieś takie zdenerwowanie. To w sumie sztuczny stres, jakby przed zbliżającym się jakimś kataklizmem.

WO

ANJA RUBIK, MODELKA, AUTORKA PODRĘCZNIKA „#SEXEDPL"

Rodzice w ogóle nie rozmawiali ze mną o seksie, chociaż są lekarzami weterynarii i mogliby mi wiele powiedzieć. Poza tym są otwarci, mądrzy, fajni, a mimo wszystko tego tematu nie było. I pewnie dlatego miałam taki problem, by podczas pierwszego razu zapytać chłopaka o prezerwatywę. Miałam wtedy 17 czy 18 lat. Nie wiedziałam, jak go poprosić o założenie prezerwatywy. A jeszcze bardziej przerażała mnie myśl, że on mnie może o to poprosić. Nie miałam jej przy sobie. Teraz uważam, że każda dziewczyna powinna nosić przy sobie prezerwatywę. Żeby polegać na sobie, nie na nim. Dzięki kampanii #sexedpl dowiedziałam się, że są specjalne lateksowe prezerwatywy dla kobiet, że istnieją chusteczki do seksu oralnego. To wszystko było w naszych filmach, wiele osób dowiedziało się o tym po raz pierwszy.



Dzisiaj jestem mały, jutro będę duży – krokodyl krótkopyski wygląda na świat w zoo Planet Exotica w Royan we Francji.

FOT. AFP/EAST NEWS

Aby język giętki…

PROF. ZBIGNIEW MIKOŁEJKO O BYLE JAKICH UCZELNIACH

Jakie wykształcenie można otrzymać w uczelni będącej skrzyżowaniem akademii „Lata z radiem" ze szkołą pod żaglami?

ALEKSANDER KWAŚNIEWSKI O ANDRZEJU DUDZIE

Są twarde przesłanki, by postawić go przed Trybunałem Stanu.

WOJCIECH SMARZOWSKI O SOBIE

Jestem ateistą, wpatrzonym trochę w kosmos, w naukę, w naturę, ale niewierzącym.

ADAM BODNAR O SWOJEJ PRZYSZŁOŚCI

Nie będę się ubiegał w 2020 r. o następną kadencję. Moje życie związane jest z dwoma zawodami: nauczyciel akademicki i obrońca praw człowieka.

STANISŁAW TYM O MATEUSZU MORAWIECKIM

Gość w garniturze premiera leje strumieniami gejzery obietnic i wodospady inicjatyw.

KAROLINA LEWICKA O ODEJŚCIU Z TVP INFO

Nie miałam etatu, więc nie przysługiwała mi żadna odprawa. Wyszłam stamtąd i zostałam bez pracy i pieniędzy.

GEN. MIROSŁAW RÓŻAŃSKI O POWOŁANIU CZWARTEJ DYWIZJI WOJSKA POLSKIEGO

To populistyczny gest przedwyborczy. Nie przybyło ani jednego etatu i ani jednej złotówki.

SŁAWOMIR MIZERSKI O ABP. MARKU JĘDRASZEWSKIM

Jego obawy wobec szerzącej się tolerancji nie dziwią, bo wiadomo, co ludzie potrafią wymyślić, jeśli im się na to pozwoli.

ANNA DZIEWIT-MELLER O PLANACH

Zapiszę się na balet. Zapuszczę włosy, które obcięłam w wakacje. Chyba jednak nie lubię mieć krótkich.

GRAŻYNA WOLSZCZAK O EMOCJACH

W nerwach klnę jak szewc, no i bardzo często się wzruszam. Wtedy płaczę, a nawet szlocham.

eprasa.pl fd795dabb0

Jedziesz? Wyśpij się!

Najnowsze badania zlecone przez Amerykański Departament Transportu dowodzą, że jeśli kierowca nie prześpi minimum siedmiu godzin w ciągu nocy, stwarza zagrożenie w ruchu drogowym. Naukowcom udało się wykazać, że brak snu działa na mózg podobnie jak spożywanie nadmiernych ilości alkoholu. Największe zagrożenie stanowią kierowcy, którzy spali mniej niż cztery godziny.

Niebezpieczny pedicure

Lekarze byli zmuszeni amputować 29-latce z Australii wszystkie palce prawej stopy z powodu infekcji kości, która została spowodowana zabiegiem fish pedicure. Okazało się, że woda w zbiorniku, w którym pływały rybki oskubujące zrogowaciały naskórek, była skażona bakteriami. Kobieta miała na stopach ranki, przez które bakterie przedostały się do jej organizmu. Teraz publikuje ona w sieci zdjęcia obrazujące skutki zabiegu, zachęcając do dokładnego sprawdzenia standardów higienicznych w salonach kosmetycznych.

Truskawka z niespodzianką

Władze australijskiego Queensland szukają sprawcy, który w truskawkach umieszcza igły i pinezki. Niebezpieczne przedmioty znaleziono już w owocach pochodzących od sześciu różnych producentów na terenie całego stanu. Wiele ton owoców zostało wycofanych ze sklepów, a ceny truskawek drastycznie spadły.



Nerwy u roślin

Naukowcy z Uniwersytetu Wisconsin-Madison odkryli, że rośliny wykształciły coś podobnego do systemu nerwowego. Chodzi o system obronny, który rozsyła informacje z ostrzeżeniami (np. gdy roślina zostanie zaatakowana przez owada) do innych części rośliny. W momencie ataku w komórce uwalniają się jony wapnia, które rozprzestrzeniają się do sąsiednich komórek. Taka informacja może nawet przechodzić na inne rośliny.

Mowa ciała zdradza złodzieja

Sztuczna inteligencja zostanie teraz wykorzystana do wyłapywania złodziei, zanim jeszcze dokonają kradzieży w sklepach. Standard Market w San Francisco jest pierwszą na świecie siecią sklepów testujących taką technologię w praktyce. W sklepach zainstalowano 27 kamer oraz specjalny algorytm, który rozpoznaje charakterystyczną dla złodziei mowę ciała.

Bez lusterek

Już w październiku ma się rozpocząć w Japonii sprzedaż nowego Lexusa ES, który zamiast tradycyjnych lusterek będzie miał kamery i wyświetlacze. Kamerki mają rejestrować obraz w wysokiej rozdzielczości i przesyłać go do wyświetlaczy wewnątrz pojazdu. Nowy system znacząco zwiększy bezpieczeństwo kierowcy, pasażerów i innych uczestników ruchu.

MEMY BEZ ŚCIEMY







Przegląd
„PRZEGLĄD" NA ANTENIE
RDC
Warszawa 101 FM
DAB+

eprasa.pl fd795dabb0



Niech się wstydzi, kto widzi? Autorem rzeźb w porcie w Walencji jest Antoni Miró.

Bezradni mali Brytyjczycy

Z przeprowadzonej w Wielkiej Brytanii ankiety wynika, że prawie połowa dzieci w wieku do 10 lat nie potrafi wiązać sznurowadeł. Może to wynikać z tego, że na ogół na co dzień noszą buty na rzepy. Badanie wykazało również, że 42% nie potrafi określić czasu, 25% nie potrafi sprawnie posługiwać się nożem i widelcem, a 44% nie wie, jak odczytać mapę.

Stop dla kofeiny w szkole

Korea Południowa wprowadzi zakaz sprzedaży kawy w szkołach w całym kraju, aby zmniejszyć ilość kofeiny spożywanej przez uczniów. Co więcej, kawy w szkole nie będą mogli kupować ani uczniowie, ani nauczyciele. Urzędnicy ministerstwa ds. żywności mają nadzieję, że zakaz pomoże wypracować u młodzieży zdrowsze nawyki żywnościowe. Uznano, że w czasie sesji egzaminacyjnej uczniowie spożywają zbyt dużo kofeiny. Wcześniej z południowokoreańskich szkół wyprowadzono inne napoje zawierające duże ilości kofeiny, m.in. napoje energetyczne.

Czystość do kwadratu

Władze Seulu wypowiedziały wojnę pornografii z kamerek szpiegowskich. Według policyjnych danych w latach 2012-2016 co najmniej 26 tys. osób zostało w Korei Południowej nagranych w czasie wizyty w toalecie publicznej lub przymierzalni sklepu odzieżowego. Wykonane w ten sposób zdjęcia lub filmiki są często publikowane w sieci. Dotychczas toalety publiczne w stolicy były kontrolowane raz w miesiącu przez 50 pracowników. Teraz 8 tys. pracowników miejskich zajmujących się utrzymywaniem czystości w toaletach ma dokonywać codziennego sprawdzania, czy nie umieszczono w nich urządzeń rejestrujących obraz.



FOT. AFP/EAST NEWS (2), MEMNEWS.PL, FB/MEMYGORSZEGOSORTU, FB/ANONIMOWYINTERNAUTA

eprasa.pl fd795dabb0

Przegląd

ADRES REDAKCJI
03-410 Warszawa,
ul. Inżynierska 3 lok. 7
Telefony +48 22 635 84 10,
+48 503 158 795, 503 159 027
fax +48 22 635 84 10 wew. 119
przeglad@tygodnikprzeglad.pl

www.tygodnikprzeglad.pl

Redaktor naczelny: Jerzy Domański
e-mail: j.domanski@tygodnikprzeglad.pl
Pierwszy zastępca redaktora naczelnego: Paweł Dybicz
e-mail: p.dybicz@tygodnikprzeglad.pl
Zastępca redaktora naczelnego – sekretarz redakcji: Joanna Wielgat
e-mail: j.wielgat@tygodnikprzeglad.pl
Sekretarz redakcji: Agata Gogołkiewicz
e-mail: a.gogolkiewicz@tygodnikprzeglad.pl
Zastępca sekretarza redakcji: Aleksandra Pańko
e-mail: a.panko@tygodnikprzeglad.pl

ZESPÓŁ I WSPÓŁPRACOWNICY:
Julian Bartosz (Wrocław), Tomasz Borejza (Kraków), Marek Czarkowski, Regina Dachówna (Zielona Góra), Paweł Drąg, Beata Dżon (Wiedeń), Leszek Konarski (Kraków), Marek Książek (Olsztyn), Helena Leman (Malbork), Kacper Leśniewicz, Maja Marklowska-Dzierżak, Mateusz Mazzini, Tomasz Miłkowski, Lech Miodek, Jan Ordyński, Wojciech Osiński (Berlin), Maciej Polkowski, Michał Sobczyk, Małgorzata Szczepańska-Piszcz (Bydgoszcz), Konrad Szelest, Bronisław Tumiłowicz, Krzysztof Wasilewski, Andrzej Werblan, Roman Wojciechowski, Elżbieta Wojtalik-Soroczyńska, Artur Zaborski, Beata Znamirowska-Soczawa (Bielsko-Biała)

Stali felietoniści: Tomasz Jastrun, Roman Kurkiewicz, Bronisław Łagowski, Edward Mikołajczyk, Ludwik Stomma, Jan Widacki, Agnieszka Wolny-Hamkało,
Rysownicy: Grzegorz Bąkowski, Kain May, Małgorzata Tabaka
Studio graficzne: Dorota Markowska-Burbelka, Anna Rosiak
Dyrektor artystyczny: Izabela Mierzejewska
Fotoedytor: Magdalena Głuska
Fotoreporterzy: Leopold Dzikowski, Krzysztof Żuczkowski

Dyrektor ds. wydawniczych i reklamy:
Anna Banaszek e-mail: a.banaszek@tygodnikprzeglad.pl
Wicedyrektor ds. wydawniczych i reklamy:
Agata Mierzejewska e-mail: a.mierzejewska@tygodnikprzeglad.pl
Kierownik sekretariatu fundacji i redakcji:
Sandra Zawadzka
Dział Kolportażu:
tel. +48 22 635 84 10 wew. 120
e-mail: kolportaz@tygodnikprzeglad.pl
Wydawnictwa książkowe:
tel. +48 22 635 84 10 wew. 111
e-mail: sklep@tygodnikprzeglad.pl

Prenumerata. Prenumeratę krajową i zagraniczną od dowolnego numeru można zamówić w Dziale Kolportażu.
Sprzedaż elektroniczna: www.sklep.tygodnikprzeglad.pl

Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych, zastrzega sobie prawo do opracowywania i skracania tekstów. Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada.

Wszelkie prawa zastrzeżone. Rozpowszechnianie artykułów opublikowanych w PRZEGLĄDZIE bez zgody wydawcy jest zabronione. Przedruki po uzyskaniu zgody wydawcy.

Sprzedaż numerów aktualnych i archiwalnych po cenie niższej od ustalonej przez wydawcę jest nielegalna i grozi odpowiedzialnością karną.

Druk: Quad/Graphics Europe Sp. z o.o.
07-200 Wyszków, ul. Pułtuska 120

WYDAWCA:
Fundacja Oratio Recta
03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7
NIP: 951-19-67-251, REGON: 016275090
KOD SWIFT: WBKPPLPP, IBAN: PL
Nr konta: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821

IZBA WYDAWCÓW PRASY
NAKŁAD KONTROLOWANY ZWIĄZEK KONTROLI DYSTRYBUCJI PRASY

NEXTGaleria Sztuki
ul. Poznańska 31
Bydgoszcz
do 11 października

Agata Anna Żychlińska

Forma właściwa









Poprzez określoną, właściwą formę artystka stara się przekazać konkretną treść, swoje spostrzeżenia, zdanie na temat świata, ludzi i relacji, jakie ich łączą. Opowiadać o tym, co zna, czego doświadczyła i wciąż doświadcza. Obrazy to zapisy rzeczywistości, krótkie „szkice reporterskie". Malarka dąży do uwiecznienia za pomocą kilku linii danego momentu, wrażenia, do uchwycenia komiczności czy katastrofizmu sytuacji. Każdy obraz traktuje jak kolejne zdanie na stronach pamiętnika, zawierające osobiste spostrzeżenie na temat codzienności.

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl fd795dabb0

5 lat
SCENY MUZYCZNEJ
TEATRU RAMPA

rampa
TEATR PRZYJAZNY

28 przebojów
The Beatles



TWIST AND SHOUT
THE BEATLES

w roli głównej
JAKUB WOCIAL
najlepszy wokalista musicalowy
laureat tegorocznych Teatralnych Nagród Muzycznych im. Jana Kiepury w tej kategorii

Scenariusz IRENE ARREDONDO • Reżyseria i choreografia SANTIAGO BELLO • Aranżacje i kierownictwo muzyczne JAN STOKŁOSA
Prapremiera 6 października 2018 • Scena Muzyczna Teatru Rampa

PATRONI MEDIALNI

TVP2 · TVP3 WARSZAWA · Radio Pogoda · POLSKA The Times · Przegląd · Warszawska Kulturalna · TRACK ROCK · GAZETA.PL · naszemiasto.pl · eBilet.pl · KULTURALNE MEDIA

PARTNERZY

empik · EWEJŚCIÓWKI.PL · Kochaj się w Warszawie

eprasa.pl fd795dabb0

Akademia Humanistyczna
im. Aleksandra Gieysztora



Administracja
Historia
Pedagogika
Politologia
Bezpieczeństwo Narodowe

seminaria doktorskie
w dyscyplinie historii i nauk o polityce

studia I stopnia • studia II stopnia • studia podyplomowe

INFORMACJE I ZAPISY

Dziekanaty właściwych Wydziałów
ul. Mickiewicza 36B, Pułtusk

www.ah.edu.pl

eprasa.pl fd795dabb0